

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/119

1957



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

J. ZAGÓRSKI :

OLIMP I ZIEMIA

J. MIEROSZEWSKI :

DWA FORTEPIANY

K. A. JELEŃSKI :

O GOMBROWICZU

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski :	<i>Dwa fortepiany</i>	3
Stanisław Kościalkowski :	<i>Spostrzeżenia i uwagi (dok.)</i>	11
K.A. Jeleński :	<i>Bohaterskie niebohaterstwo Gombrowicza</i>	31
Wiesław Wóhnot :	<i>Czytając Dąbrowską i Manna</i>	43



Jerzy Zagórski :	<i>Olimp i ziemia</i>	51
------------------	-----------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	95
--------------	--------------------------------	----

K R A J

Zbigniew Jordan :	<i>Filozofia i światopogląd</i>	103
Gustaw Herling-Grudziński :	<i>Spowiedź dziecięcia stalinizmu</i>	115
KAJ :	<i>O potrzebie „złytoptaków”</i>	117

KRONIKA KULTURALNA

M. Kondracki :	<i>Zgon Tadeusza Kasserna</i>	119
Zdzisław Broncel :	<i>O teatrze</i>	122

K S I A Ż K I

Gustaw Herling-Grudziński :	<i>Uczeń Balzaca</i>	128
Zbigniew Jordan :	<i>Socjologia inteligencji</i>	134
Maria Czapka :	<i>Sumienie się budzi</i>	138
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	141



T. Romer, I.M. Bocheński, O.P., ks. H. Weryński, L. Wellisz, M. Pankowski, W. Skorupski, M. Parientes, Z. Zawadowski, Zb. Jakubski, J. Godlewski, R. Cy- wiński, J. Kowalik, E. Hinter- hoff, J. Pawłowska, Zd. Szakie- wicz :	<i>Listy do Redakcji</i>	143
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Wrzesień-Septembre** **1957**

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

Skarb Narodowy w Kanadzie	36.300 fr.
Stefan Tuszak, Harrison, N.J. (USA)	350 "
Feliks A. Szczepanik, Kensington, Conn. (USA)	700 "
Tadeusz Jarocki, Meksyk	2.800 "
Alfons Jacewicz, Meksyk	2.800 "
Henryk Stebelski, Meksyk	10.500 "
Włodzimierz Dropiński, Bruksela (Belgia)	1.050 "
Charles Wojcik (USA)	1.750 "

DZIEKUJEMY

DALSZE WPLATY NA DOM "KULTURY"

„J”, Szwajcaria	1.100 fr.
Abraham Anyż, San Luis Potosi (Meksyk) ponownie	3.150 "
Moses Parientes, Brooklyn, N.Y. (USA)	350 "
Manswet Z. Domański, Clifton, N.J. (USA)	350 "
Bezimiennie, Glen Cove, N.Y. (USA)	1.400 "
J. Świenchyc-Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci ..	1.100 "
R. Bromke, Montreal, Que. (Kanada) ponownie	1.000 "
Wanda Hajduga, Edmonton, Alta (Kanada), po raz trzeci ..	1.500 "
E. Kowalewski, Revelstocke, B. C. (Kanada)	1.500 "

DZIEKUJEMY

OD PRZYJACIELA AMERYKANINA

Charles E. Merrill, jr. z New Yorku ofiarował na wysyłkę książek do Polski	185.000 fr.
i na wydanie antologii <i>Izrael w poezji polskiej</i>	185.000 "

DZIEKUJEMY

NOTA BIOGRAFICZNA

Jerzy ZAGÓRSKI, urodzony w roku 1907. Studia prawnicze odbywał na uniwersytetach warszawskim i wileńskim. Współzałożyciel grupy literackiej „Zagary” w Wilnie zamieszczał w piśmie pod tą nazwą wiersze i artykuły. W Wilnie też ukazały się pierwsze tomy jego wierszy: „Ostrze mostu” i „Przyjście wroga”. Podczas wojny aktywny w podziemnym ruchu literackim w Warszawie. Wydał pod swoją redakcją antologię poezji antyhitlerowskiej „Słowo prawdziwe” i napisał, wspólnie z Jerzym Andrzejewskim, sztukę satyryczną „Syn Winkielrieda”, opublikowaną w roku 1946 w małym nakładzie. Sztuka ta, niegrana przez lat dziesięć ze względów politycznych, została wystawiona z dużym powodzeniem po Październiku.

Dwa fortepiany

Jeden z moich krajowych przyjaciół stwierdził: „Można by niewątpliwie wytargować od Gomułki jeszcze wiele poważniejszych ustępstw ale trzeba by wyjść na ulicę. Nikt z poczuć odpowiedzialności na ulicę nie wyjdzie, bo każda demonstracja uliczna w naszych warunkach może się skończyć katastrofą”.

Tak oto wytworzyła się dziwna sytuacja. Ludzie, którzy są często bardzo dalecy od komunizmu i którzy w normalnym układzie tworzyliby potężną opozycję — popierają rząd komunistyczny jako jedyny rząd mogący zapewnić bezpieczeństwo. „Popieram Gomułkę i jego rząd” — powiedział mi mój przyjaciel z Kraju — „ponieważ pragnę by przez najbliższe dwadzieścia lat nikt do nas nie strzelał i nikt nas nie wywoził”.

I w tym punkcie wszelka dyskusja upada. Demokracja... demokracją ale każdy przyzna, że najważniejsze jest bezpieczeństwo.

Nie każda partia komunistyczna dysponuje takim „posagiem”. Gomułka może z całym realizmem powiedzieć, że w obecnej sytuacji tylko on i jego rząd mogą Polsce zapewnić bezpieczeństwo. Ale już Chruszczow nie mógłby tego powiedzieć swoim rodakom. Demokratyczny rząd zapewniłby Rosji niemniejsze bezpieczeństwo niż to z którego korzysta obecnie.

To nie są teoretyczne subtelności. Przeciwnie, to są sprawy o jak najbardziej realnych konsekwencjach. W Polsce aktywna opozycja — gdyby w takiej czy innej „podziemnej” formie była możliwa — zostałaby potępiona przez ogół społeczeństwa. Tego rodzaju akcja zagrażałaby bowiem bezpieczeństwu.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Kto może zapewnić bezpie-

czeństwo i niepodległość (w stopniu w naszej sytuacji osiągalnym) — ten realizuje główny postulat polskiej racji stanu. I w tym charakterze, realizatora polskiej racji stanu, Gomułka, komunista, cieszy się lojalnym poparciem takich polityków jak Jerzy Zawieyski, Stanisław Stomma czy Stefan Kisielewski.

To wszystko jest w porządku dopóki każdy z nas jest świadom iż obecna sytuacja w Polsce jest stanem wyjątkowym. Można przecież sobie doskonale wyobrazić, że w czasie wojny komuniści walczyliby ramię przy ramieniu z katolikami w obronie granic Kraju. W takiej sytuacji różnice ideologiczne muszą być podporządkowane wymogom elementarnej racji stanu, to jest obronie ziemi i biologicznej substancji narodu.

Innymi słowy, jak długo trwa stan wyjątkowy poparcie udzielone Gomułce przez nie-komunistów w żadnym wypadku nie może być określane mianem kolaboracji. Przeciwnie, owo poparcie wypływa z realistycznie pojętego patriotyzmu.

Jeżeli jednak politycy, intelektualiści, pisarze — nie-komuniści popierający czynnie obecny rząd chcą być w jasno określonej sytuacji w stosunku do społeczeństwa (i samych siebie) winni otwarcie powiedzieć: „Jak długo trwa stan wyjątkowy popieramy Gomułkę w interesie bezpieczeństwa i tej niedoskonałej niepodległości jaką mamy. Jednak gdy stan wyjątkowy się skończy — tego samego dnia wyjdziemy na ulicę domagać się wolnych wyborów i odbudowy ustroju demokratycznego”. Komuniści nie powinni mieć wątpliwości, że obecna „koalicja” obowiązuje tylko na okres stanu wyjątkowego i nie oznacza bynajmniej ani kapitulacji ani rezygnacji.

Muszę otwarcie wyznać, że było mi bardzo trudno porozumieć się w tych sprawach z moimi krajowymi przyjaciółmi. Zwłaszcza trudno jest z młodymi, którzy o demokracji albo nie wiedzą nic, albo tylko tyle co wyczytali w marksistowskich podręcznikach. Pewien młody człowiek z Warszawy powiedział mi wprost: „Nie rozumiem jak „Kultura”, która jest doskonale zorientowana w sytuacji krajowej, z takim uporem wysuwa stale żądanie wyborów i nawrotu do parlamentarnej demokracji. Czy wam ktoś płaci za tę propagandę? Jeżeli tak, to byłoby zrozumiałe przynajmniej w sensie „handlowym”. Jeżeli natomiast nikt wam za propagowanie wyborów nie płaci i robicie to w pełni na własny koszt — to jest czysty nonsens...”

„...O co w końcu chodzi — o postęp i socjalizm — czy o wybory i reakcję? Obóz reakcji liczy w Polsce miliony a postępców są zaledwie tysiące. Wolne i nieskrępowane wybory przynieść by musiały w konsekwencji przytłaczające zwycięstwo zmasowanej reakcji i ciemnocie. Czy to jest waszym celem? Czy do tego dąży „Kultura”?”

„...Przebywając od lat zagranicą nie możecie pojąć, że istnieją sytuacje w których wolne wybory nie są bramą wiodącą do demokracji, lecz przeciwnie do faszystującego totalizmu. W takich wypadkach domaganie się wolnych wyborów jest działaniem antydemokratycznym — działaniem sprzecznym z po-

litycznym interesem postępowych grup społeczeństwa. Ustrój socjalistyczny, jaki obecnie budujemy w Polsce, w wyniku wyborów zostałby zastąpiony nie parlamentarną demokracją o jakiej marzyli sobie na Zachodzie lecz prawnicową dyktaturą i zgnieceniem wszelkiej postępowej myśli”.

Cóż odpowiedzieć na powyższą filipikę?

Weźmy dla przykładu następującą sytuację. W państwie X. partia socjalistyczna po wielu latach świetnego rozwoju w wolnych i nieskrępowanych wyborach zdobywa 85% mandatów poselskich. Zdobywszy 85% mandatów partia sprawowałaby de facto władzę dyktatorską dysponując przytłaczającą większością w parlamencie i w rządzie. Sprawując władzę partia miałaby świadomość, że rządzi społeczeństwem złożonym w większości z przekonanych socjalistów. Co jest celem socjalizmu — dyktatura socjalistów czy społeczeństwo socjalistyczne? W moim przekonaniu — społeczeństwo socjalistyczne.

Na to zwykle pada odpowiedź: Jest rzeczą bez znaczenia, że zdobyliśmy władzę nie na drodze demokratycznej skoro mamy możliwość wychować społeczeństwo w ideologii socjalistycznej i przekonać większość, że nasz program jest lepszy niż jakikolwiek inny.

Trudno odmówić logiki temu pogładowi. Jedyną jego wadą jest fakt, iż życie i historia nie chcą go potwierdzić.

Co to znaczy zdobyć kogoś dla idei socjalistycznej? Zdobyc w tym wypadku oznacza — przekonać. Dyktatura sprawująca rządy w oparciu o mniejszość — jak u nas w Kraju — traci możliwość przekonania pozostałej reszty społeczeństwa, to jest większości. Przekonać to znaczy móc wybierać. Z dyktatorem nie ma ani wyboru ani dyskusji. Finalnym argumentem każdej dyktatury jest przymus.

Prasa krajowa przynosi każdego dnia potop wiadomości o nadużyciach-mankach, kradzieżach, łapówkach. A przecież, jak mówi Lenin: socjalizm to kontrola. Osobiście skłonny jestem wierzyć, że socjaliści nie kradną. Ale nie socjaliści budują ustrój socjalistyczny w Polsce.

Rządy monopartii opartej o mniejszość są wylęgarnią oportunistów. Osobiście jestem głęboko przekonany, że wielu ludzi, którzy w normalnych warunkach przyjąłby socjalizm jako swój pogląd, w obecnej sytuacji zdobywają się tylko na oportunizm. Ci sami ludzie, którzy być może stanęliby pod sztandarem walczącego socjalizmu — odnoszą się z niechęcią i niewiarą do socjalizmu urzędowego. Socjalizm urzędowy przemienia w bezideowych oportunistów dziesiątki tysięcy ludzi, których mógłby pozyskać socjalizm walczący.

Owe setki tysięcy oportunistów budują karykaturę ustroju kompromitując socjalizm w oczach społeczeństwa. Ustrój socjalistyczny jeżeli ma być rzeczywisty musi być budowany przez przekonanych socjalistów. Oportuniści tej pracy nie podążają.

Tak my, zagranicą, jak i Polacy w Kraju, wiemy doskonale, że w obecnej sytuacji powrót do ustroju demokratyczne-

go w Polsce nie jest możliwy z przyczyn powszechnie znanych. Ale co innego jest daną rzecz uważać za niemożliwą w określonej sytuacji — a co innego uważać ją za niepożądaną bez względu na sytuację.

Demokracja nie musi oznaczać wielopartyjności, wszechwładztwa Sejmu czy bezmyślnego kopiowania politycznych systemów zachodnich. Demokracja to nie jest program — demokracja to jest metoda.

W mojej ocenie, myślą się wszyscy ci, którzy wierzą, że obecny układ międzynarodowy idzie po linii interesów socjalizmu w Polsce. Obecny układ sprzyja interesom socjalizmu urzędowego ale na tym koniec. Fakt, że socjalizm uznany jest przez ogół za konieczną asekurację odbiera socjalizmowi rewolucyjną dynamikę.

W czasie ostatnich wyborów do Sejmu Gomułka nawoływał, by wyborcy nie skreślali nazwisk kandydatów. Większość wyborców zastosowała się do tego żądania. Ale gdyby Gomułka powiedział: nie skreślajcie nazwisk kandydatów i zapisujcie się masowo do Esperantystów — ludzie byliby posłuchali i tego nakazu. Czegoż nie robi się dla zwiększenia bezpieczeństwa Kraju. Ale cóż to wszystko ma wspólnego z socjalizmem?

Nikt nie odrodzi socjalizmu w Polsce tłumacząc ludziom, że muszą budować socjalizm jeżeli nie chcą wyładować na Kółmie. Odrodzenie idei socjalizmu w Europie wschodniej możliwe jest wyłącznie poprzez powrót do demokracji. Socjalistą bowiem można być tylko z przekonania i z wyboru a nie dla racji geopolitycznych i bezpieczeństwa.

Młodzi publicyści krajowi piszą z ironią o „fetyszu” demokracji i pytają czymże w końcu jest ta cała demokracja?

W Polsce demokracja oznaczałaby rozwinięcie pełnego wachlarza sił Października. Lasota nie musiałby ustąpić z kierownictwa „Po Prostu”, powstałby Związek Młodzieży Demokratycznej a „wściekli” doczekaliby się politycznego upamiętnienia. Bez demokracji postarzą się jako cudowne dzieci z których nie nie wyszło.

Demokracja w polskich warunkach oznaczałaby skonkretyzowanie programów i ideologii oraz mobilizację lewicy, która musiałaby walczyć nie tyle o posady ile o polityczne miejsce pod polskim słońcem.

Przełom październikowy zawierał w sobie perspektywę rozwoju ku pełnej demokracji. Polska rewolucja została niedopowiedziana... z uwagi na bezpieczeństwo.

Jeżeli na danym etapie nie ma możliwości budowy solidnego domu — trzeba się zadowolić szałasem. Ale źle jest gdy szałas uznaje się za coś innego niż za symbol tymczasowości. Jest jeszcze gorzej gdy usiłuje się wmawiać ludziom, że szałas jest domem a stan wyjątkowy ustabilizowanymi „dobrymi czasami”.

Celem tego artykułu — jak i dziesiątków poprzednich — jest pragnienie zredukowania do minimum nieporozumień jakie istnieją między Krajem a emigracją. Możemy się różnić w przekonaniach i ocenach ale jeżeli mamy z sobą współpracować musimy się rozumieć.

W moich artykułach nie oszczędzałem kierowniczych instytucji emigracyjnych i wielokrotnie podnosiłem zarzut, że emigracja w stosunku do Kraju nie ma żadnej polityki. Sądzę więc, że nikt nie poczyta mi za złe jeżeli zapytam z kolei jaką politykę w stosunku do emigracji uprawia Kraj?

A może w stosunku do Polaków zagranicznych nie opłaci się uprawiać jakiejkolwiek polityki?

Przybysze z Kraju mają skłonność albo do przeceniania politycznych możliwości emigracji albo, odwrotnie, wyrażają pogląd, że politycznie emigracja nic nie znaczy i nic nie może.

Młody inżynier z Polski był dość zaskoczony gdy na jego prośbę by przytoczyć jakiś konkretny przykład politycznych możliwości emigracji wymieniłem pożyczkę amerykańską. W tej sprawie emigracja i Polonia odegrała wybitną rolę. Niestety nie leżało w zakresie możliwości Polaków zagranicznych wydatniejsze zwiększenie sumy — niewątpliwie jednak leżało w granicach możliwości politycznych emigracji stordowanie całego projektu. Wbrew opinii emigracji politycznej i Polonii Amerykanie nie byliby udzielili pożyczki. Niewątpliwie idealnym rozwiązaniem byłoby gdyby polityka polska grać mogła na dwóch fortepianach — krajowym i emigracyjnym.

Janusz Stefanowicz w artykule ogłoszonym na łamach „Kierunków” pisze, że Polska Ludowa na skutek fatalnej polityki w stosunku do emigracji straciła niepowrotnie tych ludzi.

Wiemy jak to było. „Targowica leży nad Atlantykiem”, „Na podstawie martwej wizy”, „emigranda”, biuletyn „Kraj”. Propaganda repatriacyjna nosiła charakter amnestyjny. Mieliśmy wracać jako przestępcy polityczni, którym darowano karę.

Po Październiku zawieszono biuletyn „Kraj”, przestano pisać o „emigrandzie”, odkryto nawet nie bez zdumienia, że 99,9% emigrantów pracuje zarobkowo zamiast żyć wygodnie na żołdzie obcych wywiadów...

Ale to i wszystko. Żadne istotne zmiany nie nastąpiły.

Spójrzmy na te sprawy z innego nieco punktu widzenia. Jest legenda, że prasa krajowa dobrze idzie na emigracji. Dwa najpopularniejsze tygodniki krajowe rozchodzą się w Londynie zaledwie w kilkuset egzemplarzach (300 do 350 sztuk). Oczywiście, że w tych warunkach żaden z tygodników krajowych nie stanowi konkurencji dla prasy emigracyjnej. Dlaczego tak jest? Zaczęłem moich dość licznych znajomych szczegółowo wypytywać na temat ich stosunku do prasy krajowej.

Jeden z moich znajomych ujął ten problem następująco: „Prasa emigracyjna pełna jest wiadomości o Kraju. Z nielicznymi wyjątkami stanowisko prasy emigracyjnej w stosunku do Kraju nacechowane jest wielką życzliwością. Ostatnio nawet

take pisma jak londyńskie „Wiadomości” zamieszczają dużo materiału informacyjnego o Polsce. Na łamach „Kultury”, „Merkuriusza” a nawet „Orla Białego” toczą się dyskusje wokół tematyki krajowej...

„...Jeżeli jednak dla porównania weźmiemy do ręki prasę krajową na jej łamach nie znajdziemy tygodniami i miesiącami najmniejszej nawet wzmianki o 7 milionach Polaków zagranicznych. Oni programowo nas niedostrzegają. Oczywiście jak zawsze tak i w tej sprawie są chwalebne wyjątki. „Tygodnik Powszechny” dość często zamieszcza wzmianki poświęcone życiu Polaków zagranicznych. Nic też dziwnego, że emigracyjny „nakład” tego pisma rośnie”.

„...W swej masie prasa krajowa traktuje emigrację jako nieistniejącą. Fakt ten wywołuje w czytelniku emigracyjnym poczucie izolacji, zbędności, oderwania...”

Do powyższej wypowiedzi należy dodać kilka słów komentarza. Prasa krajowa nic nie wie o emigracji ponieważ programową polityką władz jest odcięta od źródeł informujących o życiu emigracji. Tej luki nie zapełni kilka reportaży o życiu Polaków w Wielkiej Brytanii jakie ukazały się ostatnio na łamach prasy warszawskiej. W reportażach tych jest mnóstwo błędów i nieścisłości lecz w Kraju nikt nie dysponuje rzeczowymi danymi, które umożliwiłyby skorygowanie tych błędów.

Trzeba jasno i wyraźnie stwierdzić co następuje: To tylko my, na emigracji, po Październiku otwarliśmy na oścież bramy. Kraj jednak jak był od nas odcięty „żelazną kurtyną” tak jest nią odcięty nadal.

Przedwojenny a obecnie wznowiony w Kraju „Rocznik Literacki” całkowicie ignoruje literackie i naukowe piśmiennictwo emigracyjne. Trudno w to doprawdy uwierzyć, ale 21 tomów Biblioteki „Kultury” potraktowano za... nieistniejące. Polak w Kraju wertując tom rocznika nie dowie się, że Czesław Miłosz napisał „Dolinę Issy”, którą komisja krytyków uznała w roku 1955 za najlepszą polską książkę roku. Nie dowie się o powieściach Józefa Mackiewicza, o „Smagłej Swobodzie” Pankowskiego i o dziesiątkach innych często wybitnych pozycji. Kto za to ponosi winę? „Żelazna kurtyna”. W cytowanym Roczniku czytamy bowiem, iż nie omówiono książek emigracyjnych ponieważ dla redaktorów były one niedostępne.

W Kraju przyzwyczajono się do wielu rzeczy, do których niełatwo jest przywyknąć. Ale do pewnych rzeczy *nie wolno* jest przywyknąć. Jak poważni naukowcy zdolni są przełknąć spokojnie taką kompromitację? Stwierdza się w poważnej publikacji, że książki, które są do nabycia w każdej londyńskiej czy paryskiej księgarni ... w Warszawie są niedostępne. Gdzie leży Warszawa — w pośrodku pustyni Gobi?

Nikt nas nie przekona, że „żelazna kurtyna” w stosunku do książek i periodyków emigracyjnych — dyktowana jest względami bezpieczeństwa.

Powyższa sprawa odgrywa wprost zasadniczą rolę w kształ-

towaniu się stosunków między Krajem a emigracją. Nie pomogą pisma specjalne typu „7 Dni” czy „Magazyn Polski” gdyż specjalizacja tych pism podkreśla tylko ich propagandowy charakter. Przeciwny emigrant pragnie na łamach prasy krajowej spotkać omówienia i recenzje z książek wydanych na emigracji — pragnie czytać w prasie krajowej dyskusje i polemiki z prasą emigracyjną — pragnąłby widzieć odnotowane ważniejsze wydarzenia w życiu Polaków zagranicznych. Innymi słowy emigrant chciałby w zwierciadle prasy ojczystej dojrzeć odbicie działalności wielomilionowej społeczności polskiej, której wypadło żyć poza granicami Kraju.

Zamknijmy niniejsze rozważania wyodrębnieniem kilku punktów.

1. Dzieli nas od Kraju nie odległość, która wyraża się kilku godzinami lotu, lecz ów mur zakazów uniemożliwiający wysyłkę polskiej książki, periodyku czy czasopisma z Londynu czy Paryża do Warszawy. Owe embargo na twórczość naukową i literacką Polaków zagranicznych jest permanentną obelgą pod nasz adres, obelgą podniesioną do rangi instytucji.

Obrzydliwa jest obłuda pewnych pism literackich. „Nowa Kultura” zamieszcza fotografię Witolda Gombrowicza i entuzjastyczny artykuł o jego „Dzienniku”, wydanym przez „Kulturę”. Chodzi o wywołanie wrażenia, że Warszawa to ... wielki świat gdzie „Dziennik” Gombrowicza można kupić w każdej księgarni. W rzeczywistości tenże „Dziennik” czy jakkolwiek polska książka wysłana z zagranicy do Kraju ulega konfiskacie.

W Kraju w którym nie istnieje terror i obozy koncentracyjne nikt — w moim przekonaniu — nie ma moralnego alibi jeżeli milczy w tej skandalicznej sprawie. To jest tylko oportunizm i bierność.

2. Nic tak nie utrwała owego separatyzmu oddzielającego Emigrację od Polaków w Kraju — nic nie *przyspiesza* wydanej *procesu wynaradawiania* — jak embargo kulturalne, które w konsekwencji powoduje zanik zainteresowań sprawami emigracyjnymi u Polaków w Kraju. Przestajemy się wzajemnie znać, rozumieć, potrzebować. Jeżeli to jest celem polityki emigracyjnej rządu P.R.L. to rezultaty są niewątpliwe.

3. Apelujemy do pisarzy, dziennikarzy, naukowców: zorganizujcie nacisk opinii publicznej, podejmujcie uchwały na zebraniach, piszcie artykuły w prasie domagając się zniesienia embargo na twórczość literacką i naukową Polaków zagranicznych. Nawet jeżeli wasz protest nie przyniesie konkretnych rezultatów będzie świadectwem oporu polskiej kultury przeciw stupajce.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Spostrzeżenia i uwagi krytyczne (dok.)

„Aktualizowanie” zagadnień, podporządkowanie ich dzisiejszemu politycznemu stanowi, prowadzi autorów-historyków do przenoszenia pojęć dzisiejszych w przeszłość badaną i do nie liczących się z historią anachronizmów. Najbardziej chyba raziącym i najczęstszym takim anachronizmem, wielokrotnie nadużywanym, są wyrazy: *Rosja*, *rosyjski* zamiast *Ruś*, *ruski* lub *Moskwa*, *moskiewski* w odniesieniu do stosunków sprzed wieku XVIII. Autorzy „makiety” jakby zapominają o tym, że Moskwa, Państwo Moskiewskie zostało Cesarstwem Rosyjskim dopiero w XVIII wieku, kiedy to car Piotr w związku z pokojem nysztadzkim w roku 1721 przybrał tytuł cesarza Wszech Rosji.

W „makiecie” i przed tą datą, przy rozważaniu wypadków o wiele wcześniejszych (z wieków XIV-XVII), obok z rzadka stosowanych terminów *Ruś-Moskwa*, najczęściej znajdujemy anachroniczne nazwy *Rosja*, *rosyjski*. Oto kilka przykładów, które, zwłaszcza w tomie B, spotykamy na każdym kroku: s. 66: *Rosja* odepchnięta przez Polskę i Szwecję od Morza Bałtyckiego; s. 148: ziemie Litwy, ciągnące (w XIV i XV w.) do Państwa Rosyjskiego, aczkolwiek o kilka wierszy niżej na tejże stronie mówi się o Państwie Moskiewskim; s. 149: tytuł rozdziału brzmi: „Wojny litewsko-rosyjskie 1492-1503”; s. 151: porozumienie z Rosją w r. 1512; s. 153: jest mowa o tendencjach Zygmunta I Starego do wznowienia wojny „z Państwem Moskiewskim” i odzyskania ziem opanowanych „przez Rosję”; s. 179: mowa o polityce zjednoczeniowej Rosji w XVI wieku; s. 212: armie rosyjskie przechodzą przez całą Litwę centralną w zimie 1534-1535; s. 417: uciskana ludność Ukrainy Nadnieprzańskiej szuka w roku 1591 oparcia „w bratnim Państwie Rosyjskim”; s. 561: rząd rosyjski, *Rosja*, stosunki dyplomatyczne

polsko-rosyjskie; Państwo Rosyjskie, udzielające pomocy ludności Ukrainy — wszystko to w roku 1648; s. 575: dalsza wojna z Rosją po roku 1658 (w celu odzyskania latyfundiów magnackich na wschodzie). ...

Przykładów podobnych przytoczyć by można jeszcze mnóstwo.

Zgodzić się należy w całości na użycie terminów *Ukraina*, *ukraiński* w znaczeniu geograficzno-terytorialnym lub etnograficznym, np.: feudalowie „ziem ukraińskich” (czy może lepiej: ukraińskich?), A, s. 539; „bojarzy ukraińscy”, A., s. 540; „szlachta litewsko-białorusko-ukraińska”, B, s. 179. ... Wszakże cokolwiek anachroniczny i fałszywy wydźwięk posiadają te same terminy (*Ukraina*, *ukraiński*), o ile się im nadaje w pewnej mierze znaczenie polityczne: „wojna wyzwolenicza narodu ukraińskiego”, B, s. 557; „ukraińska armia ludowa”, B, s. 561. ... Obydwa te przykłady dotyczą wypadków z XVII wieku (1638, 1651). Lwów z końca XVIII wieku uznany jest za miasto ukraińskie: C, s. 2331. ...

Anachronizmem wreszcie trąci w książce ocena pewnych wypadków dziejowych, jednostek, instytucji, dążeń, oparta niekiedy na kryteriach, wziętych z wieku XIX lub XX, lub na przewrotach polityczno-społecznych, zaszłych czy zachodzących w dobie obecnej. Uznaje się je za punkt wyjścia do sądów dodatnich czy ujemnych, przenosząc poglądy dzisiejsze w oddaloną przeszłość.

Hojnie bardzo szafuje się pojęciami „regresu” i „progresu”, w odpowiednie etykiety zaopatrując przedstawiane fakty dziejowe i jednostki. Coś jednego uznają autorzy „makiety” za *postępowe* z punktu widzenia dzisiejszych stosunków, coś innego znowu piętnują, jako *reakcyjne*. Oto parę przykładów:

A, s. 594: odnowienie uniwersytetu w Krakowie w r. 1400 w oparciu o wzory Sorbony paryskiej, zapewniające teologii przewagę na uniwersytecie, uznane zostało za *mniej postępowe*; B, s. 155: „walka średniej szlachty z najwyższymi feudalami” była *zjawiskiem postępowym*, choć ograniczonym klasowo; i dalej w tymże t. B, s. 159: walka Bony na polu gospodarczym z częścią możnowładztwa, zmierzająca do wzmocnienia władzy wykonawczej, była *postępowa*; s. 167: „rola *progresywna*” programu centralizacji i zjednoczenia, jako sprzyjająca „dalszemu rozwojowi w kierunku odległego jeszcze... kapitalizmu”; s. 171: „*wsteczne oblicze*” Izby poselskiej, ujawnione w ruchu egzekucyjnym za Zygmunta Augusta; s. 185: artykuły henrykowskie i *pacta conventa* z r. 1573, jako ograniczające władzę królewską, uważane są za *akt wsteczny*, aczkolwiek włączony do „artykułów” akt konfederacji warszawskiej, głoszącej zasady wolności sumienia i ograniczonej tolerancji, pełnił rolę *postępową* (s. 206); s. 203: udział w arianizmie XVI-wiecznym niektórych jednostek (Sienicki, Filipowski, Stan. Lubomirski) miał charakter *postępowy*; s. 308: w działalności Kromera, związanej z kontr-reformacją dopatrzeć się można „*społecznego wstępczienia*”; podobnie (s. 309) w „Kronice świata” Bielskiego Marcina i u Budnego (s. 311) dostrzega

się „uwstecznicie”; natomiast protestancka pieśń religijna, zawarta w kanconalach z XVI w., przedstawiała tendencje *postępowe* (s. 319); s. 679: w baroku przeważały *elementy postępowe lub wsteczne*, na terenie Rzplitej szczególnie od połowy XVI w. wyraźnie przeważać miały *elementy wsteczne*, co wynikało z układu stosunków społecznych u nas (s. 680).

I tak dalej, i tak dalej na każdym niemal kroku, najczęściej w oparciu o kryteria, nie wysnute ze współczesnej wydarzeniom przeszłości, lecz wzięte z pojęć dzisiejszych. Nie jest to metoda, godna zalecenia.

Unia Polski z Litwą.

Dziwny jest stosunek autorów „makiety” do sprawy Litwy i unii polsko-litewskiej. Jest on inny, niż stosunek do tegoż przedmiotu rosyjskiej „Istorii Polszy”. Tam, przy negatywnym i jak najsurowszym osądzie sprawy unii Litwy z Polską, traktowano dzieje Litwy do pewnego stopnia *per non est*, jako sprawę jakby nie mającą istotnego związku z historią Polski, o której też jak najmniej w historii Polski mówić należy, nieraz przemilczając fakty z dziejów Litwy, nawet najdonioślejsze i jak najściślej z historią Polski związane, bez których „procesu dziejowego” Polski nie da się absolutnie wyrozumieć.

Tutaj, w „makiecie”, fakt unii polsko-litewskiej również potępia się jak najostrzej, jako skutek krótkowzroczności politycznej, gorzko się mszczący na dalszych losach obu krajów, oraz jako akt zachłannej zaborczości „polskich latyfundystów” czy feudałów. „Makieta” liczy się wszakże z kilkowiekowym faktem współzycia i oddziaływania wzajemnego Polski i Litwy na siebie. Daje się tu przy tym zauważyć pewna niekonsekwencja.

Niekiedy mówi się o sprawach dotyczących Litwy, w sposób dość obszerny i wyczerpujący, dotykając nawet szczegółów.

Oto przykłady, wzięte z t. B: s. 204 — jest tu mowa o synodzie Arian z r. 1568 w Iwii na Litwie; *tamże*: o Augustynie Rotundusie Mieleskim, wójcie wileńskim; s. 231: o podziale administracyjnym Litwy; s. 378: o transporcie przewłokowym z Dźwiny przez Dżinę do Michaliszek nad Wilią, albo o Tatarach-furmanach zawodowych z Waki pod Wilnem; s. 380: mówi się o Wilnie, Mohylewie nad Dnieprem i Brześciu Litewskim nad Bugiem, jako o ważnych ośrodkach handlowych; s. 410: o straceniu w Wilnie (pocz. XVII) Włocha z pochodzenia, nazwiskiem Franco, za bluźnierstwo; s. 477: o skarbie litewskim; s. 450: o piechocie wybranieckiej z Litwy, na którą rozciągnięto konstytucję o wybrańcach; s. 516: wzmianki o wyludnieniu („regresie demograficznym”) na Litwie i Białorusi, o gospodarstwie folwarcznym na Litwie (535), o cechach rzemieślniczych w Grodnie, w Kiejdanach (546), o dobrach „neuburskich” na Litwie (s. 613) ...; s. 623: o rozruchach chłopskich w mozyrskim na Białorusi ok. r. 1755 i w Wilnie ok. r. 1761... A więc widzimy, iż sprawy litewskie w „makiecie” niekiedy są uwzględniane szeroko i szczegółowo.

Kiedy indziej, aczkolwiek poruszenie spraw litewskich samo zdaje się narzucać, są one albo pominięte zupełnie, albo zbyt w kilku słowach.

Np.: w tymże t. B., s. 38: wymienione są (nawet mniej ważne) prace o Warszawie, Krakowie, Poznaniu, brak zaś monumentalnej pracy o Wilnie J. I. Kraszewskiego; wśród wzrastających w XV i XVI w. miast takich, jak Poznań, Warszawa, Lublin, Kraków, Gdańsk, brak Wilna, Kowna, Grodna (s. 95); s. 388: wśród miast podupadłych w w. XVII znowu Wilno wymienione nie jest aczkolwiek najazd moskiewski w r. 1655 i kilkoletnia później okupacja więcej chyba je zniszczyły, niż inne miasta w tym czasie... Dlaczego, skąd powstały te pominięcia, odpowiedzieć na to nie umiemy, wyrażamy tylko z powodu tej niedokładności, płynącej chyba z mimowolnego niedopatrzenia, ubolewanie.

U genezy dojścia do władzy Jagiellonów w Polsce i unii polsko-litewskich — według „makiety” — miała być „solidarność litewskich i polskich feudałów, i zbieżność interesów w ujarzmieniu Rusi i utrudnianiu jej połączenia z Moskwą” (A, 515).

pozytywne strony unii Polski z Litwą, zdaniem autorów „makiety”, polegały „głównie na umożliwieniu obu krajom zwycięskiej walki z Zakonem” (A, 515), oraz, jeżeli o Litwę chodzi, na tym, że Litwa zyskała pomoc Polski w walce z Moskwą, której sama przeciwstawić się nie mogła (B, 165).

Poza tym niosła za sobą same *minusy* i posiadała cechy *negatywne*: 1) „Miała wyraźnie klasowy, reakcyjny charakter; jak dalej stwierdza „makieta”, „nie leżała ani w polskim, ani litewskim interesie” (A, 515); 2) „Umacniała feudalizm polski i torowała drogę do ekspansji szlachty polskiej na ziemie litewskie, a zwłaszcza ruskie”... „Ekspansja ta rozwijała się na drodze wyzysku chłopów” i „w drodze łapania siłą zbrojną wszelkich prób oporu” (B, 182). Przytaczany jest nawet, jako „nie wykluczony” argument, że: „jednym z celów zawarcia unii lubelskiej była dla szlachty polskiej chęć zlikwidowania ucieczki chłopów polskich w kierunku wschodnim” (B, 93); 3) *Konsekwencją* unii była „polska kolonizacja magnacka” i „tworzenie się ogromnych latyfundiów” oraz wzrost znaczenia magnaterii w życiu Rzplitej (B, 182); 4) „Szczególnie niebezpieczną” (jako następstwo dalsze unii) „stała się polityka społeczna, narodowościowa i wyznaniowa feudałów, oparta na ucisku i wyzysku” (ibidem); wciągnęła ona Polskę w konflikty z Rosją „a zarazem oznaczała *definitywne odwrócenie się* od istotnych zagadnień na północy i zachodzie” (ibid); 5) W tych warunkach przyczyniła się do pogłębienia regresu gospodarczego i politycznego Rzplitej i stała się jedną z przyczyn jej upadku (ibid.).

Ostatecznym, i, jak wygląda z powyższych wywodów „makiety”, *raczej pomyślnym* zlikwidowaniem skutków unii było „*zajęcie ziem litewskich*” przez Rosję podczas rozbiorów: „zahamowało ono w następstwie proces polonizacji Litwy i tworzyło warunki jej rozwoju gospodarczego przez ułatwienie jej dostępu do morza” (C, 369).

Przytoczyliśmy tu w dłuższych ustępach *ipsissima verba* „makiety”, trudno bowiem wyobrazić sobie, żeby książka *pol-ska*, traktująca o przeszłości polskiej, unię Polski z Litwą przedstawiała w sposób mniej bezstronny, a bardziej *jednostronny*, ujemny i ponury, jako dzieło feudałów polskich, którzy raz jesz-

cze ukazują się tutaj w roli czarnych charakterów, kierujących się wyłącznie brutalnym egoizmem stanowym i pobudkami najniższej materialnej natury.

Sądy historyków polskich dawnych, o imionach choćby najgłośniejszych (Halecki, Kolankowski, Kutrzeba, Paszkiewicz i inni), zajmujący się dziejami unii, na ogół nie znajdują łask w oczach autorów „makiety” (np. A, 238-9; B, 43 et pass.), którzy sądzą ich nad wyraz surowo i uszczypliwie. Wprawdzie niekiedy uważają ich prace, poświęcone unii, za „materiałowo” ważne, lecz ich sądy uznają za naukowo nie uzasadnione, za nacjonalistyczną apologię unii i jej „gloryfikację”, przedsięwziętą z punktu szerzenia pewnej „misji dziejowej”, której zgoła nie uznają, i nie chcą w niej dostrzec *żadnych rysów wzniosłości moralnej*. A przecież, w stworzeniu drogą unii dualistycznej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, te rysy *wzniosłości moralnej* — („wolni z wolnymi, równi z równymi”, oczywiście, w ograniczonych ramach stosunków ówczesnych!) — o których może zbyt wiele się mówiło w naszej historiografii, niewątpliwie w unii polsko-litewskiej *jednak były i nie zauważone być nie mogą*.

Może w żadnym zakresie nie uwydatnił się tak bardzo *propagandowy* charakter wydawnictwa, mimo celów naukowych jakie sobie ono stawia, jak właśnie w oświeceniu spraw unii, w *odarcie jej ze wszelkich blasków*, jakie w niej widziała dotychczasowa nasza historiografia. „Makieta” usiłuje *zdyskredytować* unię moralnie i politycznie w oczach czytelnika, idąc w całości po linii dzisiejszej aktualności politycznej, aprobując niejako obecne pojałtańskie zagarnięcie ziem litewskich przez Rosję Sowiecką.

Polska a Ruś - Moskwa - Rosja.

Ujęcie w „makiacie” stosunków polsko-rosyjskich w toku dziejowym, a raczej stosunków zrazu polsko-ruskich, później polsko-moskiewskich, wreszcie (od czasów Piotra I) polsko-rosyjskich, ze względu na zależność obecnej Polski od Rosji Sowieckiej, budzić musi szczególne zainteresowanie, połączone z obawą, czy nie zostały one wypaczone lub zabarwione w swym sposobie.

Zobrazowanie tych stosunków w ciągu wieków zajmuje tu stosunkowo dużo miejsca. Nie omieszkają przy tym autorzy „makiety” podkreślić, że ściśle od prawnie stosunki polsko-ruskie miały na ogół dla Polski znaczenie *dotądnie* (A, 126, 170, 178, 182; B, 117, 367). Podobnie było i w czasach nowszych, w zakresie stosunków Polski z Państwem Moskiewskim (np. B, 551-2: dogodne taryfy celne w traktacie Grzymułtowskiego z r. 1686, ułatwiające stosunki handlowe z Moskwą). Nawet w czasach porobiorowych wielokrotnie „makieta” zaznacza życzliwe ustosunkowanie się czynników radykalnych i rewolucyjnych rosyjskich do dążeń i walk narodu polskiego o niepodległość (D, 104-107, 663-665, 668-670), co niektórzy spośród nich, jak np. zacny czło-

nek rosyjskiej „Ziemli i Woli” por. Andrzej Potiebnia, przypłacili życiem.

Dowiadujemy się z „makiety”, że już w XIV w., za Łokietka, Ruś uważana była u nas za „tarczę niezwalczoną” (scutum inexpugnabile), broniącą Polskę przed najazdami (A, 367). I w dalszych stosunkach z Polską Ruś, później Moskwa, nigdy nie uwydatniała dążeń zaborczych, odgrywając rolę szlachetnego obrońcy i wiernego sprzymierzeńca. Tak miało być np. w r. 1656, kiedy to porozumienie „polsko-rosyjskie” „walcie dopomogło podówczas Polsce w walce z agresorem szwedzkim” (B, 566).

Inaczej zgoła Polska: stale, już od XI w. na gruncie Grodów Czerwińskich (A, 170), i później niejednokrotnie, wykazywała zachłanną zaborczość i agresywność (por. np.: A, 488, 497-500, 505, 507, 513 ...). Wojna o Inflanty za Zygmunta Augusta z Iwanem Groźnym uznana jest w „makiacie” za „awanturniczą” ze strony Polski (B, 165), a droga na Inflanty, które pragnęła zagarnąć Moskwa, za „fałszywą” (B, 215). Ubolewają autorzy „makiety” jednocześnie nad tym, że linia elektorska Hohenzollernów dopuszczona została przez Zygmunta Augusta do współlenia pruskiego (4 marca 1563 r.), ale przeciw wywołane to zostało postępnymi w tej wojnie wojsk moskiewskich, które na dwa z górą tygodnie przedtem zajęły 15 lutego r. 1563 należący do Litwy Połock (B, 216). Zdumiewający jest stosunek „makiety” do wojen Stefana Batorego z Moskwą (B, 394, 397), jedynych, nawiasem mówiąc, które zakończyły się dla strony polsko-litewskiej — pomyślnie: Batory ponoć dążył do opanowania i podbicia Rosji (Moskwy), później zaś wręcz do jej „ujarzmienia” (B, 397, 399, 402).

Rosja w swych działaniach wojennych nie najeżdża, tylko „przystępuje” do wojny (np. w r. 1659 — B, 567). Piotr I sprzeciwia się haniebnym projektom podziałowym Augusta II (B, 612) „zgodnie z zasadniczymi tendencjami polityki rosyjskiej w stosunku do Rzeczypospolitej”, słusznie mówią autorzy „makiety”, ale nie dodają, że tendencje te polegały na dążeniu do opanowania całej Rzplitej.

Łagodne i niejako „w rękawiczkach” przedstawione są stosunki Rosji do Polski w sprawie rozbiorów: między innymi podkreśla się z uznaniem, że imperatorowa Katarzyna „przez czas dłuższy uchylała podjęte jeszcze w 1769 przez Prusy koncepcje rozbiorowe” (C, 98), wiemy, oczywiście, dlaczego, choć nie znajdujemy tego w „makiacie”: chodziło Katarzynie o zagarnięcie całej Polski, w myśl tzw. niepisanego „testamentu” Piotra I, którego polityki spadkobierczynią być chciała. Z naciskiem „makieta” podnosi, że w przeciwieństwie do dwu innych zaborców, Rosja nie otrzymała ziem *etnograficznie* polskich (C, 100, 225, 369), przechodząc w ten sposób do porządku dziennego nad polskim żywiołem w milionowej rzeszy osiadłym na ziemiach zabranych przez Rosję, który wykazywał i w wiekach ubiegłych

i później niezwykłą siłę żywotną i przywiązanie do kultury i tradycji polskiej.

Ogromnie miękko mówi się w „makiecie” o straszliwej rzezi Pragi, którą — jak wiemy — wieśniaczki w „Panu Tadeuszu” „znały z pieśni i z powieści” i przypominały sobie „ze łzami boleści”. Na kartach „makiety” jest to po prostu „Upadek Pragi”, podczas którego, gdy „beznadziejny opór obrońców dogasł”, „zwycięzcy wzięli odwet na mieszkańcach Pragi za kwietniowe dni warszawskie” (C, 359, 360), a więc w pewnej mierze wydawać się może, iż okrucieństwa zwycięzców są wytłumaczone.



Widzimy więc, że dzieje stosunków polsko-rosyjskich niekiedy są w „makiecie” przedstawione z większą dla strony rosyjskiej wyrozumiałością, niż z bezstronnością, która cechować by winna poważne dzieło naukowe. Pociągnęło to za sobą jednostronność naświetlenia pewnych wypadków historycznych, przemilczenia i nawet zniekształcenia historycznych.

To nadmierne liczenie się z drażliwością nacjonalizmu rosyjskiego jest jeszcze jednym dowodem ciężącej nad Polską fatalnej zależności od Rosji.

Chłopi i włościanie.

Szczegółowsze zajęcie się historią ludności włościańskiej należy uznać za *niezaprzeczną zasługę* autorów „makiety”.

Obciążenia ludności chłopskiej — w robociznach, w naturze, w „gotowym groszu” — jej nędza i ucisk, którego doświadczała od „feudałów” w ciągu wieków, jej „rozwarstwienie” i różnice w stanowisku prawnym i materialnym, jej bunty i walka o prawa: zajmują w „makiecie” dużo miejsca. Zupełnie słusznie, zarówno z uwagi na liczebność ludności chłopskiej na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, jak doniosłość zagadnienia, jak wreszcie ze względu na to, że sprawa ta na ogół była często niedostatecznie omawiana w dawniejszych opracowaniach ogólnych, a jest sprawą rzeczywiście palącą, niekiedy zaś, ze względu na istotne objawy ciężkiego ucisku, w jakim żyła chłopska ludność, wywołują zawstydzenie i żal do dawnych pokoleń — pokoleń dzisiejszego, które sądzić zwykło przeszłość według kryteriów myślenia i poglądów dzisiejszych.

Gdy wszakże czyta się w „makiecie” ustępy, dotyczące ludności chłopskiej, nasuwają się następujące *poważne zastrzeżenia*:

1) Wciąż się mówi o bezwzględnej, bezlitosnej, „feudalnej” eksploatacji w Polsce ludności włościańskiej polskiej (a także ukraińskiej, białoruskiej, litewskiej), a życie jej przedstawione jest w sposób jak najbardziej ponury i złowrogi, z uwydatnieniem stron najgorszych, jako prawdziwego i niemal bezprzykładnego

„*infernum rusticorum*”. Por. np. ustępy w „makiecie”, w jaskrawych i wymownych słowach przedstawiające ucisk i wyzysk ludności chłopskiej:

A, 153, 157, 232, 259-262, 333-343, 415, 449-461, 568.

B, 76-95, 261, 351-366, 414-420, 464-469, 520-539, 557-566, 577, 635-7, 646-652.

C, 50-63, 121-130, 227-230, 239, 272-3, 274, 335, 429-30, 495, 530-4.

D, 15-27, 111-113, 134-37, 212-3, 217-8, 229-30, 246-7, 264-6, 565-8, 652-3, 703-6, 731.

Niedola ludności chłopskiej była istotnie w Polsce wielka. Słusznie też na to szczególnie nacisk położono w „makiecie”.

Doznaje się wrażenia, że autorzy, w porównaniu z rzeczywistością przejąskrawili zło, nie ujęli dziejów ludności chłopskiej w Polsce z należytym obiektywizmem i przedstawili sprawę tę w barwach nazbyt *jednostronnie czarnych*. Bo, z jednej strony trzeba pamiętać, że położenie tej ludności nie było czymś stałym i niezmiennym, że zachodziły w nim wielkie zmiany, że było ono różne w różnych okresach, zależnie od terytoriów tudzież od kategorii dóbr, w których włościanie zamieszkiwali. Z drugiej zaś strony, należy unikać uogólnień zbyt pochopnych i pośpiesznych.

Z pojedynczego faktu np., że jakiś oficjalista starostwa leżajskiego, należącego wówczas do Łukasza Opalińskiego (w. XVII), odgrażał się, iż chłopom, wracającym z królewskim listem żelaznym, mandaty królewskie nic nie pomogą, i że każe im te mandaty „posoliwszy pojeść” (B, 361); albo że stolnik przemyski Trojecki „kazał udających się na skargę chłopów topić w Sanie” (ibidem). Czy wykonywał tę swoją groźbę, nie wiemy — otóż z takich faktów jednostkowych nie należy wysnuwać żadnych szerszych uogólnień i dalej idących wniosków. W *aktach sądowych*, w których najczęściej znajdujemy wiadomości o tego rodzaju wypadkach, zazwyczaj podawane są fakty wyjątkowe i wykraczające poza normy moralne i prawnie przyjęte. Dają one obraz stosunków panujących jednostronnie ujemny. (Por. słynne dzieło Łozińskiego „Prawem i lewem”, które na podstawie akt sądowych daje niezwykle barwny, ale i skrzywiony zarazem wizerunek społeczności ówczesnej).

2) Jeżeli gdzie się odczuwa w „makiecie” brak porównań, zestawień ze stosunkami, panującymi gdzie indziej, to zwłaszcza w przedstawieniu niedoli chłopskiej. Wprawdzie tu i ówdzie są wzmianki „porównawcze” o stosunkach chłopskich, panujących gdzie indziej (np. B, 420: o stosunkach moskiewskich w początkach w. XVII), ale porównań takich jest stanowczo zbyt mało.

Zestawienia porównawcze wypadłyby z pewnością w wielu wypadkach na korzyść stosunków w Polsce. Zwłaszcza w porównaniu z tym, co widzimy w Moskwie i późniejszej Rosji, gdzie nie tylko za Katarzyny II w drugiej połowie XVIII w., ale nawet jeszcze i w połowie w. XIX rachowano przeciw majątek ziemian na dusze chłopskie i prowadzono w najlepsze handel nie tylko ży-

wymi, ale i martwymi duszami. U nas wzajemne odstępowanie dusz chłopskich przez ziemiaństwo, *sprzedaż ich bez ziemi*, niestety odbywała się (Piotr Skarga, Wacław Potocki, — por. także w „makiecie” B, 521-22), ale stanowiło to nie regułę, lecz wyjątki, i raczej nie należało do transakcji, praktykowanych ogólnie, powszechnie i *masowo*.

3) U nas, w Polsce, *punkt ciężkości prawnospołecznych stosunków chłopskich* spoczywał bodaj nie tyle w zakresie niewoli osobistej, aczkolwiek i on istniał niewątpliwie, ile w poddaństwie, jako w przytwierdzeniu do ziemi, do której nie tylko pan („feudal”, jakby powiedziano w „makiecie”), ale i chłop, wieśniak-poddany — w odczuciu ogółu — posiadał pewne prawo i nie zawsze mógł go być pozbawiony.

Wyczuwali to i rozumieli ustawodawcy Sejmu Czteroletniego, rozumiał to Kościuszkowski i dał temu wyraz w orzeczeniu o nieusuwalności chłopów z gruntu w Uniwersale Połanieckim (C, 336). Nie rozumieli tego ustawodawcy obcy, np. Napoleon, orzekający krótko: „L'esclavage est aboli” w Konstytucji Królestwa Warszawskiego, która żadnych praw wieśniaka do ziemi nie uwzględniała.

Doznaje się wrażenia, że i „makieta” dostatecznie tych spraw nie uwzględnia i nie podkreśla.

4) Stojąc na stanowisku bezwzględnej walki klas, widzą autorzy „makiety” we wszelkich działaniach ludzkich, od czasów najdawniejszych aż do najnowszych jako główny, niemal jedyny motyw działania „feudalów”, klas posiadających, tylko egoizm, chęć zysku materialnego, osiągnięcia drogą *wyzysku*, drogą „eksploatacji”, który to wyraz, obok wyrazu „feudalizm”, jest najczęściej spotykanym terminem w książce.

Oczywiście, i czyny okrutne, nieludzkie były u nas w stosunkach społecznych, i słusznie autorzy robią, stwierdzając je i piętnując. Ale w imię *bezsłowności naukowej* winni z naciskiem podnosić objawy humanitaryzmu społecznego w stosunkach włościańskich, które niewątpliwie *również* były i nie powinny ująć spostrzegawczemu oku badacza. Przemilczanie tych objawów jest może zrozumiałe u marksistów, ale zgoła niedopuszczalne — u historyków.

Oto przykład. Stwierdzony i znany w literaturze historycznej jest fakt, że czynszowanie włościan w dobrach ekonomicznych litewskich w II. 1680-86 (por. B, 538) spowodowały nie tylko „ustawiczne o to do JKrMości ze strony poddanych ekonomicznych supliki i instancje”, ale i „skłonność ku temu samego Króla JMci, aby poddanych ekonomicznych *ab hoc jugo servitutis*... uwolnić”. Takie i wiele innych podobnych wypadków przemilecza „makieta” zupełnie.

Jeżeli się parokrotnie mówi w „makiecie” o prawie życia i śmierci pana nad poddanym — „*jus vitae ac necis*” — istniejącym w prawie koronnym do roku 1768, a pozwalającym panu

ukarać poddanego „według rozumienia swego”, które, jak to stwierdził Korzon, sprowadzało się u nas przeważnie *do teorii*, nie uznawanej przez kulturę i uczucia chrześcijańskie, to bezstronnie stwierdzić też należało, jak rzecz miała się istotnie, oraz że *nie* nigdy nie obowiązywało ono w Wielkim Księstwie Litewskim, i że w roku 1768 zniesione zostało w Koronie, *ad instar* statutu litewskiego, prawa tego nigdy nie uznającego (C, 53, 94).

Podobnie, zaznaczenie faktu licznych *zbiegostwa* włościan z krajów sąsiedzkich, zwłaszcza z Rosji do Polski, które tak bardzo (za Katarzyny II) niepokoiło ambasadę rosyjską, było przedmiotem ówczesnej korespondencji dyplomatycznej i wywoływało jej interwencję, byłoby zgodne z materiałem źródłowym i opracowaniami, na nim opartymi, i nie powinno być pominięte.

5) Sprawa reformy stosunków włościańskich, dokonywana, zwłaszcza często w XVIII wieku *odgórnie* przez oświeconych przedstawicieli „burżuazji feudalnej”, chociaż jest poruszana tu i ówdzie w „makiecie” (np. C, 59: Andrzej Zamoyski, Stanisław Poniatowski, bratanek króla, ks. Paweł Brzostowski, Joachim Chreptowicz, biskup Massalski, Stanisław Małachowski i inni), jednak na ogół ważne te sprawy, świadczące między innymi o pewnych dążeniach humanitarnych wśród „feudalnego” społeczeństwa, potraktowane zostały nazbyt pobieżnie i *jakby z lekceważeniem*, bez położenia na nie koniecznego nacisku.

Zwłaszcza sprawy i instytucje tak osobliwe, jak słynne *Towarzystwo Hrubieszowskie* Staszica oraz *fundacja Karola Brzostowskiego w Sztabinie* wymagałyby tu szczegółowego i dokładnego przedstawienia.

6) Autorzy poszczególnych rozdziałów „makiety” z *chwalną skrzętnością i drobiazgowością* podają w różnych miejscach książki nieraz krótsze lub dłuższe wiadomości o czynnej samobronie lub otwartych buntach ludności chłopskiej przeciwko uciskowi, przy czym wiadomości te są tym cenniejsze, iż niekiedy bywają mało dotąd znane. Por. B, 260-1, 531-3; C, 61-3, 130, 495...; D, 24-7, 111-113, 195, 211-2, 565...

Czytając wszakże „makiety”, doznaje się wrażenia, iż *nie* które z tych wiadomości są nieco przesadzone, że rozruchy, o których się mówi, ograniczały się do wystąpień w rozmiarach o wiele skromniejszych, niż to z kart „makiety” by wynikało.

7) Wreszcie jeszcze jedno. Słuszne, i nawet ujmujące, jest podkreślenie w „makiecie” patriotycznej postawy i roli ludności chłopskiej w chwilach wyjątkowo tragicznych życia narodowego i w walce z obcym najazdem. Ani wątpić, że tak było, i każdy Polak pragnie, żeby tak było. Toteż polski czytelnik „makiety” z pewnością z zadowoleniem dowie się o patriotycznej roli tej ludności. Nie należy wszakże *zwiększać* tej roli nad miarę, zwłaszcza z pewnym ukrzywdzeniem stronniczym jakiegokolwiek innej warstwy ludności. Np.:

Przy omawianiu skutków najazdu szwedzkiego na Polskę za Jana Kazimierza, „makieta” podaje wiadomość, że Państwo Polskie „tylko z największym wysiłkiem, dzięki patriotycznej postawie chłopów, mieszczan i części szlachty, obronił się przed zupełną zagładą w czasie potopu” (B, 578). Słuszne to zdanie jest o tyle niesłuszne, że, z pewnością, jak nie wszystka szlachta, lecz tylko jej część ujawniła w czasie „potopu” swoje patriotyczne nastawienie, tak również trzeba by powiedzieć to samo i o chłopach i o mieszczanach. Generalizacja w stosunku do nich wygląda na pozbawioną realizmu *idealizacyjną stronniczość*, którą dostrzegamy i wielokrotnie gdzie indziej, np. w apologetycznym oświeceniu „ręce galicyjskiej” z roku 1846, postaci Jakuba Szeli nie wyłączać (D, 438-48).

„Makieta” (C, 398) robi zarzut historiografii „burżuazyjnej” (Askenazemu), że cechuje ją rzekomo „forsowne wynoszenie zasług polskiej szlachty, a szczególnie arystokracji, w sprawie walki o niepodległość”.

Nie podobna zgodzić się z tym zarzutem, gdy się wie o hekatombach ofiarnych, złożonych w porozbiorowych walkach o niepodległość — właśnie przez szlachtę. Czy zarzut, przez „makieta” czyniony Askenazemu, raczej nie winien ugodzić w „makieta”, ze względu na jej stosunek do ludności włościańskiej? O tym wyda z łatwością sąd każdy nieuprzedzony i bezstronny jej czytelnik.

Kościół. Sprawy wyznaniowe.

Stosunki kościelne, stosunki międzywyznaniowe w Polsce nie są również przez autorów „makiety” oceniane z należyтым obiektywizmem historycznym i bezstronnością.

Zapewne, porównanie „makiety” z sowiecką „Istorią Polski” w zakresie przedstawienia stosunków religijnych w Polsce wypada stanowczo na korzyść „makiety”. Propagandowy i niezwykle wrogi dla Kościoła katolickiego ton dzieła rosyjskiego tu (w „makiacie”) jest przegłoszony tłumikiem prawdy i nie tak wrzaskliwie jaskrawy, jak tam. I tu wszakże ton ten daje znać o sobie i odczuwa się nieraz w sposób dotkliwy.



Autorzy „makiety” z pewnym lekceważeniem i przekąsem mówią „o rzekomo niezwyklej, polskiej tolerancji wyznaniowej” (np. B, 46), nawet w XVI wieku, która jednak była — w granicach pojęć ówczesnych — faktem niewątpliwym, stwierdzonym chociażby przez tak żywe spory religijne w piśmiennictwie ówczesnym, przez obfitość wyznań różnowierczych w Polsce, tudzież znaczną ilość druków i pism różnowierczych, a przede wszystkim przez porównanie stosunków polskich ze stosunkami, panującymi gdzie indziej: z taką nocą św. Bartłomieja we Francji, inkwizycją hiszpańską, z ustaloną w Niemczech, a nie znaną u nas za-

sadą „cujus regio ejus religio”, z prześladowaniami religijnymi w Anglii i w Irlandii oraz tępieniem sekciarzy w Moskwie (późniejszej Rosji).

Zabezpieczenie prawne tolerancji w Polsce na sejmie konwokacyjnym roku 1573 w tak zwanej „konfederacji warszawskiej” (B, 206-7), wciągniętej do artykułów, jak to „makieta” przyznaje, raczej dodatnio świadczy o ówczesnych stosunkach wyznaniowych w Polsce, należąc do najwcześniejszych w Europie aktów tego rodzaju, pomijając nawet wcześniejsze, bo wieku XIV, czasów Kazimierza Wielkiego sięgające, współzycie cerkwi prawosławnej z kościołem rzymskim katolickim na terenach Rusi Halickiej.

Jak miała wykazać najbliższa przyszłość, fakty z czasów panowania Stefana Batorego (np. surowe ukaranie sprawców napadu i zniszczenia „brodu” protestanckiego w Krakowie), gwarancje tolerancyjne z roku 1573, nie były częścią fikcją.

Prawda, że powszechnie panoszące się w Europie „odium theologicum” wraz z fanatyzmem religijnym z natury rzeczy musiało oddziaływać (i oddziaływało istotnie) w sposób *niekorzystny* na stosunki wyznaniowe w Polsce, a „nienawiść wyznaniowa tłumów”, przybierając, niestety, na sile, zatruwała niejednokrotnie życie społeczne i doprowadzała nieraz i u nas do oplakanych zająć, procesów o bluźnierstwo o ateizm lub o czary (B, 593-4). Ale i tutaj porównanie ze stosunkami, panującymi pod tym względem gdzie indziej, przysłużyłoby się lepszemu zrozumieniu pewnych prawd dziejowych przez czytelnika, a zarazem wypadłoby na korzyść stosunków polskich. I to pomimo nieśczęsnej uchwały antyariańskiej z roku 1658 (B, 577), nad którą szczerze ubolewamy wszyscy dzisiaj, oraz pomimo tak przykrych i ciężkiej „sprawy toruńskiej” (B, 614-6), której skutki usiłował (bezsukcesnie) łagodzić nuncjusz papieski, o czym „makieta” zresztą nie wspomina, a która tak szeroko wyzyskana została w propagandzie antypolskiej przez tych, którzy tolerancji u siebie bynajmniej nie stosowali...

Co do polityki *kurii papieskiej*, to „makieta” stale jak naj-surowiej ją sądzi, widzi w niej czynnik, podniecający do wojen, zmierzający do ich przedłużenia, zdając się zupełnie zapominać o zagrożeniu parowiekowym przez ówczesny imperializm turecki całego zachodniego chrześcijaństwa, a z nim razem i Polski, w stosunku do której uważa wpływ Rzymu za zgubny (por.: A, 547-8; B, 582-3, 586-9; C, 164 ...).



Szczególny jest stosunek „makiety” do spraw Kościoła prawosławnego w Polsce, a zwłaszcza do unii kościelnej.

Nie kwestionując bynajmniej faktu prześladowań i zadrażnień, możliwych i naturalnych między prawosławnymi a katolikami w owym czasie, a których sprawcami bywali i katolicy, nie należy wszakże tych stosunków oceniać *jednostronnie*, lecz

dwustronnie, z odpowiednią dozą krytycyzmu. Znanie wielotomowe wydawnictwo „Aktów”, publikowanych przez *Wileńską Komisję Archeograficzną*, utworzoną w Wilnie w dobie popowstaniowej, po roku 1863, nie tylko dla celów naukowych, ale przede wszystkim politycznych, rasyfikacyjnych, w dziale: „Akty objaśniające element prawosławia w Siewiero-Zapadnym kraju” usiłowało zebrać z materiałów archiwalnych wszystko, co świadczyć mogło o ucisku i prześladowaniach prawosławia w dawnej Rzplitej. I jakże niewspółmiernie do włożonych wieloletnich wysiłków ubogie są plony zebrane i opublikowane w tej materii! Jakże w gruncie rzeczy mało dostarczają materiału źródłowego w zamierzonym kierunku, o wiele więcej, natomiast, wykazują *przemilczenie i opuszczenie* w zakresie źródeł, o charakterze poglądom i zamierzeniom wydawców przeciwnym. Nie świadczy to o bezstronności ich z pewnością...

I tu mimo woli nasuwają się pewne pytania w związku z „makieta”: Dlaczego w „makiecie” nic się nie mówi o *stworzeniu* biskupstwa prawosławnego w Mohylewie (za Władysława IV), natomiast z naciskiem podkreśla się *zmniejszenie* się liczby biskupstw prawosławnych w Rzplitej? Dlaczego nie wspomina się o założeniu w tymże czasie w Kijowie, w okresie jego przynależności do Rzplitej, Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, która tak znaczną rolę miała odegrać z czasem w dziejach kultury i cerkwi prawosławnej? Przecie, dzięki jej działalności, kultura polska, język, literatura sięgnęła w XVII wieku daleko na wschód, w głąb Moskwy, czego dowodzi chociażby postać związanego z Akademią metropolity rostowskiego Dymitra, zaliczonego w poczet świętych cerkwi prawosławnej, a jednocześnie piszącego i drukującego wiersze swoje — po polsku... Nie są to rzeczy błahie i nieciekawe dla czytelnika polskiego. Dlaczego, wielokrotnie mówiąc z naciskiem o ucisku ludności prawosławnej w Polsce, pomija się milczeniem zaszłą w tymże XVII wieku śmierć męczeńską św. Andrzeja Boboli, który równo trzysta lat temu, zginał z ręki prawosławnych?

Podobnych pytań z tejże dziedziny postawić by można „makiecie” długi jeszcze szereg. Dlaczego tak się dzieje i *cui bono?*

O bezstronnym stanowisku „makiety” w sprawie: „*katoolicy - prawosławni w Polsce*” nie świadczy dobrze okoliczność, że „makieta” uznaje za „erudycyjnie bodaj najlepsze o unii i dyzunii” prace rosyjskie P. Żukowicza (1901), znanego ze stronnictwa i wrogięgo stanowiska w sprawach kościelnych w Polsce (B, 47).

Unia kościelna jest przez autorów „makiety” uważana za zjawisko w założeniu swoim ujemne, stanowiące jakby dodatkową, ciemną plamę na i tak już ponurym tle dziejów Polski. Uznają oni unię za jeszcze jeden „*środek polskich feudałów do wzmocnienia ucisku klasowego i narodowościowego na Ukrainie i Białorusi*” (B, 418). Ale i tu należy podkreślić znaczące i godne uwagi pominięcia i przemilczenia. Np.:

Mówiąc o ucisku prawosławia i szerzeniu unii kościelnej,

wzmiankując nawet o zabójstwie, dokonanym przez ortodoksów na osobie śp. Józefata Kuncewicza, arcybiskupa połockiego, gorliwego propagatora unii, nie wspominają autorzy „makiety” ani słowem o prześladowaniach, jakim na terytorium Rzplitej ulegli unicy w początkach wieku XVIII ze strony wojsk rosyjskich i Piotra Wielkiego, który własnoręcznie zamordował w cerkwi unickiej (w Połocku?) przeora i paru zakonników bazylikańskich unitów oraz zainaugurował chyba pierwsze na wielką skalę wywózki duchownych unickich i ludności świeckiej w głąb Rosji (wraz z biskupem Żaboklickim, który życie zakończył na wygnaniu w Rosji).

Nie doczytujemy się w „makiecie” niczego o słynnym Jerzym Koniskim i o prześladowaniach unitów na terenie pierwszego rozbioru rosyjskiego, pomimo poręczeń całkowitej wolności wyznania w traktacie rozbiorowym z roku 1773.

Podobnie przemilcza się zupełnie wrogię Polsce stanowisko na terenach Rzplitej (C, 235) biskupa Wiktora Sadkowskiego, a później nie się nie mówi o jego roli prześladowcy unii na ziemiach, które po drugim rozbiorze znalazły się pod berłem Katarzyny II.

W tomie D głucho jest również o prześladowaniach unii kościelnej i jej zniesieniu na ziemiach dawnej Rzplitej w granicach Cesarstwa Rosyjskiego za Mikołaja I, w roku 1839, jako też o głównym tego zniesienia sprawcy i gnębielcu unii — Józefie Siemaszce. A przecie jest to tak ściśle związane ze sprawą rozległego zasięgu kultury polskiej wśród szerokiego ogółu tudziez z przeszłością Polski, zarówno przed- jak i porozbiorową, że w „Historii Polski” żadną miarą pominięte być nie powinno.

Czytelnik tedy zapytuje siebie, dlaczego i po co, ze względu na co czy na kogo spotykamy się w „makiecie” z tą jednostronną „*antykatolicką stronniczością*”... I źle sobie wróży o dalszych tomach „Historii Polski”, nie bezzasadnie mniemając, że i *dalsza* likwidacja unii kościelnej w roku 1875 na terenie byłego Królestwa Kongresowego, w Chełmszczyźnie i na Podlasiu, oraz cała epopea nawracania „opornych” unitów, z Drelowem i Pratulimem na czele, a później ostateczna zagłada unii na terenie byłej Galicji, w latach ostatniej wojny i po niej, już pod władzą sowiecką, będzie też w całości pominięta milczeniem...

Na usprawiedliwienie w oczach dociekliwego czytelnika, nie będzie się można powołać w danym wypadku na konieczne a rzekome dążenie do „*dezaktualizacji*” skoro, jak widzieliśmy, „makieta” tak bardzo nieraz wykład wypadków dziejowych wiąże z „aktualnością” dzisiejszą, usiłując zresztą być zawsze w zgodzie z dzisiejszym stanowiskiem i polityką Rosji sowieckiej.

Błędy, usterki i uchybienia szczegółowe.

Powyżej, w dziale „Zdania i sądy słuszne” podane zostały *przykładowo* sądy i naświetlenia „makiety” trafne i obiektywne, z którymi zgodzić się należy całkowicie. Dla ścisłości i rów-

nowagi wymienione są poniżej, również przykładowo, wyjęte na chybił-trafił, błędy i braki, których liczbę można by znacznie pomnożyć.

A więc w t. A, str. 53: trudno jest mówić o utraceniu ziem zachodnich Polski przez *arystokrację*, — była to utrata tych ziem przez Polskę; s. 63: *Wincenty Zakrzewski*, wieloletni profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego był związany bliżej raczej z Krakowem. Do grupy historyków *lwowskich*, razem z F. Papéem, A. Hirschbergiem, A. Prochaską, L. Finklem i innymi, zaliczany być nie powinien. Inaczej rzecz się miała z młodszym od niego *Stanisławem Zakrzewskim*; s. 67: uważania PPS za jeden z odłamów burżuazji również nie można przyjąć bez zastrzeżeń; s. 135-6: nieco niesłuszne, i przemądrzale wydają się wywody co do świadomego działania „feudałów”, którzy w przyjęciu chrześcijaństwa widzieć mieli usankcjonowanie struktury klasowej społeczeństwa typu feudalnego; s. 184: zbyt krótko zbyta jest sprawa wygnania Bolesława Śmiałego; s. 186 (oraz 216-7): data słynnego dokumentu Władysława Hermana (pierwszego znanego oryginalnego aktu książęcego polskiego) podana jest na lata 1099-1102. O ile mi wiadomo, jest ona sporna i dotąd nie ustalona: niektórzy (Wojciechowski) kładą ją na rok 1084-5, inni (Ottenthal) na lata 1099-1102. W nauce polskiej raczej (choć nie wyłącznie) przyjmuje się rok 1085. Por.: Stan. Krzyżanowski, *Album Palaeographicum*, tabl. I, *Monumenta Pol. Pal.*, tabl. I; Zofia Kozłowska-Budkowa, *Repertorium polskich dokumentów doby piastowskiej*, zeszyt I; Kraków 1937, nr 14; Rec. pióra Małczyńskiego, *Kwart. Hist.* 1937, s. 577. Ze względu na doniosłość dokumentu różnicę tę należało bezwzględnie zaznaczyć; s. 194: czy istotnie w przyjęciu chrześcijaństwa na Pomorzu dopatrywać się należy „narzędzia propagandy ideologii feudalnej”? s. 197-8: w sprawie statutu dzielczego Bolesława Krzywoustego, brak podniesienia czynnika osobistego (antagonizmu między drugą żoną Krzywoustego Salomeą, a żoną jej pasierba Władysława II — Agnieszką). Podniesienie tego czynnika nie tylko odpowiadałoby rzeczywistości dziejowej, ale ożywiłoby wykład tekstu, czyniąc go bardziej — że użyjemy tu stylu „makiety” — „komunikatywnym”; s. 250: bodaj zbyt wielki nacisk położony jest tutaj i gdzie indziej na to, że „bohaterski opór podbitej ludności ruskiej wiał siły tatarskie i uniemożliwiał Tatarom zagarnianie nowych ziem” (zgodnie z poglądem, wyrażonym w „*Istorii Polszy*”); s. 310: Gregoła, oczywiście, zamiast Pregoła (rzeka); s. 315-318: nic się nie mówi o „denarze” św. Piotra, jako jednym z czynników więzi międzydzielnicowej w okresie podziałów, choć słusznie się wskazuje na inne czynniki jedności (język, dynastię, jús polonicum...); s. 377 w stosunku do Pomorza Zachodniego (dieceja kamieńska) sprawę tę się porusza; s. 384: brak należytego podkreślenia, że Przemysław w r. 1295 koronował się w Gnieźnie na króla *całej* Polski, nie tylko Wielkopolski, co stanowi zagadnienie kluczowe w sporze Kutrzeba-Balzer; s. 477: wśród przedsięwzięć przemysłowych miejskich wymienione są „blachy”, zapewne zamiast „blechy” płóciennę; s. 485: bodaj że przesadnie i niesłusznie przedstawiona jest rola św. Jana Kapistrana (w XV w.) w sprawie pogromów żydowskich; s. 494: z naciskiem przedstawiony jest „klasowy feudalny charakter prawa statutowego” Kazimierza Wielkiego, oczywiście „feudalnego” w znaczeniu „makietowym”. Ale jakż inny miał i mógł być wówczas ten charakter?

W. t. B, str. 28: Zamiast „*Geschichte der ersten... Krieger*”, winno być, oczywiście „*des ersten ...Krieger*”; s. 28-32: Brak bodaj w podanych wykazach „*Theatrum Europaeum*”, podającego dużo wiadomości z Polski z czasów saskich; s. 45: cenną *małą książeczkę* Wincentego Zakrzewskiego o reformacji (1870) trudno nazwać *dziełem*, „gruntownym i postępowym”,

nie traktował jej tak też, o ile wiem, sam autor; s. 46 (por. także s. 742): szkoda że w wykazie prac z dziedziny reformacji w Polsce pominięta została rozprawa Wacława Makowskiego o Piotrze z Goniądza; s. 60: wydaje się, że trudno jest utrzymywać, iż dopiero około połowy XVIII w. proces przechodzenia na rentę pieniężną przybierał na sile. W ekonomiach królewskich na Litwie, przynajmniej w znacznej ich części, dokonano się już za Sobieskiego oczyszczanie włościan (z jednoczesnym zniesieniem tzw. „pasznych dwornych”, czyli gospodarstw folwarcznych; s. 91: wykład, dotyczący opuszczenia ziemi przez chłopów, omawia *najprzód* późniejszą konstytucję z r. 1498, później zaś *wcześniejszą* z r. 1496 i jest trochę zawyżył i jakby poplątany; s. 162: z toku rzeczy wygląda tak, jakby duchowieństwo w ogóle odmówiło swego udziału w opodatkowaniu na rzecz państwa. Trudno tak stawiać kwestię, wobec opłacania „*subsidium charitativum*”; s. 168: pewnie popłatanie sprawy utworzenia Trybunałów Głównych (koronnego i litewskiego) za Stefana Batorego ze sprawami z czasów Zygmunta Augusta; s. 175-6: zbyt jednostronnie ujemny jest sąd o „*pomierze wołocznej*”, jako o „*środku „uregulowanej” i „wzmózonej eksploatacji ludności poddańczej*”, z punktu „rozlicznych jej stron gospodarczo i społecznie dodatnich i kładących kres eksploatacji samowolnej”; s. 183: jest mowa o niebezpieczeństwie, cych kres eksploatacji samowolnej; s. 183: jest mowa o niebezpieczeństwie, grożącym Rzplitej po zgonie Zygmunta Augusta ze strony Turcji, Tatarów, a zwłaszcza zachłannych Habsburgów, lecz ani słowa nie mówi się o niebezpieczeństwie ze strony Moskwy, która przecie wówczas w ręku swoim miała Witebsk, Połock i posuwała się ku Inflantom; s. 193: na mapce w tekście, na stronie tej umieszczonej, wyobrażającej „*Główne ośrodki reformacji w okresie XVI-XVII w.*”, brak Serej, Ślucka, Kielska, Łoska, Iwów, aczkolwiek były to dość ważne ośrodki ruchu reformacyjnego, a Iwów jest wymienione w „*makiety*” na str. 204, jako miejsce odbytego tam w r. 1568 synodu; s. 203: tu i gdzie indziej daje się dostrzec lekceważenie strony *dogmatycznej* w ówczesnych sporach religijnych, która z pewnością, obok względów natury społecznej i materialnej, też grała dużą rolę; s. 226: biskupi polscy są tu posądzeni, że względu na swój stosunek do Rzymu, niemal o zdradę główną wobec Polski; s. 256: szarwark w Polsce był *pewnym* rodzajem pańszczyzny (na potrzeby nie konieczne pańskie, pełnym, lecz na ogólne, np. drogi, mosty etc.), nie powinienby tedy być identyfikowany ze zwykłą pańszczyzną; ale w Prusach (Sambii), o które w danym wypadku chodzi może było inaczej? s. 314-6: nie ma mowy zupełnie o wpływach literatury polskiej na Rusi i dalej na wschodzie w Moskwie, przecie wpływy te były w XVI i XVII w. i to dość znaczne (postylla „*swiatoho*” Reja, Bielski, później Dymitr Rostowski, Łazarz Baranowicz, Ordyn Naszczokin...); s. 398: podobnie jak w sowieckiej „*Istorii Polszy*” „*glucho jest w „makiety” o Possevinie i jego roli, pomimo iż stosunki Polski z Moskwą, względnie z Rosją, potraktowane są na ogół obszernie i szczerz*”; s. 402-3: pomimo wielokrotnego występowania przeciwko „*personalizmowi* w wykładzie historycznym i jego „*zafakczeniu*” zbędnemu, „*makiety*” sama nie zawsze umie się w tym zakresie ustrzec dość rażących uchybień, tak jest np. w danym ustępie, w sposób zawyżył i niejasny traktującym sprawy Mołdawii i Wołoszczyzny; s. 410: mówi się tu o wzmagającym się wciąż w końcu w. XVI fanatyzmie religijnym w całej prawie Europie zachodniej i środkowej, ale ani słowem się nie wspomina o fanatyzmie, panującym w Europie wschodniej; s. 436: nic się nie mówi o tym, że w traktacie polanowskim z r. 1634 Władysław IV zrzekł się nie tylko pretensji do tronu carskiego, ale i tytułu cara Moskwy, który nosił od r. 1611; idzie w tym „*makiety*” za przykładem „*Istorii Polszy*”; s. 474: zbyt kategoryczne jest może i śmiałe twierdzenie, iż od końca XVI w. twórcami kultury polskiej tego okresu byli *wyłącznie* *niemal* mieszczanie; s. 500: wśród uczonych tego okresu winien być wymieniony Franciszek de Mesgnien Meniński, gramatyk

i orientalista, autor między innymi ogromnego dykcjonarza arabsko-perstureckiego z przekładem na język łaciński, polski, niemiecki, i in. pt. „*Tesaurus trium linguarum...*”; s. 507: niejasne jest stwierdzenie, że „barok podobnie jak renesans charakteryzuje współistnienie elementów postępowych i wstecznych”; s. 511: podobnie nie rozumiałe jest zdanie, dlaczego Brody, duże miasto przemysłowe, zaprojektowane przez A. Dell Aqua jako wielobastionowy owal, sprzężony z cytadelą, „wyrażały ujarzmienie obcej, w znacznym stopniu ukraińskiej ludności miasta”; s. 525: tu i gdzie indziej brak wytłumaczenia, że normalnie i z reguły dniówki pańszczyźniane z łana, czy pół lub ćwierć-łanka nie dotyczyły wszystkich osób w rodzinie poddańczej osiadłej, lecz zazwyczaj jednej z sadyby gospodarskiej (co innego były tzw. „gwałty”); s. 551: czy w w. XVIII nastąpiło „odzyskanie” (jak czytamy w „makiecie”), czy też raczej „pozyskanie” przez Rosję dostępu do Morza Bałtyckiego?; s. 577-78: sprawa wygnania Arian w r. 1658 i antysemityzmu w drugiej połowie XVII w. zyskałaby na wyrazistości i stanęłaby w świetle właściwym na tle ogólnym porównawczym, w zestawieniu ze stosunkami, panującymi w innych krajach; s. 578: „osławione liberum veto posła z Upity (Litwa) Sicińskiego” — czytamy w „makiecie” jest to wyrażenie o tyle nieścisłe i wymagające korektywy, że Władysław Siciński, podstarości upicki, był w roku 1652 posłem z województwa trockiego na Litwie; s. 582: wywody co do idei „przedmurza chrześcijaństwa” (wysocze krytyczne) są tylko częściowo słuszne i zdają się polegać na niezrozumieniu ówczesnej sytuacji międzynarodowej; robią przy tym wrażenie niekonsekwentnych wobec miarodajnych uwag na s. 585 na temat ekspansywno-zaborczej polityki tureckiej, zwłaszcza za rządów wezyrów z rodziny Köprülü (dalszym celem Turcji było shołodowanie całej Polski” ...; s. 605: o Augustu II mówi się tu, jako o „legalnie obranym królu”, ale po Sobieskim, w r. 1697, nie on, lecz Ludwik ks. de Conti obrany został, i jego to prymas Radziejowski królem mianował. Na innym też miejscu (s. 584) „makieta” uznaje słusznie, że na tok elekcji (Augusta II) decydujący był w końcu wpływ Rosji; s. 610 i 628: mówiąc o reformie skarbowo-wojskowej sejmu niemiego z r. 1717, nie wyjaśnia się bliżej, na czym polegało owo ustalenie liczby „wojska stałego na 24.000”, że chodziło tu nawet nie o liczbę głów, lecz o „porcję” żołnierskie, i że w gruncie rzeczy było to *rozbrojenie* Rzplitej, zagwarantowane przez Rosję. Pozostawiono też bez jakiegokolwiek wytłumaczenia (s. 628) ciemną sprawę zakazu „zawijywania konfederacji wojskowych i cywilnych” z r. 1717, które przecie i nadal zawiązywane były, a zakazane zostały dopiero przez sejm czteroletni; s. 618: w traktacie tzw. Loewenwolda (1732), któremu „makieta” oszczędza nazwy traktatu (czy też „zmowy”) Trzech Czarnych Orłów, istotą rzeczy nie była „neutralna” kandydatura do tronu polskiego (po Augustu II) infanta portugalskiego don Emanuela — jak z „makiety” zdaje się wynikać, lecz sprawa umówionego tu wspólnego w Polsce działania na przyszłość mocarstw „kontraktujących”, to jest Rosji, Austrii oraz Prus; s. 618: zbyt „sielankowo” przedstawiony jest wybór Augusta III, nic się przy tym nie mówi o całkowitej legalności wyboru w r. 1733 Leszczyńskiego (*loco solito, modo solito*) i o zupełnym braku teje przy wyborze pod przemocą (rosyjską) Augusta III; s. 626: wymieniony tu, wśród pisarzy politycznych czasów saskich *Pokłatecki* (zapewne autor „Kwestii politycznych obojętnych”) jest to pseudonim Franciszka Radziewskiego; s. 628-9: podkreślona tu „wsteczność” dyktowanej fanatyzmem religijnym ustawy z r. 1733, „zakazującej inowiercom dostępu do wszelkich urzędów, funkcji poselskich i deputackich” nabrałaby w oczach czytelnika właściwego znaczenia w porównaniu z innymi krajami (np. Anglią, Francją, Rosją...). Dotyczyła ustawa przede wszystkim szlachty, wśród której dysydentów, zarówno protestantów, jak dyzunitów, w XVIII w. było już niewiele. „Do wszelkich urzędów” — powiada „makieta”: jest to o tyle nie-

ścisłe, że zakaz nie obejmował starostw (nie grodowych), urzędów miejskich i szarż wojskowych; s. 633: niezrozumiałe jest stwierdzenie, że „w skład polskiego zaciągu wchodziła wprowadzona uchwałą sejmu 1655 r. tzw. piechota łanowa”, znaną nam już z czasów Batorego; s. 637: wobec wielokrotnie stwierdzanej w „makiecie” szczególnej nietolerancji w Polsce jak wytlumaczyć, że protestanci rzemieślnicy opuszczali Śląsk (habsburski), jeszcze w siódmym i ósmym dziesięcioleciu w. XVII i udawali się do Polski? czy w porównawczym; s. 667: chyba niesłuszne (i oparte na dedukcji) jest zdanie, że „przy pomocy ponurych procesów i płonących stosów, na których ginęły ofiary zabobonu, kler, będący na usługach ustroju feudalnego, starał się odwrócić uwagę mas ludności od zagadnień walki klasowej”; raczej — kler sam był zabobonny i — wierzył w czary! s. 679: nie wiedzieć, czy jest słuszne, a w każdym razie wydaje się dziwne, stawianie *baroku* w pewnej zależności od zwycięstwa feudalnej reakcji lub burżuazyjnej rewolucji, które rzekomo miały sprzyjać jego rozwojowi; s. 685: przeciwko Stanisławowi Hieronimowi Konarskiemu, żądającemu odrodzenia czystości języka polskiego (w rozprawie „*De emendandis eloquentiae vitiiis*”, 1741) wystąpił, jak utyskuje „makieta”, z zjadłą krytyką jezuita, ale przecie głównym obrońcą Konarskiego był w tej sprawie Franciszek Bohomolec (jego „*Rozmowa o języku polskim*”, wydana po łacinie najprzód, 1752), a Bohomolec, o czym „makieta” nie wspomina, był jezuitą!

Przykłady powyższe wyjęte są wyłącznie z tomów A i B „makiety”. Można by przytoczyć ich więcej zarówno z tych pierwszych tomów, jak i z dalszych C i D (obejmujących okres: 1764-1864), które przy ogólnych rozważaniach recenzyjnych powyższych uwzględnione zostały na równi z tt. A i B.

Ograniczamy się do przytoczonych braków i uchybień *szczególnośowych*, nie chcąc nadmiernie obciążać tekstu i tak już obszernej recenzji (*).

Wnioski końcowe.

Jakież będą wnioski końcowe, wysnute ze spostrzeżeń powyższych, uwzględniające wszystkie „*pro*” i „*contra*” naszych wywodów, dotyczących tej ogromnej, parotomowej „makiety” całości?

A) „Makieta”, jako wydawnictwo próbne, i mające wyniknąć z niej oraz z dyskusji nad nią, wielkie dzieło w redakcji ostatecznej, przedstawiające całokształt „Historii Polski” od czasów najdawniejszych aż do najnowszych we wszelkich objawach i zakresach, będzie mogło mieć *ogromne i dodatnie znaczenie* dla rozwoju samowiedzy narodowej i wytworzenia prawdziwego poglądu na przeszłość narodową w szerokich kołach czytającego społeczeństwa, pod koniecznym wszakże warunkiem, by czytel-

W ostatnich czasach odezwały się głosy krytyczne na temat „makiety”. Zwłaszcza silny znalazły one dla siebie wyraz na odbytej w Sulejówku w kwietniu rb. konferencji historycznej. Por. artykuł Anny Poniatowskiej pt. „Środek między pochlebstwem a potwarzą” — Tygodnik „Ziemia i Morze” z 3. 6. 1957, Nr 20 (53), Szczecin.

nicy żywili *pełne zaufanie* do całkowitej bezstronności naukowej i gruntowności dzieła.

B) Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że „makieta” powstała jako dzieło zbiorowe „kolektywnego autorstwa”, w warunkach pod pewnymi względami łatwych, pod innymi znowuż — *nader trudnych*.

Ułatwiała pracę autorów „makiety” okoliczność, że pracowali nad nią *w kraju*, korzystając z opieki i pomocy finansowej władz krajowych oraz mając na miejscu dostęp do księżnic polskich i archiwów, na szczęście nie zawsze, nie wszędzie i nie w całości zniszczonych przez wojnę, mogąc z nich czerpać obficie materiały i wiadomości, niezbędne przy pisaniu i konstruowaniu dzieła.

O ileż pod tym względem mieli przed sobą drogę ułatwioną historycy krajowi — w porównaniu z polskimi historykami emigracyjnymi, którzy jakże często w swej pracy poprzestawali na zawodnej pamięci, ileż energii i wysiłków zużywali dla zdobycia książki lub artykułu, celem sprawdzenia jakiejś daty czy faktu lub sądu o nim, wypowiedzianego kiedyś przez interesującego się daną sprawą badacza historycznego!

Zarazem wszakże, jakże trudne, o wiele trudniejsze, niż praca historyków emigracyjnych bywa zadanie historyków, piszących w kraju, w danym wypadku autorów „makiety”, właśnie dlatego, że pisali ją i ogłaszali drukiem w kraju, pod egidą P.A.N. w Warszawie, pod kierunkiem jej Instytutu Historii, i mieli za zadanie przedstawić dzieje Polski, przytłoczeni całym ciężarem *teorii marksistowskiej i dyalektyki materialistycznej*. Oczywiście, pamiętać musieli ustawicznie — że użyjemy tu wyrażenia Słowackiego — iż „za sceną stoi karaulnik”, czujny na wszelkie odchylenie od „linii partyjnej”, na wszelką „niełojalność” wobec obowiązującego poglądu na świat przeszłości czy teraźniejszości.

Aby umożliwić ukazanie się książki tak kosztownej i noszącej piętno urzędowości, ze względów „profilaktycznych” niejako zmuszeni byli oświeć w swoisty sposób fakty dziejowe, choćby wewnętrznie się z tym nie godzili, podkreślając marksistowską lojalność i *socrealizm* książki, który tam, za „żelazną kurtyną”, jak w literaturze i sztuce, obowiązuje tak samo i *w badaniach naukowych*.

Rzecz prosta, jedni czynią to w sposób więcej, a inni mniej dyskretny, jednym przychodziło to z większą, innym z mniejszą trudnością, a byli i są wśród współpracowników „makiety” z pewnością tacy, których to moralnie nic nie kosztowało, którzy, przejęci ideologią marksistowską współczesności, dawali jej *szczerzy* wyraz w książce, nie mając w stosunku do siebie, poczucia ani „zniewołonego umysłu”, ani myśli, wziętej „w obcęgę”. Ulegli „*intoksykacji*” poglądów, obowiązujących w Polsce obecnie, uznali marksistowskie wyznaczenie wiary za jedyne słuszne tym łatwiej, że zgodne jest ono ze stanowiskiem sfer, władze

w kraju dzierżących, i stali się jego heroldami na kartach „makiety”.

Dopiero dalsza przyszłość oceni wszystkich sprawiedliwie, oddzielając tych, którzy „od prądów chwilowych zawiśli”, głoszą najbardziej chociażby dzisiaj wzięte i nowe, lecz nietrwałe poglądy, od tych, których rzetelna zasługa naukowa ostoja się przed niszczącym żębem czasu.

C) Książka, traktująca Historię Polski w jej całokształcie, w redakcji ostatecznej nie powinna i nie może być *przeciwstawieniem* się całej dotychczasowej naszej historiografii, ale jej *logicznym dalszym ciągiem*, nowym etapem w jej rozwoju i nadbudową.

Nie przed *dzisiejszą historiografią rosyjską*, która tak smutny i niefortunny złożyła niedawno w akademickim wydaniu „*Istorię Polczy*” dowód stroniczości naukowej i niezrozumienia dziejów Polski, *schylać winni autorzy „makiety” głowę*, lecz przed całym rozwojem dotychczasowej historiografii Polski, która umożliwia ukazanie się nowego dzieła podstawowego, opartego o „makiety”.

Zdanie sobie z tego sprawy, obudzenie szacunku dla „pracy wieków” w zakresie badań historycznych uczyni zamierzoną Historię Polski naprawdę wartościową i będzie *wielkim krokiem naprzód* w zakresie zapoznania ogółu z historią Polski.

D) Wreszcie, sprawa tak zwanej komunikatywności. Niejednokrotnie w dyskusjach nad „makieta”, niekiedy zaś w samej „makiecie” podnoszone jest zagadnienie „komunikatywności” dzieła, przez co bodaj rozumieć chciano przystępność dzieła dla masy czytelniczej, ułatwienia jego poczytności, zrozumienia i utrwalenia w pamięci czytelników, a przez to zwiększenie jego wpływu na czytelników.

Pod wielu względami „makieta” jest *komunikatywna*. Przejrzysty podział materiału na względnie krótkie podrozdziały, wyrazisty sposób wykładu, interesujące ilustracje, znaczna liczba map i mapek ułatwiają niewątpliwie czytanie książki i zwiększają jej komunikatywność.

Pomnożyć ją i podnieść mogłoby niewątpliwie podkreślanie, obok bezosobowego gospodarczo-społecznego ujmowania dziejów, bardziej ich *osobowe* przedstawienie, podkreślanie znaczenia twórczego *działań jednostki ludzkiej*, bez obaw, że będzie się w tym kryła „heroicystyczna koncepcja dziejów”, którą za tak dotkliwy błąd metodologiczny uważa „makieta” (por. np. B, s. 54). Zwłaszcza na bardziej osobowym ujmowaniu przedmiotu zyskałyby z pewnością tomy A i B „makiety”, tomy bowiem C i D przedstawiają się pod tym względem o wiele lepiej.

Również (jak to było nadmienione wyżej) *skonkretyzowanie* tytułów poszczególnych rozdziałów, ściślejsze ich związanie z postaciami dziejowymi i datami, zwłaszcza w tt. A i B, oraz doda-

nie do książki indeksów osób i miejscowości dodatnio wpłynęłoby na jej „komunikatywność”.

Nade wszystko zaś przyczyniłoby się do tego *systematyczne unikanie* wszystkiego, co podkopuje w oczach czytelnika polskiego zaufanie do bezstronności, niezależności sądów i bezinteresownej prawdomówności książki. A więc poniechać należy wbijania w głowy czytelników rzekomej prawdy o szczególnie zaborczym charakterze państwowości polskiej i agresywnym charakterze polityki polskiej przy rzekomym braku tej cechy u innych, zwłaszcza zaś u najbliższego naszego sąsiada od wschodu; zmieścić należy dotychczasowy, niekorzystny dla strony polskiej osąd stosunków polsko-rosyjskich w toku dziejowym, oraz ustosunkowanie się do spraw wyznaniowych w Polsce, tendencyjne i niezbytliczne zwłaszcza do katolicyzmu. Przedstawienie zjawisk życia polskiego porównawcze, na szerszym tle ogólnodziejowym, unikanie jałowych i nic nie wnoszących pod względem naukowym cytów, anachronizmów, dedukcji, zbyt surowej krytyki — dawnej, tak zwanej „burżuazyjnej” historiografii, umiejętne wydobycie i podkreślenie cech dodatnich, które, obok stron ujemnych i błędów, w tysiącletnich dziejach narodu naszego niewątpliwie były: wszystko to uwypukliłoby prawdę dziejową, przerzuciłoby most zaufania między czytelnikiem a książką, i dlatego w tym kierunku winny pójść poprawki przy ostatecznym redagowaniu tekstu jeżeli książka ma odegrać istotnie dobroczynną rolę w obudzeniu zgodnej z prawdą świadomości historycznej czytającego ogółu.



I jeszcze jedno. Rozpoczynając w niniejszej recenzji ogólne spostrzeżenia krytyczne *nad brakami* „makiety”, wspominałem o swoistym tonie, zgrzytliwie dźwięczącym w „makiacie” i o szczególnym, a trudnym do przełknięcia sosie, którym podlane są nieraz zawarte w niej wywody.

Kończąc swoje uwagi recenzyjne, pragnąłbym wrócić do tej sprawy raz jeszcze.

Przypomina się tu bowiem powiedzenie Melchiora Wańkowicza o „dydaktycznym smrodku”, unoszącym się nad czyimiś słowami i jakąś wypowiedzią. Otóż, chciałoby się powiedzieć, że nad kartami „makiety” unosi się, niestety, pewien jakby nakazany z góry „marksistowsko-propagandowy smrodek” o nie-naukowej woni, który wszystkimi porami wciska się do treści, do wnętrza książki i, pomimo znacznego nakładu w nią włożonych wysiłków, oraz przy wielu rozlicznych jej zaletach, stanowi bardzo poważny *minus*, obniżając w dużej mierze wartość naukową i pedagogiczną dzieła.

Przy ostatecznej redakcji — dla dobra zarówno dzieła jak nauki i czytelników — trzeba bezwarunkowo i koniecznie oczyścić, ile się da, ogólną atmosferę książki.

Stanisław KOŚCIAŁKOWSKI

Bohaterskie niebohaterstwo Gombrowicza

„Wiedziecie że o mnie nie wolno mówić w sposób nudny, zwykły, pospolity. Zabraniam tego stanowczo. Domagam się — o sobie — słowa odświętnego”.

Witold Gombrowicz, *Dziennik*, 1953-1956 (str. 111).

Tradycja zachodnia — a zwłaszcza XIX-wieczna — skłania nas do szanowania myśli tym wyżej, im bardziej jest ona właściwie obca myślicielowi. Jeśli myśl jest z nim rzeczywiście zespółona, jeśli jest jakby jego oddechem, pożywieniem, stajemy się podejrzliwi. Myśliciel jest dla nas jak sklepikarz: ma coś „na sprzedaż”. Stąd nic bardziej naturalnego dla współczesnego człowieka jak rozdział pomiędzy prawdą, a tym który ją wypowiada. W tym kupieckim sensie Gombrowicz nie jest „myślicielem”: jest zawsze sobą samym, myśl jego przylega ściśle do jego życia. Dlatego trzeba przebić barierę pewnego uprzedzenia, aby móc go traktować „poważnie”. Myśl ta nie przenika do nas bowiem w swej „czystej”, logicznej i abstrakcyjnej (a więc sztucznej) formie. Niesie ją nurt wrażeń, obrazów, anegdot, doświadczeń, uczuć. Nurt ten jest bodaj najbogatszy w *Dzienniku*, w którym nie stosuje Gombrowicz eliminacji nieodzownej w dziele sztuki (a raczej: stawia sobie ambitne zadanie stworzenia dzieła sztuki nie eliminując z siebie niczego).

„W ten worek wkładam wiele rozmaitych rzeczy (pisze Gombrowicz o swoim *Dzienniku*), pewien świat do którego Przyzwyczaicie się o tyle, o ile zdobędzie nad wami przewagę;

póki co wiele z tego wyda się wam niepotrzebne a nawet będzie was zdumiewać, że się to kwalifikuje do druku”.

Celem tego szkicu jest nieznaczne choćby przyspieszenie procesu przyzwyczajania do świata Gombrowicza.

GOMBROWICZ TRAFIA W SEDNO WSPÓŁCZESNEJ FILOZOFII

Gombrowicz zrugał mnie w *Dzienniku* za wskazanie pewnego powinowactwa pomiędzy nim a Pirandellem i Sartre'm. Wie on doskonale co miałem na myśli, ale słusznie (uznał to za błąd natury taktycznej: „Zbyt często się zdarza w specyficznych warunkach naszego, polskiego, obcowania, że ktoś za pomocą tych „rozgłoszonych nazwisk” usiłuje mnie lekceważyć i, nadymając się Sartre'm, mówi z politowaniem: Gombrowicz”).

Ale Gombrowicz sam pisze: „We mnie pewne idee, będące w powietrzu, którym wszyscy oddychamy, związały się w pewien specjalny i niepowtarzalny sens gombrowiczowski — i jestem tym sensem”. Niech więc go nie dziwi radość czytelnika, który znane sobie motywy odnajduje w formie odmiennej i oryginalnej. Nic nie ma nigdy w Gombrowiczu „z drugiej ręki”. Nie pozwoliłby mu na to choćby jego narcyzm. Żadna myśl nie może spodobać się Gombrowiczowi zanim, przechodząc przez Gombrowicza i zmieniając go, nie wyjdzie z tego nieco zmienionego Gombrowicza sama na jego obraz przemieniona. Stąd zresztą pewne ograniczenia Gombrowicza. Odrzuca on dzieła „nieprzeżuwalne”, będące „rzeczą” ostateczną. Gombrowicza nudzi Kafka. Paradoksalnie można by powiedzieć, że Gombrowicza nudziłoby „Ferdydurke”, gdyby było napisane przez kogo innego.

Nic również w Gombrowiczu z tak bardzo polskich czytanek z zachodniej kultury, nic z mody czy ze snobizmu. Większość polskich pisarzy żyje jeszcze w świecie szufladek, specjalnym szacunkiem darząc szufladkę z napisem Kultura. Gombrowicz należy do tych ludzi, dla których szufladkowanie jest już nieznośne. Nic dziwnego, że ma wiele wspólnego z twórcami dążącymi do totalnej wizji człowieka. Jak każdy rasowy koń współczesnej myśli, Gombrowicz jest z Nietzschego po Marksie, z Freuda po Kierkegaardzie. Ma poza sobą najśmielsze zamierzenia demistyfikacyjne. Gombrowicz walczy z wartościami dekoracyjnymi. Stąd najbardziej go drażni burżuazyjny humanizm i chrześcijaństwo zdesakralizowane. Stąd jego niechęć do „literatury” opartej na kokietowaniu tymi pseudo-wartościami. Esej Gombrowicza „Przeciw Poetom” jest oczywiście pozornie tylko, i dla uproszczenia, atakiem na „poezję wierszowaną”. Jest on zwrócony przeciw literaturze przeglądającej się w lustrze, wspierającej się na kulach minionej szlachetności, minio-

nego piękna, literaturze żerującej na zgranym obrazie, obracającej metaforą jak kalejdoskopem, sądzącej że wystarczy „nowy” i „ładny” zestaw słów aby nadać nowy zapach słowu „róża”, nową nostalgię czy nowe bohaterstwo słowu „Polska”, nowe upojenie słowem „uda ukochanej”... Przeciw literaturze leniwie klajstrującej burżuazyjne kompartymenty życia, gaworzącej w odpowiednich i wzruszających chwilach z Sokratesem czy z Beatryczce, i przenoszącej się chętnie nad Niemen, aby pomarzyć. Przeciw literaturze upupionej. Warto tu podkreślić mimowolną zbieżność Gombrowicza z najnowszą krytyką literacką. Metoda stosowana przez niego w rozprawie z Sienkiewiczem czy Lechoniem, w jego ataku na „prefabrykowane piękno” w literaturze — to przecież intuicyjne odwrotzenie na własną rękę koncepcji Roland Barthes'a z „*Dégré Zéro de Littérature*”, książki która znaczy nową epokę francuskiej krytyki literackiej.

Gombrowicz wie, że literatura która może nas dziś interesować zaczyna się na granicy spraw i przedmiotów, odczuć i ich wzajemnych stosunków, wymykających się nazwie. Literatura ta zмага się z nienazwanym i, jak Alicja, jest już po drugiej stronie „of the Looking-Glass”. Gdzie różni się z Gombrowiczem, to w ocenie metody tego trudnego polowania. Gombrowicz wydaje się być zwolennikiem wyłącznie bezpośredniego ataku, który sam stosuje. Przyciąć się, podejść sytuację i narzucić na nią brutalnie siatkę nowych słów (broń Boże nie nowej metafory: nowej formy. Słowo jest dla Gombrowicza, oczywiście, rzeczą). Otóż wydaje mi się, że istnieje również metoda inna i że język, tak zwany klasyczny, oparty na logicznej składni, nie jest aż tak niezdolny do wyrażenia Nowego. W dwadzieścia lat po „Ferdydurke” Nathalie Sarraute oddała w „*Martereau*” torturę „międzyludzkiego” stwarzania się nader precyzyjnie, choć językiem bliższym Balzaca niż Joyce'a. Najpiękniejsza powieść wydana na Zachodzie po wojnie, „*L'Isola di Arturo*” Elsy Morante jest świadomie pisana stylem Manzoni: nie znam równie żywej gleby mitów, wielorakich znaczeń, równie subtelnej interpretacji jedynej ciekawej psychologii: — „międzyludzkiej”. Żeby sięgnąć do polskich przykładów, Miłosz wydaje mi się w „*Traktacie Poetyckim*” wielkim eksploratorem, mimo że bada pozornie klasycznymi środkami wieczny dylemat Historia-Natura. Notatka Aleksandra Wata o bycie myszy należy do poezji wierszowanej, cóż z tego, jeśli konwencja baroku łączy się w niej z przerażeniem potencjalnej metamorfozy.

Ale wróćmy do filozofii. Gombrowicz jest zarazem egzystencjalistą i marksistą „avant la lettre” (w sensie w którym pan Jourdain był całe życie prozaikiem). Duch czasu spadł, jak sęp, na sandomierskiego szlachcica, cieszącego się co rano powinowactwem z Burbonami. Duch czasu, jak łaska, spada widać *ubi vult*, w najbardziej gorszącej miejsca. Zanim kiedykolwiek

wiek przeczytał Marksa, Gombrowicz wiedział, że największym kłamstwem są ideologie, a jeśli dziś walczy z marksizmem, to dlatego że marksizm przerodził się w ideologię, przestając być otwartym, żyznym polem rzeczywistości. (Zanim zasłyszal o Kierkegaardzie, Heideggerze i Sartrze, Gombrowicz wiedział że nie ma innej wiedzy o człowieku jak poszukiwanie tego czym się człowiek bez przerwy staje, że ważna jest egzystencja, a nie jakże problematyczna esencja.) Stąd — gdyby chcieć z dzieła sztuki wyprowadzać filozoficzne wskazania — wniosek że Gombrowicz jest naturalnym zwolennikiem połączenia otwartego marksizmu z psychoanalizą egzystencjalną. W roku 1956 Gombrowicz pisze, że jeśli polski marksizm odgrodzi się od egzystencjalizmu niemądrym lekceważeniem, stanie się „zaułkiem, podwórkiem, prowincją”. W rok później tłumaczy to samo Polakom dłużej, zawilej, ściślej i nudniej Jean-Paul Sartre w polskim numerze „Twórczości”. Gombrowicz ma ci ten jasny i zadowalający mnie schemat, krygując się raz po raz w stronę katolicyzmu. Nie chcę się dać tu zaślepić uprzedzoniom. Wydaje mi się że grają u niego pewne refleksy stylu i „beaumonde'u”. Prymitywny antykatolicyzm razi Gombrowicza jako coś naiwnego, jako gaffa. Walka z katolicyzmem to coś równie „drugostolnego” jak bigoteria. Ale muszę wierzyć Gombrowiczowi, kiedy mówi że łączy go z katolicyzmem głęboki pesymizm w stosunku do człowieka. Wiem z własnego doświadczenia, że pesymizm, melancholia, pewna oschłość skłaniają do wizji świata uwzględniającej „Grzech Pierworodny”, obojętnie czy pojęty metafizycznie czy nie. Trzeba tu dodać że katolicyzm na najwyższym poziomie ma zadziwiający dar mimikry każdej najnowszej pozycji myślowej. Przy każdym zagrożeniu, Kościół wysyła żywe torpedy, piątą kolumnę, której zadaniem jest zbadanie i próba opanowania wrogiego terytorium. Gdyby Kościół był zgodny z wyobrażeniem jakie ma o nim mały masonowski czy marksistowski Jasio, można by przypuścić że są jakieś odprawy w Watykanie czy u Generała Jezuitów. Egzystencjalizm? Wysyłamy Gabriel Marcela i Enrico Castelli. Wsparcie flanków przez dominikanów niemieckich. Marksizm? — Zakładamy „Esprit”, wysyłamy Domenacha, wsparcie flanków przez księży-robotników i dominikanów francuskich. Do czego katolicyzm nie jest zdolny! Przecież przyswoił sobie nawet ateizm w dziełach Ojca Teilhard du Chardin! Możemy więc wykreślić z widnokręgu filozoficznego Gombrowicza katolicyzm jako mglistą pokusę opartą na snobizmie, sympatii i dezorientacji.

Nie zapominajmy jednak, że Gombrowicz broni się przed „zaostrzoną, rozpaloną do białości myślą współczesną”. Przedstawia on współczesne światopoglądy jako „rozstrzęsioną, wibrującą fabrykę”, po której on, „wieśniak z sandomierskiego” spaceruje, „jakby chodził po własnym ogrodzie”: „Co pewien czas, próbując tego lub owego wyrobu (jak gruszkę lub śliwkę) mówię: — Hm... hm... to jakieś dla mnie za twarde. Albo: — To, na moją miarę, zbyt obfite. Albo: — Do diabła z tym,

to niewygodne, za sztywne. Lub też: — Ha, nie byłoby zle, gdyby nie było takie rozpalone”.

BO PRZECIEŻ GOMBROWICZ NIE JEST FILOZOFEM

Dlatego byłoby oczywiście kpina z filozofii i co gorzej z Gombrowicza, gdyby go ograniczać do teorii (jakkolwiek antykonceptualnej).

„My, ludzie sztuki, ostatnio zbyt potulnie pozwoliliśmy, aby nas wodzili za nos filozofowie i inni naukowcy” — pisze Gombrowicz. I dalej: „Nie jesteśmy od rozumienia rzeczywistości, lecz tylko od jej wypowiadania — my sztuka jesteśmy rzeczywistością. Sztuka to fakt, a nie komentarz doczepiony do faktu”.

Nie trzeba stąd wnioskować że Gombrowicz, wróg szufladek, szufladkuje samego siebie na „człowieka” i „artystę”. Dla Gombrowicza nie istnieją, oczywiście, granice pomiędzy życiem i sztuką. Jest on tu naturalnym i samorodnym zwolennikiem nadrealistów, błyskawicznych i krótkotrwałych, ale najodważniejszych bodaj eksploratorów naszych czasów. *Dla Gombrowicza sztuka jest egzystencjalną metodą narzucenia formy własnej ludzkiej sytuacji.* Nie chodzi mu oczywiście o *Exegi Monumentum*, o przetrwanie. Chodzi mu o wyrażenie siebie samego tak silnie i tak odważnie, aby uzyskaną w ten sposób formę (a raczej niedo-formę, co jeszcze trudniejsze, do tego wrócimy) narzucić innym tak, aby móc się z nią samemu pogodzić.

Nic dziwnego że nienawistne mu jest przestarzałe pojęcie „talentu” jako „daru Bożego”, czy dziwacznej narośli, którą obdarzony jest artysta. Pojęcie to pokutuje po dziś dzień i stąd te pogaduszki że „to drań, Panie, świnia, Panie, ale talent, Panie, paluszki licza!” Tak jakby obrzydliwy jegomość prowadził na smyczy prześlicznego jamnika — swój talent. Gombrowicz odpowiada na takie postawienie sprawy w rozmowie z „pewną panią”: — „Przecież ‘talent’ to puste słowo, na to żeby pisać trzeba być kimś, usilnie nad sobą pracować, nawet walczyć z sobą, to sprawa rozwoju...”

Dziennik Gombrowicza nierozzerwalnie związany jest z tym zadaniem stwarzania samego siebie. Pisząc o tym, wywalam zresztą drzwi, które sam Gombrowicz szeroko otworzył. *Dziennik* jest dla „krytyka” narzędziem tortury. Nie tylko dlatego że Gombrowicz obwarował się w nim przed krytyką najbardziej wymyślnymi podstępami. Dlatego przede wszystkim, że zawiera najgłębszą i najbardziej wnikliwą krytykę, nie tylko całej twórczości Gombrowicza, ale również samego *Dziennika*. Jest to utwór (w ramach osobistej i obsesyjnej konwencji) dialektyczny, będący dziełem i jego krytyką, zagadką i jej rozwiązaniem, pytaniem i odpowiedzią (która z kolei jest nową formą zapytania).

Zadziwia mnie gdy ktoś mówi o megalomanii Gombrowicza, o jego zarozumiałości, a zwłaszcza o jego pretensjonalności. Megaloman — to wariat, który wierzy że jest Napoleonem. Zarozumialec — to człowiek który puszy się swymi „zaletami” (jakże często tą zaletą jest skromność, chrześcijańska pokora...). Pretensjonalność polega na nieumiejętnym operowaniu stylem, którego się nie opanowało. Wszystko to jest przeciwieństwem Gombrowicza, który chciałby móc uwierzyć, że jest sobą, dla którego pojęcie „wad” i „zalet” jest naiwne, który cały swój wysiłek wkłada właśnie w wierność własnemu stylowi.

STYL GOMBROWICZA I MOJE WYRZUTY SUMIENIA

Pamiętam jak ze cztery lata temu Giedroyc dał mi do przeczytania początek gombrowiczowskiego *Dziennika*. Byłem zachwycony i oszołomiony. Mówiliśmy o tym z Giedroyciem, podnieceni obaj, namyślając się co dać w *Kulturze* „najpierw”. Traktowaliśmy ten *Dziennik* jako zbiór genialnych felietonów, w którym można wybierać, przebierać, przesuwając. Nieszczęśliwie! Teraz dopiero, czytając *Dziennik* jednym tchem i w jednym tonie, dostrzegam jego chytrą, subtelną, symfoniczną konstrukcję. „*Dziennik* ten to pisanina dość bezładna, z miesiąca na miesiąc — zapewne nie raz się powtarzam, nie raz sobie zaprzeczam” — pisze Gombrowicz w Słowie Wstępnym, chcąc już na pierwszej stronie nabrać czytelnika. Gombrowicz się powtarza? Często. Gombrowicz sobie zaprzecza? Niejednokrotnie. Ale w obu wypadkach — celowo. Mimo że celem *Dziennika* jest odważne przedsięwzięcie natury moralnej, Gombrowicz wie, że jeśli się już wybrało słowo, ostateczną miarą odwagi i moralności jest styl. Na nic się nie zdadzą w literaturze najbardziej karkołomne doświadczenia wewnętrzne, jeśli nie towarzyszy im napięta, skupiona wola ich przekazania, osiągnięcia komunikacji. Więcej było mistyków niż św. Jan od Krzyża, św. Inez della Cruz, św. Teresa, św. Katarzyna. Ale oni potrafili nam coś ze swego doświadczenia przekazać, gdyż, pisząc, szukali słów bohatersko i precyzyjnie. W *Dzienniku* Gombrowicz odkrywa niemal wszystkie swoje karty, dokonuje szczodrego i odważnego daru samego siebie. Podobnie jak „Trans-Atlantyk”, *Dziennik* jest autobiograficzną powieścią (jakże łatwo jest w niej znaleźć fabułę, poszczególne jej wątki, jakże prawdopodobną byłaby dziś taka kapryśna konstrukcja). Pożornie „Trans-Atlantyk” jest bardziej transponowany, pisany bardziej tajemnym szyfrem. Ale nie łudźmy się — szyfrowany jest również *Dziennik*, gdyż na poziomie na którym przemawia do nas Gombrowicz — zerwawszy z umowną konwencją „rzeczywistości” — każde słowo jest tylko znakiem, rozpaczliwie nieraz dążącym do pokrycia, uchwycenia prawdy. Różnica polega na czym innym. Podczas gdy „Trans-Atlantyk” jest autobiografią mitologiczną — podobnie jak każde wielkie dzieło sztuki — w *Dzienniku* Gom-

browicz stanął przed zadaniem bodaj trudniejszym: autobiografii zdesakralizowanej. Stąd w szarym nurcie tygodnia, sobotach, piątkach i poniedziałkach, cały muł egzystencji materialnej, nudy, niewagi, głupoty która jest udziałem każdego z nas: wszystkich elementów które w dziele sztuki się zazwyczaj eliminuje. Ale *Dziennik*, to nie „La Nausée” Sartre’a. Zawiera on Gombrowicza całego, a więc również jego sny i obsesje, postać mitologiczną. Zawiera wreszcie — podobnie jak „Le Journal des Faux-Monnayeurs” — notatki na marginesie twórczości, oraz samą „twórczość” ściśle poetycką (nazwijmy twórczość Gombrowicza z „Ferdydurke” i „Trans-Atlantyku” tym czym jest — poezją). Technika pisarska Gombrowicza jest złożona. U jej podstawy leży „écriture automatique” nadrealistów. („Wejść w sferę snu. Po czym zacznij pisać pierwszą lepszą historię jaka ci przyjdzie do głowy i napisz ze dwadzieścia stron”). Ale Gombrowicz nie zadowala się taką poezją przypadku. Po trzech nowych redakcjach („dojdiesz do nowych skojarzeń, które wyraźniej określą teren działania”), zacznie się zarysowywać to co bym nazwał nurtem obsesyjnym dzieła: „Ani się spostrzeżesz, kiedy wytworzy ci się szereg scen kłuczowych, metafor, symboli (jak w „Trans-Atlantyku” „chodzenie”, „pusty pistolet”, „ogier”, lub w „Ferdydurke” „części ciała...”).

Wymienię w *Dzienniku* trzy ustępy należące do twórczości poetyckiej Gombrowicza: Diariusz Wiejski, Diariusz Rio Parana, oraz krótki, wspaniały ustęp sprowadzający świat do koszmarnego nonsensu (pod znakiem Kretyna, str. 165-167). Jest ich zresztą znacznie więcej: choćby wspomnienie o księciu Kajetanie. Objawia się tutaj przekora Gombrowicza. Samo złożenie obu Diariuszy kursywą, zaopatrzenie ich w tytuły, stanowi jakby uroczyste ostrzeżenie czytelnika przez Gombrowicza: uwaga, teraz wypowiadam się w sztuce. Są to świadome „palcówki” poetyckiej twórczości, których nie mogłoby zabraknąć w tym uniwersalnym „worku”, jakim jest *Dziennik*. Mam wrażenie, że nie oddzielając w ten sposób ustępu pod znakiem Kretyna Gombrowicz płata nam nowego figla, jakby chciał powiedzieć: „Sztuka? Oczywiście, ale także moje życie. „Ferdydurke” jest faktem, który może mi się zdarzyć w jakikolwiek piątek”. O „Ferdydurke” wspominam celowo, gdyż „kiwanie” Henryka z żoną w tym ustępie stanowi rodzaj „pojedynku na miny” z Gombrowiczem. W Diariuszu Wiejskim występuje również jeden z głównych motywów twórczości Gombrowicza: niewykończenia, niedopowiedzenia, niepewności formy (Sergio, który wszystko robi „niezupełnie, niecałkowicie, raczej połowicznie”, niezupełny, niepełny krokodyl” — w tym wszystkim, oczywiście, Niezupełny, Niepełny Gombrowicz). Ale ten obsesyjny wiejski poemat jest również arcydziełem najgłębiej pojętego realizmu. (Jak oddać najwierniej mglistą całość doznań, odczuć, wrażeń fizycznych, wewnętrznego monologu, odwiecznej „angoisse” na spacerze po argentyńskiej estacji w strasz-

nym skwarze południa? Precyzja Gombrowicza jest taka, że to pozorne „gaworzenie” nie może być niczym innym jak wynikiem wielkiego skupienia myślowego, dopasowywania słów, stwarzania za każdym niemal zdaniem nowej techniki pisarskiej. Odnajdujemy w tym Dziariuszu Wiejskim technikę podobną do tej którą pierwszy zastosował Alain Robbe-Grillet w „Les Gommies” i „La Jalousie”: powieściach opartych na krążeniu przedmiotów, na obiektywnej grze cieni w polu widzenia narratora. (Ale Gombrowicz operuje tą techniką przypadkowo („słońce łapką swoją przymruża mi oczy...”, „widzę tylko piaszczysty grunt pod nogami i, bodaj, mrówki...”, „spod skrzydeł mego kapelusza ujrzałem nogi Sergia w pobliżu z lewej strony...”), jest ona dla niego dodatkowym tylko środkiem pełnej rekonstrukcji Chwili.

Dziariusz Rio Parana jest dobrym przykładem tego jak Gombrowicz używa „słów kluczowych”. Leitmotivem tego ustępu jest słowo „płyniemy”. Wokół tego słowa, najbanalniejszego statku, najzwyczajniejszych pasażerów, najoczywiście ośniewającego zachodu słońca (którego opis jest arcydziełem precyzji wizualnej, a jednocześnie stylistycznego humoru), buduje Gombrowicz atmosferę nieznosnej grozy istnienia. Buduje? Nie zapominajmy znów że jest to *Dziennik*. Gombrowicz ma wrażliwość tego typu (podobną miał Kafka, wiemy o tym także z jego *dziennika*), dla której najbardziej przerażającym i tajemniczym zjawiskiem jest właśnie *powszedność*. Punktem kulminacyjnym wydaje się w „Rio Parana” „Krzyk którego nie było”. Ale groza rośnie w miarę jak Gombrowicz wyjaśnia nam, że „w tym cały sekret że nie stało się nic”. *Alienacja* ludzkiego bytu ciąży coraz bardziej podczas gdy Gombrowicz opisuje czynności pasażerów, partię szachów... Płyniemy... płyniemy... płyniemy... Rio Parana staje się przerażającą rzeką życia. Wspomnijmy przy okazji prawdę oczywistą, która może uszła uwagi któregoś z czytelników: Gombrowicz jest pisarzem *metafizycznym*. Jest to bodaj główny nurt jego dzieła, nurt niezamierzony, skoro celem jego jest cementowanie własnej postaci, zadanie moralisty i psychologa. Gombrowicz chce utrwalić w bronzie własną miękkość. Chce nazwać wolnością własną chwiejność. Ale u podstaw tego niezwykle subtelnego i przebiegłego neo-humanizmu leży odwieczna trwoga bytu. Rzadko przejawia się ona równie bezpośrednio jak we wspaniałym ustępie z burzą i wyciągniętą ręką (str. 262). Tym niemniej wydaje mi się, że wielkość Gombrowicza tkwi nietyl w jego zawsze oryginalnej inteligencji (zdolności widzenia wszystkiego „po raz pierwszy”), nietyl w jego intuicyjnej, własnej wizji psychologii egzystencjalnej, ile w wysiłku zbliżenia nas do najbardziej skrytych, tajemnych pokładów bytu. Gombrowicz, który tyle wyjaśnia, jest wielkim artystą poprzez wysiłek przekazania nam tych spraw, których ani on, ani nikt inny wyjaśnić nie może.

JAK SOBIE PORADZIĆ Z ACEDIA, CZY Z INNYM GRZECHEM GŁÓWNYM

Całe dzieło Gombrowicza poświęcone jest konfliktowi uniwersalnemu (ale który u niego przybrał postać obsesyjną) pomiędzy dojrzałością i niedojrzałością, a właściwie pomiędzy tym w człowieku co dąży do ostatecznego kształtu, formy, a tym co broni się przed tym kształtem, nie chce formy. Konflikt ten — różnie wyrażony — leży u podstaw każdej niemal religii i filozofii. Koncepcja Gombrowicza uderzająco przypomina pewne sformułowania XV-wiecznych północnych mistyków, jak Jan Ruysbroek. U nich jednak, jedyną i ostateczną formą jest Absolut — zespolenie się z Bogiem, podczas gdy wielkim nieprzyjacielem kształtu jest diabeł. Niewątpliwie pod wpływem tych doktryn widzimy potworność „bezkształtności” w obrazach Boscha, dla którego pokusa diabelska jest nieustanną „dereifikacją” świata. Warto zwrócić uwagę, że tematem wielu XV i XVI-wiecznych obrazów flamandzkich przedstawiających to rozproszkowanie świata w przypadkowy bezsens jest kuszenie Św. Antoniego. Otóż dla XV-wiecznych mistyków północnych (podobnie zresztą jak w kartach Tarotu) pustelnik przedstawia Melancholię, jest jednym z symboli Saturna. Temperamentowi i planecie odpowiada grzech główny — Acedia, czyli obojętność. Melancholicy-Saturnianie (wiemy poprzez Dürera aż do Baudelaire’a i Verlaine’a jak silnie zespoliła się ta symbolika z pewnym typem artysty) zagrożeni są wciągającym ich chciwie wirami *nicości*. Są jednak również bardziej od innych temperamentów wrażliwi na przeciwną, zbawczą pokusę — Absolutu, ostatecznej *Formy* (stąd motyw zwycięstwa Św. Antoniego).

Jeśli przytoczyłem ten metafizyczny przykład konfliktu pomiędzy formą i tym w nas co się przed nią broni, to po prostu dlatego, żeby zwrócić uwagę na ciężar zagadnienia które prześladuje Gombrowicza: podobnych ekwiwalentów można by z pewnością znaleźć więcej w różnych epokach i cywilizacjach. „Dojrzałość” staje się zresztą w naszych czasach psychoanalizy pewnego rodzaju świeckim odpowiednikiem „wiecznego zbawienia”. Infantyizm, psychika wieku dojrzewania wykraczająca poza jej biologiczny okres, związany z tym narcyzm, oto przyczyny tylu konfliktów (piekła?), z których nieraz chcą ludzie znaleźć wyjście leczeniem psychoanalitycznym — mającym za cel umożliwienie osiągnięcia „dojrzałości”, utrwalenie psychicznego ośrodka, wytworzenie zrozumiałych i, w miarę możliwości, naturalnych związków pomiędzy pacjentem i całokształtem świata zewnętrznego.

„Ferdydurke”, gdzie występują wszystkie już niemal motywy gombrowiczowskie, jest buntem przeciw niedojrzałości, a właściwie przeciw systemowi społecznemu, który tak psychiczną dojrzałość utrudnia (motyw „upupienia”). Ale istnieje tam już zapowiedź kultu młodości, przewagi „świata zielonego”, swobodnego. Widzimy w *Dzienniku*, że konflikt ten trwa

u Gombrowicza nadal, że nieraz waha się on jeszcze czy stanąć po stronie dojrzałości, czy niedojrzałości, świata Formy, czy świata bezkształtnego. Można by nawet zaryzykować hipotezę, że zarówno sam konflikt, jak i wewnątrz konfliktu wahania autora spowodowane są brakiem równowagi: Gombrowicz jest dojrzały intelektualnie, niedojrzały psychicznie. Mówiąc o dojrzałości intelektualnej, nie mam oczywiście na myśli wybitnej i oryginalnej inteligencji Gombrowicza: jakkolwiek świetna, taka inteligencja mogłaby być „niedojrzała”. Nie — chodzi mi o to, że intelektualnie Gombrowicz zdolny jest do zadziwiającej mimikry dojrzałości psychicznej — że widzi jej wyższość, jej potrzebę, jej konieczność w dziele rozwoju i doczesnego „zbawienia”. Łatwo byłoby Gombrowiczowi temu motywowi poświęcić swoje dzieło, o tę pełną dojrzałość walczyć. Ale właśnie dlatego, że inteligencja jego jest całkowicie zespolona z jego osobowością, nie może sobie pozwolić na fałszywy ton, choćby dla niego samego. Nie może sobie również pozwolić na udawanie czegośkolwiek, gdyż jest na to zbyt dumny. Stąd, mimo że konflikt Dojrzałość - Niedojrzałość, Forma - Bezkształt pozostaje centralnym motywem Gombrowicza, stopniowa zmiana nacisku. Gombrowicz pisze jeszcze wprawdzie: „Zaden historyczny magiel nie wycisnie słów ważnych z ludzi niedojrzałych”, ale dąży już w odmiennym kierunku: odlania w spżu własnej niedojrzałości, chwiejności, obojętności, kanonizacji własnego niedorozwoju. Tego rodzaju przedsięwzięcie przyjęcia pełni odpowiedzialności za siebie samego, posunięcia do najdalszych granic wszystkich swoich cech, ma zawsze charakter bohaterski i nie jest obce w poezji. Jean Genêt podobną metodą zmusił społeczeństwo do uznania pederasty, złodzieja, zdrajcy. Ale jeśli tego rodzaju stanowisko jest znane, to zawsze przecież chodziło do tychczas o wywyższenie elementów silnych, krańcowych, o stworzenie mitu „czarnego”. Przedsięwzięcie Gombrowicza jest w tym nowe, że chce on doprowadzić do paroksyzmu cechy same w sobie paroksyzmowi przeciwne: „Nie ma postawy duchowej — pisze on — która by, doprowadzona do ostateczności i konsekwentna, nie była godna poważania. Może istnieć siła w słabości, stanowczość w chwiejności, konsekwencja w niekonsekwencji, a także wielkość w małości, odważne tchórzostwo, miękkość ostra jak stal, atakująca ucieczka”. W takim postawieniu sprawy (nadal operując pojęciami średniowiecznymi — jakże nieraz bliskimi najnowszej psychologii głębinowej) Acedia łączy się z Pychą, a te dwa grzechy główne nigdy prawie nie idą w parze. Acedia jest „grzechem” współczesnego człowieka, obojętnego, oschłego, rozproszkowanego psychicznie, żyjącego życiem mechanicznym, zewnętrznym. Ale też współczesny człowiek jest zazwyczaj skromny, ustępliwy, „demokratyczny”, „sprawiedliwy”. Jakże rzadka jest dzisiaj prawdziwa, szalona Pycha!

W tym moralnym programie Gombrowicza nasuwa się jedna wątpliwość: czy chodzi o „doprowadzenie do ostateczności”

całego kompleksu cech przeciwnych formie i dojrzałości, czy też tylko o „uświadomienie ich sobie”? Jeśli chodzi o siebie samego, Gombrowicz skłania się ku uświadomieniu: „Chyba zdołałem wykazać na własnym przykładzie, że uświadomienie sobie owe go „niedo” — niedokształtowania, niedorozwoju, niedojrzałości — nie tylko nie osłabia, ale wzmacnia”. Tylko że „własny przykład” związany jest właśnie z bohaterskim przedsięwzięciem poetyckim: cokolwiek by Gombrowicz sądził o sobie samym, dzieło jego nie jest ani „niedokształtowane”, ani „niedorozwinięte”. Odrzucając Dojrzałość i Formę, Gombrowicz czuje się swobodny, ale nie wolno mu zapomnieć że dokonał co najwyżej swoistego transferu: do dojrzałości i ostatecznej formy dąży, jakże skutecznie, w swym dziele.

Z konfliktem tym i jego rozwiązaniem łączy się polski „mesjanizm” Gombrowicza. Kluczowy wydaje mi się tu następujący ustęp z *Dziennika*:

„Mnie, który jestem okropnie polski i okropnie przeciw Polsce zbuntowany, zawsze drażnił polski światek dziecienny, wtórny, uładowany i po-bożny. Polską nieruchomość w historii temu przypisywałem. Polską impotencję w kulturze — gdyż nas Bóg prowadził za rączkę. To grzeczne polskie dzieciństwo przeciwstawiałem dorosłej samodzielności innych kultur. Ten naród bez filozofii, bez świadomej historii, intelektualnie miękki, duchowo nieśmiały, naród który zdobył się tylko na sztukę „poczcziw” i „zacną” rozlaży naród lirycznych wierszopisów, folkloru, pianistów, aktorów, w którym nawet Żydzi się rozpuszczali i tracili swój jad... Mojej działalności literackiej przyświeca idea żeby wydobyć człowieka polskiego ze wszystkich rzeczywistości wtórnych i zetknąć bezpośrednio z wszechświatem — niech sobie radzi jak może. Pragnę zrujnować mu jego dzieciństwo.

„Ale teraz, w tym szumie napierającym, w obliczu własnej beznicości, w tej niemożności sprostania, przychodzi mi do głowy że popadłem w sprzeczność z sobą. Rujnować dzieciństwo? W imię czego? W imię dojrzałości, której sam znieść ani przyjąć nie mogę. Przecież Bóg polski (w przeciwieństwie do Boga Weil) jest właśnie wspaniałym systemem utrzymania człowieka w sferze pośredniej bytu, jest tym uchyleniem się od ostateczności, którego domaga się moja niedostateczność. Jak chcieć żeby nie byli dziećmi, jeśli sam per fas et nefas chcę być dzieckiem?

„Dzieckiem, ale takim które dotarło do wszystkich możliwości dorosłej powagi i doznało ich. W tym cała różnica. Najprzód odepchnąć wszystkie ułatwienia, znaleźć się w kosmosie tak bezdennym, jak tylko to dla mnie możliwe, w kosmosie o zasięgu maksymalnej mojej świadomości, i doświadczyć tego że się jest zdany na własną samotność i na własne siły — wtedy dopiero gdy się otchłani, której nie zdołałeś okiełznać, rzucić cię z siodła, siadź na ziemi i odkryj na nowo trawę i piasek. Aby dzieciństwo stało się dozwolone, trzeba dojrzałość doprowadzić do bankructwa. Bez blagi, kiedy wymawiam słowo „dzieciństwo”, mam wrażenie że wypowiadam najgłębszą treść, i jeszcze nie obudzoną, narodu który mnie spłodził. Ale to nie dzieciństwo dziecka, tylko trudne dzieciństwo dorosłego”.

Owo „trudne dzieciństwo dorosłego” wydaje się u Gombrowicza zdobyte nie tyle „przeżyciem” dojrzałości psychicznej, co poznaniem jej poprzez dojrzałość intelektualną. Przedsięwzięcie trudne i ryzykowne na miarę indywidualną (chyba że — jak u Gombrowicza — istnieje transfer w twórczość) — nie

do pomyślenia na skalę społeczeństwa, i tak zdanego na żer Lewiatana (Simone Weil).

Tym niemniej nie ma bodaj dziś pisarza który równie trafnie, mimo życia w diaspory, odczuwa polski charakter i polską sytuację. Nic dziwnego że młodych pisarzy w Kraju interesuje z generacji przedwojennej przede wszystkim Gombrowicz. W „Ferdydurke” widzą oni książkę proroczą, a pojęcie „upu-
pienia” dało im w najgorszych latach obronny ładunek sarkazmu. Może zresztą moja pedanteria w stosunku do „liter” jest nie na miejscu pisząc o Gombrowiczu, którego symbole żyją życiem jakby organicznym i mogą być odczute i zrozumiane na bardzo różnych poziomach. Jedno jest pewne — że Gombrowicz wskazuje nową drogę polskiej literaturze i sztuce, drogę prawdziwie rewolucyjną, poprzez odrzucenie fikcji zarówno burżuazyjnych jak socrealistycznych i że jego swoboda i fascynacja wszystkim co niedojrzałe odpowiada obecnej socjologicznej ewolucji polskiego społeczeństwa.

Dziennik będący zarazem dziełem sztuki i jedyną książką Gombrowicza dostępną nawet dla kogoś pozbawionego artystycznego wyrobienia, może wiele dopomóc polskiemu czytelnikowi w znalezieniu drogi naturalnego rozwoju.

Ale oto zaczynam mówić o Gombrowiczu w sposób „nudny, zwykły, pospolity”. Wolę zacząć na odpowiedź Gombrowicza w dalszym ciągu *Dziennika*.

K.A. JELEŃSKI



POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog 100 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

— 121, Earls Court Road, London. S.W.5.
Telefon: FREmantle 7888/9

Czytając Dąbrowską i Manna

„Biada nam zbiegi, żeśmy w czar morowy
Łekliwie nieśli za granicę głowy”...
(Pan Tadeusz, „Epilog”).

Nadając tylko z trudem i ze znacznym opóźnieniem za okazałą ilościowo krajową produkcją literacką, przeczytałem dopiero obecnie relację Marii Dąbrowskiej z jej pobytu w Niemczech w roku 1955. Odbył się wtedy w Weimarze (Niemcy wschodnie) wielki zlot pisarzy i intelektualistów zaproszonych na uroczystości schillerowskie. W roku tym przypadała 150-ta rocznica śmierci poety. Literaturę polską reprezentowała szczupła delegacja z Warszawy, w której skład wchodziła między innymi Dąbrowska. Wśród gości zagranicznych znajdował się również Tomasz Mann.

Pozycja Manna w literaturze światowej, jego wiek sędziwy, a zapewne także jego sugestywna osobowość, to co w języku angielskim określilibyśmy słowem *personality*, sprawiły, że wśród uczestników zjazdu budził on największe zainteresowanie i zajmował pierwsze miejsce. Dąbrowska podkreśliła to w swoim sprawozdaniu, nadając mu tytuł „Weimar po raz drugi, czyli tydzień z Schillerem i Mannem” (1).

Zaliczenie Manna do „gości” może się wydać nieścisłością. Zjazd organizowali pisarze niemieccy dla uczczenia jednego z największych poetów niemieckich. Mann stojący wtedy u szczytu sławy był powszechnie uznanym, niewątpliwie najwybitniejszym przedstawicielem współczesnej literatury niemieckiej. Znacznie bardziej odpowiednia dla niego wydawać się więc mogła rola gospodarza. Ale Mann był emigrantem. Przybył do Niemiec ze Szwajcarii — jako obywatel Stanów Zjednoczonych. W czasie poprzedniego swego pobytu w Niemczech (w roku 1949) przemawiając na podobnej uroczystości — w stulecie

(1) W zbiorku pt. *Szkice z podróży*, Warszawa, Czytelnik, 1956.

śmierci Goethego — nazwał się sam „gościem z Kalifornii” (gdzie wówczas mieszkał) a swoją „przynależność” określił w następujących słowach:

„Otaczają mnie ruiny, które w sposób oczywisty pozostały z sobą katastrofa narodu; zastają kraj rozdarty i podzielony na strefy państw zwycięskich i aż nadto dobrze rozumiem patriotyczną zgryzotę, gorzką niecierpliwość, z której szeptem czy głośno wybijają się słowa: obce panowanie... Lecz to, co jest, boli, ciąży i drażni dostatecznie, a tęsknota żeby się to skończyło nie może być obca żadnemu narodowi. Pewnego dnia musi się też skończyć. Ale dla mnie, który tu stoję, nie ma to już dziś znaczenia. Ja nie znam stref. Moje tutaj przybycie dotyczy tylko Niemiec, Niemiec jako całości, nie zaś jako tej czy innej strefy okupacyjnej. Któż miałby, w samej rzeczy, być rękojmnią i przedstawicielem jedności Niemiec, jeśli nie pisarz niezależny, którego rzeczywistą ojczyzną jest wolna, żadną okupacją nietknięta mowa niemiecka? Udzielcie mi, moi słuchacze, *waszemu gościowi z Kalifornii*, prawa tego przedstawiciela”...

Krażyły w czasie zjazdu w Weimarze niesprawdzone wiadomości (znalazłem później ich echo w prasie), że Mann rozważa możliwość pozostania w Niemczech na stałe. Formalnie rzecz biorąc po roku 1945 nie już nie stało na przeszkodzie powrotowi pisarza do ojczyzny. Oba państwa niemieckie licytowały się w czołobitnej serdeczności i ponawiały zaproszenia. Wielki pisarz odbył triumfalny wjazd zarówno po Niemczech wschodnich, jak po Niemczech zachodnich, wziął udział w szeregu tak zwanych spotkań, jednakże z propozycji pozostania nie skorzystał. W parę miesięcy po uroczystościach schillerowskich w swojej siedzibie szwajcarskiej — umarł.

(Myśl emigranta jest płochliwa. Kraży stale koło jednego tematu. Czytam piękny esej Dąbrowskiej o Weimarze, o Schillerze, o jej ostatnim spotkaniu z Mannem, ale naprawdę interesuje mnie tylko jedno pytanie: mógł powrócić — a nie powrócił. Dlaczego?)

Mann wyemigrował z Niemiec dawno. Cały okres wojenny przebywał zagranicą. Bardzo wczesnie rozpoznał niebezpieczeństwo zagrażające światu ze strony hitleryzmu. W roku 1937 rzucił pod adresem Trzeciej Rzeszy takie ponure proroctwo: „Biada narodowi, który by pogrążył świat w wojnę jednakowo nienawistną Bogu i ludziom. Taki naród popadnie w ruinę, zostanie zmiążdżony tak, by nie powstał więcej”. Ostatnia jego powieść nosząca tytuł „Doktor Faustus”, napisana w latach wojny, jest beletrystyczną wersją dziejów Niemiec a jednocześnie przerażającym obrazem ich klęski. Jak wszystkie dawniejsze książki Manna, tylko w stopniu jeszcze doskonalszym, może być

nazwana przewodnikiem po duszy niemieckiej. Wielka admirałka Manna, Maria Dąbrowska, nazywa „Faustusa” „zmaganiem się pisarza ze swym niemieckim diabłem” i podziwia epicki dystans, jaki autor umiał zachować w stosunku do tak dramatycznego tematu. W roku 1945, gdy Mann kończył swoją powieść, klęska wydawała mu się ostateczna a jej totalny charakter podsunał mu nawet słowa o „końcu świata”. Oto odnośna scena, jak gdyby żywcem wyjęta ze starogermańskiej sagi: wszystko przepada w gigantycznym pożarze.

„.... Moje opowiadanie zbliża się ku końcowi. Wszystko prze i zbliża się ku końcowi. Pod znakiem końca stoi świat, pod takim znakiem stoi przynajmniej dla nas Niemców, których tysiącletnia historia, zdruzgotana, jako błąd przez tę klęskę udowodniona, w nicości, w rozpacz, w bezprzykładowym bankructwie, poprzez taniec grzmiących płomieni odbywa swoją drogę do piekieł. Jeżeli prawdą jest, co chce mieć prawdą niemieckie przysłówie, że droga do godziwego celu godziwa jest na całej swej przestrzeni, to ręczyć można, że droga, co do takiego zła doprowadziła — a używam tutaj słowa Zło w jego najsurowszym, najbardziej religijnym znaczeniu — zła była wszędzie, w każdym punkcie i na każdym zakręcie swego przebiegu”.

Katastrofizm autora „Faustusa” nie znalazł potwierdzenia w rzeczywistości. W kilka zaledwie lat po „ostatecznej” klęsce, Niemcy stały się krajem wielkiego dobrobytu, a ich część zachodnia przoduje obecnie pod względem nowoczesności urządzeń przemysłowych (automatyzacja!) oraz pod względem szybkości wzrostu dochodu społecznego. Nie świadczy to najlepiej o wizjonerskich uzdolnieniach Manna, ale czytelnikowi daje dodatkową satysfakcję, skłaniając go do refleksji. Czy w takich gospodarczych niespodziankach nie wyraża się, być może, swoisty patos naszych czasów? I czy — w takim razie — szybkie podniesienie się Polski z jej obecnego upadku nie leży mimo wszystko w granicach możliwości? Profesor Adam Krzyżanowski zauważył przed laty, że skutki kryzysów trwają znacznie dłużej w państwach o przewadze rolnictwa, niż w państwach silnie uprzemysłowionych. W ostatnim dziesięcioleciu balans gospodarczy Polski przesunął się wyraźnie na korzyść przemysłu. To jest w każdym razie korzystne.

Polskiego czytelnika wychowanego w kulcie swojszczyzny i skłonnego raczej do pobłażliwości dla naszych wad narodowych, zdumiewa ton, jakim pisarz niemiecki pisze o swoich rodakach i ich tysiącletniej historii. Warte są także przypomnienia okoliczności towarzyszące powstawaniu ostatniej jego powieści. Zwraca na to uwagę Dąbrowska i jej słowa tutaj powtórzmy:

„Dystans Manna w okresie gdy pisał „Doktora Faustusa”, budzi rodzaj oślepiającego podziwu. Któż z nas podczas katastrofy wrześniowej potrafił dwa zdania napisać? Słowa wiedły pod piórem i mogliśmy tylko powtarzać:

*Ach, czyż usta śmiać pochlebiać sobie,
że dzisiaj znajdą to serdeczne słowo,
które rozczula rozpacz marmurową,
które z serc wieko podejmie kamienne,
rozwiąże oczy tyłą łąz brzemienne
i sprawi, że łąza przestygła wypłynię?*

.....
Nim się te usta znajdą, wiek przemienie.

„Mann odbił się nie tylko daleko od ojczyzny, lecz uniezależnił się nawet od jej klęski, by tę klęskę opisać, a jej przyczyny bezlitośnie zanalizować i potępić. Ostatnie rozdziały „Faustusa” pisał w Kalifornii, gdy Niemcy hitlerowskie dogorywały rozgromione, w pożodze, ale pożoga dosięgała i winnych i miliony niewinnych. Pisał, gdy rodziły się nowe rozwiązania dziejowe, których nie mógł być entuzjastą, które co najmniej musiały w nim budzić wielki obywatelski niepokój. Pisał w czasie, gdy ustalano podział Niemiec na strefy, gdy część Niemiec znalazła się pod władzą komunistów. Mimo wielkiego obiektywizmu i życzliwego zainteresowania Rosją Radziecką, Mann komunistą nie był. Jakże łatwo było stworzyć sobie natychmiast wygodne tabu, orzec, że w takich trudnych okolicznościach nie czas jest na sąd nad przeszłością nieszczęsnego narodu. Myśl i pióro Tomasza Manna nie zdradzały przed tymi okolicznościami, nie zaważyły się przed osądzeniem błędów międzywojennego dwudziestolecia historii Niemiec, przynajmniej w zakresie myśli i moralności narodowej. Zadanie, którego wobec Polski, ze smutkiem i niechętnie to stwierdzam, nie wypełniła nasza emigracja, choć zważywszy na jej tyle zachwalaną swobodę mieliśmy prawo tego się po niej spodziewać”.

Pomińmy na razie sztych wymierzony w emigrację. Ale czy wniosek Dąbrowskiej jest słuszny?

(Myśl emigranta, jak źle zabliźniona rana, ma swoje newralgiczne punkty. Bardzo łatwo ją urazić. Co to znaczy „odbil się od ojczyzny”? Czy to samo, być może, zagraża wszystkim upartym emigrantom?)

Doktor Serenus Zeitblom, historiograf i komentator dziejów życia, genialności, obłędu i śmierci muzyka Adriana Leverkuehna, zapisuje w swoim pamiętniku:

„Niemcy są wolne, o ile można nazwać wolnym kraj zniszczony i ubezwłasnowolniony i bardzo możliwe, że mojemu powrotowi do szkoły wkrótce już nic nie będzie stać na przeszkodzie. Czyż mam więc znowu humanistycznym maturzystom wpajać w serca ideę kultury, w której część dla bóstw głębi sprzega się z etycznym kultem jedności i rozumu w jedną religię? Ach, obawiam się, że w tym dzikim dziesięcioleciu wyrosło pokolenie, które tak samo nie pojmuje mojej mowy, jak ja jego; obawiam się, że młodzież mojego kraju stała mi się zbyt obca, abym mógł być nadal jej nauczycielem. Powiem więcej: całe Niemcy, nieszczęsne Niemcy, stały mi się obce, do gruntu obce, właśnie dlatego, że pewny okropnego końca trzymałem się z dala od ich grzechów, uszedłem przed nimi w samotność”.

Zeitblom i Leverkuehn są głównymi postaciami „Doktora Faustusa”. Słowa przytoczone powyżej znajdują się na jednej z ostatnich kart książki i są, jak sądzę, kluczem do jej zrozumienia. Można przypuszczać, że Mann wypowiedział w nich swe uczucia. Pisarz osądził widocznie, że w „dzikim dziesięcioleciu” między nim a jego narodem narosła „obcość”. Ona jak przypuszczać wolno spowodowała, że do końca życia pozostał emigrantem.

(„Obcość”... Myśl nasza, jak gołąb pocztowy wypuszczony nagle z klatki, wzbija się wysoko i podąża instynktowym szlakiem. Czy „w dzikim dziesięcioleciu” między nami a Krajem narosła obcość? My, oczywiście, myślimy o innym dziesięcioleciu. Każdy na to pytanie musi sobie odpowiedzieć — sam.)



Powieść o muzyku Leverkuehnie i jego przyjacielu Zeitblomie ma specyficzną strukturę: jej akcja toczy się jak gdyby w dwóch odrębnych wątkach. Jeden nurt opowiadania kończy się ze śmiercią muzyka, mniej więcej w rok po napadzie Hitlera na Polskę — drugi dogasa już po klęsce Trzeciej Rzeszy. Pozwala to autorowi spoglądać na wydarzenia z dwóch niejako perspektyw. Obecnie, w dziesięć lat po napisaniu książki, uzyskaliśmy dodatkowo jeszcze trzecią perspektywę: klęskę „nieszczęsnych Niemiec” możemy oceniać także pod kątem ich błyskawicznej regeneracji.

Raz jeszcze posłużmy się relacją powieściowego pamiętnikarza. Doktor Zeitblom notuje:

„Na Niemcy zewsząd idzie zguba. W ruinach naszych miast gnieźdzą się szcziury tłuste od trupów, grom dział rosyjskich bije w Berlin, przejście przez Ren okazało się zabawką dla Anglosasów, nasza własna wola, co z wolą wroga współdziałała, rzekłbyś, przysposobiła ich ku temu; nadchodzi koniec. Koniec nadchodzi, a to, co kona, tym samym skazuje ciebie, mieszkańca tego kraju ... lecz piszmy dalej”.

A w innym miejscu:

„Niemcy w uścisku demonów, jedno oko ręką zakrywszy, drugie wlepiwszy w ohydę, staczają się z rozpaczą w rozpacz. Kiedy osiągną dna otchłani? Kiedy spod ostatecznego braku nadziei, cud niepodobny do wiary — światło nadziei zadnieje? Samotny człowiek składa ręce i mówi: Boże, zmiluj się nad naszymi biednymi duszami, nad moim przyjacielem, nad moją ojczyzną”.

Tak wyglądało to w roku 1945.

Odbывая przed paru laty podróż po Niemczech zachodnich miałem stale w pamięci przejmującą jeremiadę Manna. Co raz to mijaliśmy ludne i bogate wsie, łąki pełne dorodnego bydła, miasta piękne i wesołe, pachnące świeżym tynkiem.

„Jakże prędko — rozmyślałem — życie triumfuje dzisiaj nad śmiercią i jak krótkotrwała jest uczta szczurów. Czy tylko nasza nienawiść ma trwać, tuczając się — jak szczury trupami — pamięcią doznanej krzywdy”.

Jastrun, który wraz z Dąbrowską brał udział w schillerowskim zjeździe i w spotkaniu z Mannem, zanotował w swoim dzienniku (2): „Nigdy jeszcze czas nie wyprzedzał tak gwałtownie żyjących w nim artystów”. Konfrontując rzeczywistość z opisem, jaki dał w „Faustusie” jego znakomity autor, ująłbym myśl wyrażoną przez Jastruna nieco ogólniej. Nie tylko artystów wyprzedza czas, w którym żyjemy. Rzecz w tym, że okoliczności zewnętrzne zmieniają się obecnie szybciej, niż dawniej i uczucia nasze nie mogą im nadążyć. Zdarza się to całym narodom. Jacques Bainville w swojej książce o pierwszej wojnie światowej i o traktacie wersalskim („Les Conditions de la Paix”) zauważył, że głównym błędem polityki francuskiej w tym okresie był jej anachronizm. Francuzi bali się mianowicie i nie nawidzili... Habsburgów. Wówczas, w roku 1918! uczucie to było oczywiście o sto lat spóźnione. Dążyli jednak konsekwentnie do zniszczenia Austro-Węgier. Co gorsza — zdołali to dążenie zrealizować. Błąd swój zrozumieli zapewne dopiero w dwadzieścia lat później, gdy z przerażeniem przypatrywali się bezczynnie pochłanianiu bezsilnej Austrii przez Trzecią Rzeszę. Ale wtedy było już za późno. Bismarck w roku 1866 nie popełnił w stosunku do Austrii takiego błędu. Strzeżmy się w polityce anachronizmów. „Czy chcielibyśmy — tak rozmyślałem dalej — by te kwitnące miasta zamieniły się znowu w ruiny?”

Pisze Dąbrowska:

„Gdy naród i państwo spotyka klęską, trzy wyjścia znajduje „syn podbitego narodu”. Podbitego z zewnątrz czy z wewnątrz. Ginie w walce; uchodzi na emigrację by się ocalić dla lepszych czasów lub na nie na obczyźnie walczyć; zostaje z narodem, by dzielić z nim to, co wszyscy cierpieć muszą. I żaden z tych wyborów nie ma prawa wynosić się nad inne. Dopiero wielki sędzia — czas — pokazuje, kto wybrał drogę właściwą. Lub raczej, kto na wybranej drodze spełnił swój wobec ojczyzny obowiązek, bo w każdym z tych wypadków można go w jakiś sposób wypełnić lub nie wypełnić. Ale nieuchronnie zjawia się natrętna myśl, że słusność lub niesłusność emigracji politycznej mierzy się między innymi wielkością powstałych na emigracji dzieł”.

Z całego kontekstu wynika, że znakomita nasza pisarka stawia nam za wzór Manna, którego wielbi za to, że „uniezależnił się” od klęski ojczyzny, by tę klęskę opisać, a jej przyczyny „bezlitośnie zanalizować i potępić”. Po czym dodaje: „Zadanie, którego wobec Polski nie wypełniła nasza emigracja, choć zwa-

(2) Mieczysław Jastrun, *Dzienniki i wspomnienia*, Warszawa, Czytelnik, 1955.

żywszy na jej tyle zachwalaną swobodę mieliśmy prawo tego się po niej spodziewać”. Ciężki to zarzut.

W latach ubiegłych nie podejmowaliśmy polemik z pisarzami przebywającymi w Kraju. Nawet zarzuty, jakie kierowali czasami pod naszym adresem, pozostawialiśmy bez odpowiedzi. Myśleliśmy: my korzystamy ze swobody. Szanse są takie nierówne... Ale, oto, dziś Maria Dąbrowska mówi z przekąsem nawet o naszej swobodzie! Milczeć trudno. Rozważmy rzecz spokojnie.

Wydaje mi się, że zarzut postawiony nam, nie jest uzasadniony, a przewód myślowy, który do niego doprowadził, nie był prawidłowy bądź też uległ wykołajeniu. Nie można nas porównywać z Mannem! — choć przynosi nam to niewątpliwie zaszczyt. Mann-Niemiec uszedł z Niemiec przed Niemcami; sam rodzaj emigracji był więc u niego odmienny. Po wtóre, naród do którego Mann należy, ma na sumieniu wiele grzechów, których nikt z Polaków nie popełnił, chociażby dlatego — że ich popełnić nie mógł. My z Polski nie uchodziliśmy przed Polakami. Żadnej kontrowersji między nami a naszym narodem nigdy nie było, i nie ma jej oczywiście także obecnie. Nikt z nas nie czułby się też w Polsce — jak sądzę — gdyby ją odwiedził... „gościem”. Taki „podróżniczy” stosunek pisarza do swego Kraju wydaje mi się u nas zupełną niemożliwością. Może jest w tym nasza słabość, ale nie stać nas na „dystans”, wychwalany przez Dąbrowską. Czytamy z podziwem artystyczną prozą Manna, największego niewątpliwie współczesnego władcy na obszarze języka niemieckiego, ale w uszach dzwięczą nam słowa innego mistrza. Tego mianowicie, który kochał „cały naród”, wszystkie jego „przeszłe i przyszłe pokolenia”... Jakiś szczątkowy ułamek tamtego uczucia tkwi, jak mi się wydaje, pomimo wszystko w każdym z nas (3). Jestem emigrantom politycznym nie dlatego, że moja ojczyzna stała mi się „obca”, ale dlatego, że odczuwam najżywiej, w sposób aż bolesny, moją jedność z nią.

Trudno także mówić o „klęsce” Polski, zwłaszcza w tym znaczeniu, w jakim używamy tego wyrażenia w odniesieniu do Trzeciej Rzeszy. Cokolwiek myśli się o dziejach narodu polskiego i o działaniach politycznych i społecznych kilku jego ostatnich pokoleń (z naszym pokoleniem włącznie), nie widzę żadnej możliwości, aby ująć je w patetycznej metaforze, w jakiej doktor Zeitblom zawarł tysiącletnią historię Niemców („Zdruzgotana, do absurdu doprowadzona, jako błąd przez tę klęskę udowodniona, w nicości, w rozpacz, w bezprzykładnym

(3) Nie sądzę, bym w swym zaślepieniu był odosobniony. Książka Jastruna o Mickiewiczu (600 stron!) ukazała się niedawno w szóstym wydaniu. W Otwocku przy tegorocznym egzaminie dojrzałości dano maturystom, jak zwykle, do wyboru kilka tematów z polonistyki. Przeszło połowa z nich — 44 na 79 — wybrała temat związany z Mickiewiczem. Podobnie było w innych szkołach.

bankructwie ... zła wszędzie, w każdym punkcie i na każdym zakręcie swego przebiegu"...) Nawet tak surowy sędzia naszej historycznej przeszłości, jak Aleksander Bocheński w swoim namiętnym oskarżeniu („Dzieje głupoty w Polsce”) nie posunął się do takiej ostateczności. W ubiegłej wojnie Polska nie była napastnikiem. Padliśmy ofiarą agresji i wielu innych wydarzeń, na które naród nasz nie miał prawie żadnego wpływu. Uraża to być może naszą dumę, taka jednakże jest nauka ostatnich lat kilkunastu. Może się to zmienić. Może się to już zmienia... Ale — tak było.

Cóż tedy — nieszczęśni! — mielibyśmy „bezlitośnie” analizować — i potępiać? Grzechy, których nie popełniliśmy.

Nie rozumiem także przekąsu, z jakim Dąbrowska wspomina nam „tyle zachwalaną swobodę”. Czyżbyśmy, zdaniem znakomitej pisarki, swobody tej nadużyli — nie oskarżając?

Rejestr win i błędów emigracji jest długi. Starczyłby, jak sądzę, za wątek do niejednej powieści. To źle, że tych książek nie napisaliśmy. Ale na polską niejako wersję „Doktora Faustusa” — na oskarżenie całego narodu — brak nam obiektywnego materiału.

Wiesław WOHNOUT

JERZY ZAGÓRSKI

OLIMP I ZIEMIA

MORALITET Z PANTOMINAMI

(3 akty, 6 odsłon wierszem)

SENSACJA TECHNIKI I OPŁACALNOŚCI !

TYLKO

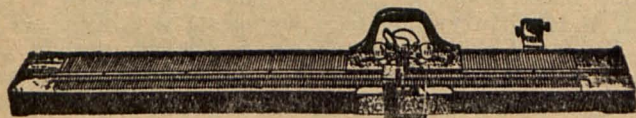
Auto-knitter

66 dol.

wraz

nowoczesny suwakowy aparat dziewiarski, który może dać utrzymanie całej rodzinie w Polsce.

z przesyłką



SŁUŻY DO PRODUKCJI WSZELKICH WYROBÓW TRYKOTARSKICH OD SKARPET DO KOSTIUMÓW DAMSKICH WŁĄCZNIE. 10.000 OCZEK NA MINUTĘ ! LICZNIK DO LICZENIA OCZEK DODATKOWO \$6.00.

Tylko przez firmę **TAZAB** 22 Roland Gardens, London S.W. 7, England albo: 36 Third Ave, New York 3, N.Y., tel.: ALgonquin 4-4161.

OSOBY

HERMES
HEFAJSTOS
AFRODYTA
THEMIDA
ZEUS

Olimpijczycy

KALI
ODYN
ŚWIATOWID

Przedstawiciele innych mocarstw
metafizycznych

PROFESOR
KAT
SŁUŻEBNICA
HYCEL
OSKARŻONY
PODSADNA
PROKURATOR
OBROŃCA
KOCIAK
CHULIGAN

Mieszkańcy ziemi

DYZMA
GEZMA

Łącznicy między niebem i piekłem

A K T I

O D S Ł O N A I

(Olimp wśród chmur. Bogowie schodzą się na posiedzenie)

S c e n a I (Hermes, Afrodyta, Hefajstos)

HERMES Nie widać ziemi.
AFRODYTA Chmury gęste
Zakryły ją.
HEFAJSTOS To moja sprawa!
Grzyby obłoków jak zabawka...
AFRODYTA Zjawisko dość, Hermesie, częste
U mego męża Hefajstosa,
Że uznał rzecz pisaną w losach
Za swoją władzę nad żywiołem.
HERMES Choroba bogów. Już pojąłem.
AFRODYTA Ale u niego większe stopnie
Samochwalenie się przybiera
Niż inni okazują. Teraz
Gdy wice-gromowładnym został
Nowych ataków pychy dostał.

(do Hefajstosa)

Mężu, zanudzasz mnie okropnie.

HEFAJSTOS Po zaślubinach w mej pieczarze
W czerwonej cię kapałem parze.
Na ławach mego wynalazku
Posiadłem ciebie w iskrach blasku
I gór świadczyły pióropusze
Że bazaltowe skały kruszę...
Deszcze kamienne i ogniste
Spuszczałem w wieczór, noc i świt.
Dźwignełem nawet i ten szczyt
Na którym stoisz...

HERMES Zamknij listę
Swoich osiągnięć. Ja, dwuznaczny
Świadek, pośrednik, pilot, goniec
Początek zdarzeń znam i koniec,
Lot szczęścia znam i dno rozpaczki,
Miarę znam, i nie mogę znieść
Gdy kto rozdyma swoją cześć.

AFRODYTA Może pochwali się kolegom
Ze moje dzieci wszystkie jego...
HEFAJSTOS Niewierna! Ale nazbyt piękna
Bym się wyrzekł twjej pieszczoty.
Ogniu, mej kuźni napeln groty!
Grom. Na mój rozkaz góra pękła.

S c e n a 2 (Ciz i Zeus)

ZEUS (*ukazując się*)
Kto sobie moce przypisuje
Które są władzy mej odbiciem?
HERMES Przewodniczący bogów idzie!
HEFAJSTOS Zeusie! Uznaję błąd. Żałuję.
ZEUS Pokorą swe utwierdzisz wpływy.
HERMES (*do Hefajstosa*)
Czy liczysz na koncesje nowe?
HEFAJSTOS Bez interesu korzę się.
ZEUS Tak radzę.
AFRODYTA Naprawdę mąż mój nie jest chciwy
Ani na skarby, ani władzę.
HERMES (*do Hefajstosa*)
Więc pochyl jeszcze niżej głowę.
ZEUS W porządku. Czy prezydium całe
W komplecie, które dziś zwołałem?
HERMES Jeszcze Themidy brak wśród nas.
ZEUS Na sprawiedliwość zawsze czas.
Można i bez niej. Hefajstosie,
Mój wierny uczniu, wice-głosie
Dziś po mej prawej siądziesz ręce,
Z lewej — sekretarz zaufany
Hermes, a córa morskiej piany
U moich stóp. Już miejsca zająć.
AFRODYTA Będę uwielbiać cię, słuchając.
HEFAJSTOS Że z żoną jestem zaproszony
Czy to nie zbyt wiele są honory?
AFRODYTA Zawsześ był do podejrzeń skory.
HERMES Jak postępować wiedzą trony.
Bogowie tworzą w kolektywie,
Po cóż więc spory o kołyski?
HEFAJSTOS Gniewać się nie śmiem i nie dziwię,
Wystarczy mi żem tronu bliski.
ZEUS Jesteś na dobrej drodze. Rangi
Wyższej już tobie dać nie mogę,
Lecz zbądź o stratę stopnia trwogę.
Zaczynam...
HERMES Chwilę. Przez krąganki
Themida zapóźniona kroczy.

ZEUS Wprowadź ją.
HERMES (*wprowadzając Themidę*)
Ma zakryte oczy.

S c e n a 3 (Ciz i Themida)

THEMIDA Gdy potknę się, przez nieuwagę
Jeszcze gotowam zgubić wagę.
HERMES Gdy waga jej na ziemię sfrunie
Mogą posprawdzać odwadzniki
Ludzie i cały Olimp runie.
Nie pytaj losu o wyniki...
AFRODYTA (*do Zeusa*)
Zwija się na skinienie twoje
Hermes, Hefajstos się ukorzył.
O nic przy tobie się nie boję.
ZEUS Koisz mię — równa jasnej zorzy.
HERMES (*podprowadzając Themidę*)
Przybyła!
HEFAJSTOS Trzeba jej siedzisko
Wykuć wysoko, czy też nisko?
ZEUS Wykuj poniżej Afrodyty
Kamienną ławę w skale litej.
Wyżej dopuszczać nie należy
Krytycznych mózgów i młodzieży.
(*Hefajstos jednym uderzeniem młota wykuwa siedzisko*)
Co? Już wykuleś? (*do Hermesie*)
Siądź Hermesie! (*do Themidy*)
Themido, czy nie warto śmiechu
Że ci opaskę nosić chce się?
THEMIDA Oczy zakrywam od wiek wieka
Żeby nie widzieć łez człowieka.
HERMES A także olimpijskich grzechów.
ZEUS Lat coś parę tysięcy przemija
Jak od ziemskich stroniąc wydarzeń
Przebywałem w krajach baśni, marzeń.
Ale dziś okoliczność sprzyja
By znów sprawy szły z naszym udziałem
I dlatego naradę zwołałem.
HERMES Zawsze z wiecznej perspektywy
Patrzy Zeus na całą historię.
AFRODYTA Daje obraz taki prawdziwy...
HEFAJSTOS Który jasno potwierdza teorię.
THEMIDA Nic nie widzę, ale uwaga,
Bo zadrżała zdaje się waga!
ZEUS Na naradzie tej po dawnemu
Chcę uzgodnić nasze stanowiska

- Przed Olimpu rozszerzonym plenum,
A którego data już bliska,
A zaś miejsce wyznaczyć się chce mi
Na tak długo zaniedbanej ziemi.
- AFRODYTA Ale wybierz piękne otoczenie:
Pośród lasu, z cichym jeziorem.
- HEFAJSTOS Zastrzeżenie zgłosiła w porę.
- HERMES I fatygę ma swoją w cenie.
- THEMIDA Nic nie widzę i nic mię nie wzrusza,
Lecz się waga wyraźnie porusza.
- ZEUS Tam gdzie gładkie jezioro sine
Las iglasty z dębami otacza,
Siedemdziesiąt stadii za Ketrzynem
Miejsce obrad plenarnych wyznaczam.
Drogowskazem będzie kwatery
Zdruzgotana Adolfa Hitlera,
Który lat kilkanaście się łudził
Że się zrówna w prawach z bogami,
A był tylko pomiotem ludzi,
Którzy są naszymi bękartami.
- THEMIDA Wago, wago, ręka odczuwa
Że się szala twoja przesuwą.
- AFRODYTA Pewnie jakaś perwersja nowa?
Ośmiornice wynurzą się z wody?
- HEFAJSTOS Na Meduzę, mieć będę dowody!
- HERMES Nie spostrzeżesz. Moja w tym głowa.
- ZEUS Jak bezmózgie ćwierkacie pisklęta,
Nieśmiertelni. To nie jest zabawa.
Nasza gra jest znowu zaczęta:
Podstawowe sprawdzają się prawa,
Bo na ziemi, jak dobiega głos,
Odzyskuje szacunek los.
- AFRODYTA A nie stracisz do mnie szacunku,
Gdy losowi będę uległa?
- HEFAJSTOS Och, wychodzę z siebie. Ratunku!
- HERMES Stracisz miejsce i pójdziesz do piekła!
- THEMIDA Los ucisza sumienia, wyzwała,
Ale ciąży ku ziemi szala.
- ZEUS Na to plenum zaprosiłem gości
Także z innych nieziemskich potencji,
By ustalić naszej interwencji
Stosowalność względem ludzkości.
- AFRODYTA Jakich mądrych słów on używa!
Lubię słuchać i nic nie rozumieć,
Wtedy jestem bardzo szczęśliwa.
- HEFAJSTOS Damom mizdrzyć się.
- HERMES A muszłom szumieć.
- THEMIDA Obojętnych wielka jest władza,
Ale szala o ziemię zawadza.

ZEUS Niepożarty przez ojca Chronosa,
Nieuległy biegowi godzin,
Wziąłem urlop w dniu pewnych Narodzin
I uciekłem od udziału w losach,
Bo świadomość moja niezdolna
Przyjąć woli, co mieni się wolna.
Lecz z urlopu pewne sygnały
Znow do pracy mnie przywołały,
Przeto spada na nas obowiązek
Wejść z masami ludzkimi w związek.
Zanim jednak śmiertelnych zbudzi
Wszechobecność nasza wśród ludzi,
Nagromadzić muszę przykłady
Że reguły przewagę biorą
I w tym celu wysłać na zwiady
Przywołanych was tutaj czworo.
Hefajstosie — sprawdzisz ciemnice,
Afrodyto — miejsca zabaw. Sądy —
Ty Themido z zakrytym licem.
Zaś podróże dostarczy przyrządy
Hermes, który stopę ma zwinną.
Jeśli tylko coś się nie zgadza
Z tym co być według planów powinno,
Wtedy dana przeze mnie władza
Niechaj przez was działać zaczyna.
Gdy się wkradnie z celem niezgoda,
Niech posłuży stara metoda.
Wy ją znaćcie...

HEFAJSTOS, AFRODYTA i HERMES

Deus ex machina!

(Themida milczy)

(Kurtyna)

INTERMEDIUM I

(Z krzeseł widowni wstępuje na proscenium przed kurtynę para osobników, trzymając się za ręce. Jeden z nich zwraca się do publiczności):

DYZMA Zaiste niezawodny wymyślili sposób.
Zobaczmy czy wiele zwojować potrafią.
My tymczasem do innych należymy osób:
Przybyliśmy z krainy zwanej Hagiografią.

(Kilku zręcznymi ruchami drapując swe stroje, wydobywają z faldów małe pudełka ze szminkami, kilku kreskami charakteryzując się. Jeden z nich — Dyżma — wyjmując także zamknięty wachlarz złoty, rozwija go i przytwierdza nad głową w kształcie aureoli, po czym ciągnie dalej prezentację):

Wyszliśmy z apokryfów, z tradycji lamusa,
Zameldowani w piętach po miastach i siolach
Przebywamy na krzyżach u boku Chrystusa.

GEZMA Umieszczeni w pozycji niewygodnej zgoła.

(Przez chwilę imitują postacie dwu łotrów z Golgoty w takiej pozycji w jakiej ich się widuje na rzeźbach i obrazach):

DYZMA Odróżnić się od braci nawet i nie trudźmy.
Choć jeden z nas jest w niebie, a drugi jest w piekle,
Urodzeni przez ludzi wciąż jesteśmy ludźmi
I swego koleżeństwa bronimy zaciekle.
Podobnie brzmią imiona: on Gezma, ja Dyżma.
Zawisliśmy na krzyżach u Chrystusa boku.
Poprosilem o łaskę. Mnie amnestię przyznał
Syn człowieczy, a Gezma został wiecznie w mroku,
Bo milczał jak i teraz. A ja nie milczałem!
Z wolnej woli zrobiłem posunięcie mądre.
Gezma został na zawsze łotrem zatwardziałym,
A ja zostałem świętym, pozytywnym łotrem.
Lecz cóż mądrość, gdy Dyżma jest kolegą Gezmy
I łączy nas złodziejska solidarność prosta?
Dlatego nierozłączni już z sobą jesteśmy
I pragnę z nim podzielić, com ja tylko dostał.

GEZMA Jeszcze Bóg ciebie zgromi, że przemycasz szuflę
Jeżeli nie do niebios, to jednak na scenę...

DYZMA Powiem Zbawcy mojemu, że Go naśladuję,
A widzom zostawimy postępki ocenę.

(Kurtyna w górę)

ODSŁONA II

(Miejsce tortur. Oskarżony siedzi na niskim, ostrym słupie żelaznym. Nogi ma przytwierdzone do posadzki, ręce skrepowane z tyłu i łańcuchami połączone z podłogą i ścianą. Kat uderza go po plecach koniczką. Podchodzi powoli do ściany, odwraca się, podbiega i z całego rozpędu kopie w brzuch. Znowu odchodzi, ociera pot z czoła i przemawia głosem zrozpaczonego):

Scena 1 (Kat, Hycel, Oskarżony, Służebnica)

KAT Błagam, przyznaj nam się chłopie,
Próżno biję, próżno kopię.

HYCEL Facet już przytomność traci.

OSKARŻONY Nie dowiecie się nic, kaci!

SŁUŻEBNICA Ależ zatwardziały nachał!

HYCEL (do Oskarżonego)

Widzisz jak się major męczy?

KAT Przyznam żem się trochę zmachał.

SŁUŻEBNICA Spróbujemy więc obręczy.

(Kat zakłada kółczaste obręcze na uda, piersi i czoło Oskarżonego, zaciska je bardzo ostrożnie i powoli)

HYCEL Nowa seria się zaczyna.
Wydusimy z sukinsyna!

KAT Przyznaj się do jakiejś zbrodni!

OSKARŻONY A do jakiej?

HYCEL To pytanie
Mogą stawiać tylko podli.

SZUŻEBNICA Sam przedłuża swe badanie.

KAT Przyznaj się do jakiegokolwiek.

SŁUŻEBNICA Zająć światłem mu do powiek!

(Kat nastawia ostry reflektor, który pada na twarz oskarżonego, kat przytrzymuje palcami jego powieki, żeby się nie zamknęły)

KAT Patrz mi w oczy, nie ukrywaj,
Powymieniaj wszystkie fakty,
Swych współników ponazywaj,
Jakie, powiedz, masz kontakty?

OSKARŻONY Mam kontakty elektryczne
I współników kalamarza,
Fakt mi czasem się przydarza,
Ukrywałem sprawy liczne.

KAT Zaczął śpiewać.

HYCEL Dobra nasza!

KAT Jednocześnie zuch wariuje.

SŁUŻEBNICA (do Hycela)
Niech zeznania Jaś notuje,
Potem w pismach poogłasza.

OSKARŻONY Ale wszystko zapomniałem
Co do działań oraz osób.

SŁUŻEBNICA Spróbujemy w inny sposób.
Miał pan żonę?

OSKARŻONY Żonę?... Miałem.
Mówiliście że nie płacze,
Na wolności ma kochanka.
Dobrze że jej nie zobaczę.

SŁUŻEBNICA Czekaj ciebie niespodzianka...

(Pantomima 1: Otwierają się drzwi, rozjaśnia się inna część sceny, gdzie identycznie uwięziona na identycznym słupie siedzi kobieta, poddawana w milczeniu tym samym torturom co poprzednio Oskarżony przez tych samych oprawców, którzy opuścili jego celę, wygasivszy światło, a rzuciwszy jego olśniewający snop na nową ofiarę. W niemej pantomimie widać jak ich zabiegi są wyuczone. Po ich serii, łącznie z kopnięciem kobiety w brzuch Oskarżony szarpie się, w końcu opada bez siły półprzytomny; w półcieniu u jego boku jak zjawy ze snu stoją Hermes i Hefajstos. Rozmowa ogniskuje się wokół Podsądnej, w kręgu nasilonego światła):

Scena 2 (Ciż, Hermes, Hefajstos i Podsądna)

PODSADNA Co ja wiem, jak i dlaczego?
Najprzód świtem wzięli jego,
Potem po mnie przyszli w nocy.

HERMES *(do Hefajstosa)*
Nie da rady bez pomocy
Naszej.

HYCEL *(do Służebnicy)*
Coraz bardziej bredzi.

KAT Czym ją skłonić do spowiedzi?

SŁUŻEBNICA Użyjemy psychologii.
Daj zastrzyki, co glukozę
Strąca.

KAT Mózg będziemy prac?

HEFAJSTOS *(do Hermes)*
Trudno wiarę temu dać.
Nawet ja poczułem zgrozę.

HERMES Ich obojga dusze idą
Na granicę sennych cieni

SŁUŻEBNICA Jutro im świadomość zmieni
Nowy zastrzyk.

HEFAJSTOS Ach, ohydo!

HERMES Lecz musimy mieć w tym udział
Zeusowymi rozkazami.

SŁUŻEBNICA Uważaj byś nie rozbudził.
Nastaw płytę z ich grzechami.

HYCEL Tę o karłach, co zaplute
Pod olbrzymia warczą butem?

KAT Wejdzie w pamięć, i bez cudu
Staną się wrogami ludu.

HEFAJSTOS Imponuje mi technika.

HERMES Ciszej bądź, bo przecież my
Tylko ich jesteśmy sny...

HEFAJSTOS Od nieśpiących zawsze zmykam.

*(Chowają się głębiej w cień przed wracającymi na środek sceny
w snopie światła Katem, Służebnicą i Hyclelem).*

S c e n a 3 *(Kat, Hyclel, Służebnica)*
(Oskarżony i Podaśna omdleni)

KAT Ręce pora umyć z krwi.

HYCEL Zaproszenie na bal mam.

SŁUŻEBNICA Przynies z perfum szykuj mi.

HYCEL Wszystko zrobi się dla dam.

KAT Naszej twardej pracy brud
Zmyje kąpiel z wonnych wód.

(Znikają za firanką i zaraz ukazują się wyświeżeni, przebrani elegancko)

HYCEL Wystrojeni według mód
Do pałacu jedźmy bram.

(Wychodzą. Z cienia wynurzają się Hermes i Hefajstos)

S c e n a 4 *(Hefajstos, Hermes, Oskarżony, Podaśna)*

HEFAJSTOS To coś nieprawdopodobnego.
Czy jestem we śnie, czy na jawie?

HERMES O brzeg otarłeś się już prawie,
Bo w snach ich jesteś, mój kolego.

HEFAJSTOS Wyjaśnij.

HERMES Zaraz się postaram:
My śnimy się tym dwojgu marom,
A ludzie nam się śnią nawzajem.
Z ocknięciem sen każdemu pierzcha.
Taka umowa jest odwieczna
Pomiędzy ich i naszym krajem.

HEFAJSTOS Ale ja się do czynu palę:
Wyrabię okno, strop rozwalę!

HERMES Nie waż się. Im za bardzo drogo
Przyszłoby płacić za naprawę.
Tu nawet sen oskarżyć mogą.

HEFAJSTOS Oskarżyć sen? A jakim prawem?

HERMES Zamilcz. Nie po to Zeus nam błdzić
Kazał i patrzeć na katusze.
Pomóc im mamy, nie ich sądzić.

HEFAJSTOS A więc łańcuchy te pokruszę!

HERMES Nigdy nie miałem w wielkiej cenie
Twego rozumu. Znowu stwierdzam:
Co nakazuje odruch serca
Byłoby sprzeczne z przeznaczeniem.

HEFAJSTOS A! Przeznaczenie... Prawda, los!
Rozkazu Zeusa słyszę głos.
Lecz jakie przeznaczenie?

HERMES Właśnie
Rzecz po kolei ci wyjaśnię.
Więc słuchaj.

HEFAJSTOS Słucham.

HERMES Widzisz parę
Ludzi skazanych przed wyrokiem
Bo trzeba jakąś mieć ofiarę
I zaspokoić jej widokiem
Karania głód u tamtych trojga.

HEFAJSTOS To jest bez sensu. Prościej młotem
Od razu zatłuc, jeśli Mojra
Tego wymaga.

HERMES Mówisz o tym
Jako ignorant. Skoro oni
Mają być o nich snem typowym,
Musimy zajrzeć w ludzkie głowy.

HEFAJSTOS Ciebie nikt myślą nie dogoni.

HERMES Otóż ci ludzie nawpółżywi
Cierpią niewinni, a skazani.
A znowu tamta trójka drani

Ma sędzić ich niesprawiedliwie.
Tego o ziemi sen wymaga
Który nam śni się.

HEFAJSTOS

Chyba blaga...

HERMES

Blaga z rozkazu zeusowego?

HEFAJSTOS

Przepraszam. To jest co innego.

HERMES

Panuje los nad kaprysami
A ziemia twarde ma statuty.
Będą badani więc dopóty,
Póki się nie przyznają sami.
Inaczej runie ustaw gmach
I aż na Olimp padnie strach,
Czy w Chaos Kosmos znów nie pójdzie?
Przez posłuszeństwo wierzę budzie.

HEFAJSTOS

HERMES

Tymczasem siły im zabrakło,
Zaś ich oprawcom cierpliwości,
Więc interwencją naszą nagłą
Za chwilę sprawa się uprości.
Gdy zbudzą się, przyznają sami,
Że przy absencji straży w celi
Konferowali z agentami.
We śnie agentów dwóch widzieli.
Nikommu nie śmie przyjść do głowy
Że to był proces nietypowy.

(Kurtyna)

INTERMEDIUM 2

(Przed kurtynę wychodzą Dyżma i Gezma w strojach więziennych)

DYZMA Trzy lata za morderstwo bandyckie z grabieżą.

GEZMA Odbyłem tyle samo. Mord z premedytacją.

DYZMA Odsiedzieliśmy swoje, wolność się należy.

GEZMA Jak myślisz? Znów rozbijać?

DYZMA Zabraniam ci, bracie,
Nawet myśleć!

GEZMA Jakiego więc się imać fachu?

DYZMA Każdego uczciwego, jaki się nadarzy
Od więziennych dozorców do zwykłych tragarzy.

GEZMA Podobno są redukcje?

DYZMA O to nie ma strachu
Żeby czegoś nie znaleźć, wyszedłszy za bramę
Katorgi, w której z sobą zawarliśmy sztamę.

GEZMA Może portfel znajdziemy?

DYZMA Rozejrzmy się trochę
Po świecie co się wznosi nad więziennym lochem.

(Kurtyna w górę)

ODŚLONA III

(Bał w palacu kryształowym. Olśniewająca sala łączy się z innymi przez łukowate portale bez drzwi. Dochodzą odgłosy zabaw i echa. Kryształ, złoto i jaspis tworzą wymyślne sztukaterie. Jeden z portali wypełnia lita szyba matowa na którą padają cienie bawiących się par i zjawisk. Kiedy kurtyna idzie w górę podpira ścianę młodzieniec, którego wytworna elegancja jest prowokacyjna, „bikiniarska”)

Scena 1 (Chuligan sam)

CHULIGAN Zabawy zgilek i gwar, i szum
Dochodzi z kryształowych sal.
Odpoczne, nim powrócę w tłum.
Zaczyna się czerwony bał.
(ECHO)
...Czerwony bał, ...czerwony bał.

Scena 2 (Chuligan, Kociak i Profesor)

(Profesor wchodzi z Kociakiem. Spostrzegają Chuligana)

KOCIAK Spójrz, profesorze — Stasio tam!
PROFESOR Dobrze Kociaku, przedstaw nas.
CHULIGAN Ja się przedstawiać zwykłem sam:
Arbiter mód i postrach kas.
(ECHO)
...I postrach kas... i postrach kas.
PROFESOR Tu ekskluzywny bywa świat,
Skąd zaproszenie pan tu wziął?
CHULIGAN Bo hegemonem jest mój brat
Dostępni mi przywódcę są.
(ECHO)
...Przy wódcę są ...przy wódcę są
PROFESOR Z tego co mówi pan, wynika
Że ma pan z ludem koligację?
CHULIGAN Mój stryj był wujem robotnika,
Kiedy mu zamkli restaurację.
(ECHO)
...I restaurację ...restaurację.
KOCIAK Stasia cioteczno brat stryjeczny
Szoferem stał się.
PROFESOR Czy przodownik?
CHULIGAN (do Kociaka)
Nudzi mnie stary twój wartownik.
KOCIAK (do Profesora)
Chodźmy. On bywa niebezpieczny.
(ECHO)
...A niebezpieczny ...niebezpieczny.

(Profesor prosi Kociaka do tańca i wyławirrowuje do dalszych sal)

S c e n a 3 (Chuligan sam)

CHULIGAN Pretensje belfra i dziewicy
Do mnie, mordercy detalisty.
A przecież tutaj hurtownicy
Wpisani są na gości listy.
(ECHO)
...Nagości listy ...gości listy.

S c e n a 4 (Chuligan, Służebnica, Hycel, Kat)

(Wchodzi Służebnica z Katem i Hyclem. Hycel też ma w swym ubiorze coś bikiniarskiego, podczas gdy Kat jest zupełnie nienagannie i dyskretnie ubrany. Służebnica w mocno wydekoltowanej sukni balowej. Rozmawiają z sobą)

SŁUŻEBNICA Czy bal bez masek, czy maskowy?
HYCEL Dowolnie każdy się ubiera.
Można we frakach, przy orderach,
I nago być od stóp do głowy.
SŁUŻEBNICA Z pana kawalarz zawodowy.
HYCEL Zobacz pani co tu będzie
Jak spiją się.
CHULIGAN (podchodząc)
Kończ swe orędzie.
Mnie oskarżenie to obraża!
KAT (do Chuligana)
Jesteśmy z damą, proszę ciszej!
HYCEL (do Chuligana)
Czy chcesz przepustkę do cmentarza?
CHULIGAN Sam ci na mordzie ją wypiszę!

(Wali Hycla w pysk, tamten mu oddaje. Służebnica odskakuje, Kat prosi ją natychmiast do tańca i wylawiruje z sali)

(ECHO)
...Dziejom wypiszę ...ją wypiszę.
KAT (w tańcu do Służebnicy)
Odstępuje taka mnie zabawa.
SŁUŻEBNICA Proszę mnie wyprowadzić stąd.
KAT Przejdźmy do sali, gdzie bawi rząd,
Tam lepszy bufet i obstawa.

(Kat i Służebnica nikną w dalszych salach. Gwar zabawy głośny echo)

(P a n t o m i m a 2: Chuligan i Hycel biją się w milczeniu. Tymczasem dwie pary tańczące: Profesor z Kociąkiem i Kat ze Służebnicą wracają w tańcu znów na tę samą salę z zupełną obojętnością w stosunku do walczących. Są rozbawieni. Mijając stół bufetowy biorą z niego przysmaki, jedzą je i zapijają nie przerywając tańca. Kociąk wybiera koniak,

Służebnica wódkę, Profesor wodę mineralną, Kat w ogóle nie pije. Kociąk na zapas chwytła banana, Służebnica pomarańczę. Chowają sobie te owoce za dekolt. Następuje zmiana dam. Kat wyciąga w tańcu Kociąkowi z dekoltu banana, wyluskuje go ze skórki, wkłada w usta jak cygaro. Profesor z dekoltu Służebnicy wyciąga pomarańczę, obiera ją i pakuje do ust Służebnicy. Ta rozgryziony owoc, trzymany w ustach podaje mu jak pocałunek. Kociąk obejmuje ustami drugi koniec banana tkwiącego w ustach Kata. Zachowują cały czas całkowitą obojętność w stosunku do bójki Hycla z Chuliganem, która przybiera obrót niebezpieczny dla sprzętów: kanapy i bufetu. Hycel chwytła syfon wody sodowej i jak z rozpylacza obstrzeliwuje nim Chuligana. Chuligan bierze butelkę szampana, ustawia ją jak moździerz na swoim brzuchu, oddrutowuje korek, rozluźniewa go i strzela nim w pierś Hycla. Pary tańczące nikną w innych salach. Bójka dobiega końca. Hycel i Chuligan padają zamroczeni i nieprzytomni. Błyskawiczną windą w ścianie zjeżdża z wysoka Hermes i Afrodyta, stają nad Chuliganem. Po chwili windą z dołu wjeżdża Kali i staje nad Hyclem)

S c e n a 5 (Hermes, Afrodyta, Kali, Hycel, Chuligan)

HERMES Już śpią. Możemy teraz prędko
Rozejrzeć się.
AFRODYTA Jest na tej sali
Ktoś.
KALI Jestem twoją konkurentką:
Staroindyjskim bóstwem Kali.
AFRODYTA Przedstawmy się.
HERMES To rzecz bezbożna.
Olimpijczykom nie bez racji
Zabrania się fraternizacji
Z bóstwami innych wiar.
AFRODYTA A można
Z ludźmi?
HERMES W ich snach i niezupełnie...
KALI Ja posłannictwo swoje pełnię
Rodząc, mordując w okrucieństwie:
Mistrzynie dzieciobójczych matek.
AFRODYTA Nie lękam się nadmiaru dzieci.
HERMES Drobną różnicą w koleżeństwie.
KALI Mam tysiąc rąk i tysiąc nóg,
Pięćset ust, pachwin, piersi tysiąc:
Matka pożądań, studnia trwóg —
Śnię się moczom oraz hyclom.
HERMES Stało się. Prezentacja ładna.
Na nas więc kolej: Afrodyta.
Jej nie dorówna chyba żadna
Piękność wrodzona ni nabyta.
Nie zna skrobanki! za to liczny
Przychówek z różnych ojców miała.
Świat by zmieniła w dom publiczny,
Lecz na pieniądze jest jak skała.

AFRODYTA A Hermes wie, co groz jest wart,
I także parą się szantażem.
To kupiec ze złodziejskim stażem,
Zna szlif brylantów, passy kart.
Również w wywiadzie jest ceniony,
Usługi pełni rozmaite:
Na śmierć prowadzi, ale przy tym
Wskazuje drogę zagubionym.
On i ja śnimy się młodzieży
Spaczonej, jak ten co tu leży.

HERMES A więc poznaliście się damy
A ja zostałem przedstawiony.
Tylko rąk sobie nie podamy,
Bo by runęły nasze trony.
Jest fałszu trochę w tej sentencji,
Lecz Zeus zakazał konwiwencji.

KALI Chyba że jeszcze wyższy los
W snach czyichś nas kojarzyć poczniesz...

HERMES Uwaga. Słuchać ludzki głos,
Skryjmy się w cieniu niewidocznie.
(Nikną w cieniu)

Scena 6 (Hycel, Chuligan, Dyzma i Gezma)

(Chylkiem wsuwają się na scenę w strojach obszarpanców Dyzma i Gezma, który spostrzega że Hyclowi wysunął się z kieszeni portfel)

GEZMA Spójrz, pod nosem portfel leży:
Życie zaczyna się układać.

DYZMA Lecz w recydywę nie należy
Tak szybko po więzieniu wpadać.

GEZMA Spróbuję sięgnąć.

HYCEL (ocknąwszy się)
Skąd ja znam
Ten pysk? Ach, z ciupy! Co robicie?

DYZMA Wczoraj zwrócili wolność nam.

HYCEL Trzeba pracować należycie.
Normalne życie da wam lekcję.
Możecie liczyć na protekcję
Moją. A teraz chłopcy, w nogi,
Bo zabłocicie te podłogi.

Scena 7 (Hycel, Chuligan, Kociak, Światowid, Kali, Hermes, Afrodyta)

(Dyzma i Gezma uciekają, Hycel wkłada portfel do kieszeni i dalej półprzytomnie kotłuje się z odzyskującym z trudem przytomność Chuliganem. Nim oprzytomnieją wchodzi na salę pijana do nieprzytomności Kociak, uczeplona do sztywno trzymającego się Światowida. Światowid jest w staroświeckim surducie, głowę o czterech twarzach okrywa grzybowaty, okrągły melonik)

KOCIAK Ale się ululałam w pestkę!
W oczach mi dwoi się i czworzy.
Czy to jest maska? Co pan włożył?
Aż cztery twarze. Gdzie ja jestem?

ŚWIATOWID Słowianko! Kto cię ze snu zbudzi?
Jaki cię szaleje, jaka tryzna
Uspila? Tutaj jest ojczyzna.

(ECHO)

...A jest ojczyzna ...jest ojczyzna.

(Światowid w wirowym tańcu wyprowadza Kociaka z sali. Na słowo „ojczyzna” budzą się Hycel i Chuligan. Kali, Hermes i Afrodyta, którzy już byli się wychylili z cienia dość daleko, znów chowają się w półmrok, nim znikną)

KALI To słowo poruszyło ludzi.

AFRODYTA Budzą się.

HERMES Posłyszeli hasło.
Spieszmy się. Sprawie, żeby w kątach
Gdzie przycupniemy światło zgasło.

(do Kali)

Tylko niech pani nie przypląta
Się do nas. Proszę trochę dalej.

Scena 8 (Chuligan i Hycel)

CHULIGAN Jasiu!

HYCEL Co Stasiu?

CHULIGAN Wódki nalej!

HYCEL Biliśmy się.

CHULIGAN No to zapijmy.
Dwie postacie się przysniły.

HYCEL Mnie jedna w sposób niezbyt miły.

CHULIGAN Karafki są. To sto lat żyjemy.
(ECHO)

...O sto lat żyjemy ...sto lat żyjemy!

(Piją prosto z karafek)

HYCEL Stasiu!

CHULIGAN Co Jasiu?

HYCEL No to szlama.

CHULIGAN We dwóch interes będzie w dechę.

HYCEL Złapmy dwie baby na pociechę.

CHULIGAN Właśnie nadchodzi jedna dama.
(ECHO)

...I jedna dama ...jedna dama.

(Wtacza się zalana Służebnica w dobrze pomiętej, poszarpanej sukni balowej, która będzie dalej darła się jej w tańcu, do którego dołącza się Hycel i Chuligan)

S c e n a 9 (Ciż i Służebnica)

SLUŻEBNICA Kiedy się baba dobrze ulula,
To do każdego chętnie przytula.
Hula babula jak tarantula.

HYCEL i CHULIGAN
Jak tarantula hula babula.

(ECHO)
Hula babula ...hula babula.

CHULIGAN Dzisiaj na wozie, jutro do ula,
W naszym obozie ktoś się rozczuła?

HYCEL Chwała pogromcom, wrogom w łeb kula,
Myśli się mącą, oko zamula.

CHULIGAN Hula babula.

HYCEL Hula babula.
(ECHO)
...Hula babula ...hula babula.

HYCEL Łamane kostki: dobre zajęcie.

CHULIGAN Skrwawione ręce, krwawa koszula.

SLUŻEBNICA Jakieś wyrostki depczą po pięcie.
Gdzie ja się kręcę?

CHULIGAN i HYCEL
Hula babula.
(ECHO)

Hula babula... hula babula.

SLUŻEBNICA Śliska podłoga, kto mi da łapę?
Już mi się noga w tańcu podkula.

CHULIGAN Czas na kanapę już rymsnąć babę!

(Rzucają ją na sofę, ona fika nogami)

HYCEL Hula babula.

SLUŻEBNICA Hula babula. (milknie i usypia)
(ECHO)

...Hula babula ...hula babula.

S c e n a 10 (Ciż i Kociak ze Światowidem)

(Półprzutomni Hycel i Chuligan zwalili się na sofę ze Służebnicą. Tymczasem Światowid wnosi półspiczą Kociaka i składa ją ostrożnie na tejże sofie na której kottuje się Służebnica z Hyclem i Chuliganem)

ŚWIATOWID Wracaj do swoich, udała cōro,
Ludzki obyczaj mym głowom szkodzi.

DZIEWCZYNA Patrz, co zrobiłeś mi z koafiurą?

ŚWIATOWID Muszę się schować. Człowiek nadchodzi.

(Przyczają się w cieniu węgli. Wchodzą zupełnie trzeźwi Kat i Profesor)

S c e n a 11 (Ciż, Kat i Profesor)

KAT Podziwiam pańską głowę, profesorze.
Czyżby pan nie pił?

PROFESOR Wystrzegać się muszę
Nadmiaru trunków ze względu na serce.

KAT Każdemu zawał przydarzyć się może...

PROFESOR Pan też jest trzeźwy?

KAT Ze względu na duszę.

PROFESOR Metafizyka.

KAT Jeżeli uśmiercę
Kogoś przy pracy mej, co nie jest łatwa
Muszę mieć nerwy spokojne i zdrowe.

PROFESOR Przeczyta z moich podręczników działwa,
Że sługa kraju zimną miewał głowę.

(Przechodzą do innych sal. Podczas gdy półprzutomna czwórka: Służebnica, Kociak, Hycel i Chuligan kottują się dalej na sofie, z cienia wychodzą bogowie. Hermes staje obok Afrodyty, Światowid i Kali oddzielnie. Chuligan półprzutomny nagle pieje jak kogut)

S c e n a 12 (Światowid, Kali, Afrodyta Hermes, Chuligan, Służebnica, Kociak)

ŚWIATOWID Kur zapiał. Zdaje się że odejść pora.
Pobojowisko lepsze niż Cecora.

(Półprzutomny Hycel gulga jak indyk)

KALI Mnie odwołuje gulganie indyka.
Świtu już odblask na ścianie, więc zmykam.

(Dziewczyna gęga, Służebnica kwacze)

ŚWIATOWID Te korowody żegnamy bez żalu.

AFRODYTA Chciałam wziąć udział w tańcach i piosenkach.
Lecz nie znalazłam w ich weselu piękna.
Powiem Zeusowi o tym festiwalu.

HERMES O to chodziło. Świadkami tymczasem
Jesteście jak nam interwencje idą.
Do zobaczenia pod Ketrzyńskim lasem,
A ja wyroki postwierdzam z Thermidą.
(ECHO)
...Thermido! ...Thermido!

(Kurtyna)

(Koniec I aktu)

AKT II

ODSŁONA I

(Sąd. Sala tak jak się ją widzi zza stołu sędziowskiego. Pulpity Prokuratora i Obrońcy. Ława dla oskarżonych. Za barierą ławy dla publiczności. Na ścianie emblematy, portrety, niektóre z przepaskami żalobnymi, oraz miejsca puste po portretach. W kącie jak niepotrzebne śmiecie gotowe do wymięcenia Ewangelia, Thora i Prawo Rzymskie, zgarnięte jak pogrzebaczem, nadłamanym, oduróconym do góry stopami krucyfiksem. We wnęce stanowiącej rodzaj łoża z kolarą zajmują miejsca Hermes i Themida, żeby podglądać ludzi)

Scena 1 (Hermes i Themida)

HERMES (wprowadzając Themidę)
Przy okienku przepustek zdrzemnął się urzędnik.
Woźnych oraz sprzątaczek minęliśmy strażę.
Spraw z góry przesądzonych teatr ci pokażę.

(Wstępują do łoża)

THEMIDA Ja nie nie widzę.

HERMES Jednak spiszemy pamiętnik
Z tej wyprawy. Dokładne dla Zeusa notatki,
Które jemu przekażę posiadaną mocą,
By sprawdził z wyrokami ten dokument rzadki.

THEMIDA Jakiś gwar.

HERMES Głębiej stańmy.

THEMIDA Śmiertelni nadszchodzą?

HERMES O jedną rzecz nie mogę się nigdy założyć,
Czy żywych się spotyka, czy duchy, czy echa?
Uważaj, schowaj wagę.

Scena 2 (Ciż, Dyżma i Gezma)

(Wchodzą Dyżma i Gezma w mundurach wartowników więziennych, w czapkach z podpinką. Czapki o wykroju wojskowym mają wyraźne otoczki. Czapka Dyżmy posiada otok złoty, Gezmy — czarny)

DYŻMA Jedyna pociecha
Że jest do kogo czasem swą gębę otworzyć
Na pieskiej służbie.

GEZMA Lepiej cicho trzymać mordę.

DYŻMA Rozmaitych sposobów już się próbowało
Zarobienia na życie, zanim ten dostało.

GEZMA Tu życiorys nie szkodził.

DYŻMA Wolno być eksłotrem.
Byle znów nie skiksować.

GEZMA Działa elektryczność,
Mikrofony, słuchawki.

DYŻMA Wpuszczamy publiczność.

Scena 3 (Ciż, Kociak i Chuligan)

KOCIAK (wchodząc z Chuliganem)
Wytlumacz co to znaczy, że proces otwarty?

CHULIGAN Znaczy, że zaproszonych przepuszczają warty.

Scena 4 (Ciż, Profesor i Hycel)

PROFESOR (wchodząc z Hyclem)
Pewnie pan reportaże z procesu napisze?

HYCEL Jeżeli zażądają tego towarzysze.
A pan się interesuje także tym procesem?

PROFESOR Nihil humanum mihi alienum esse.

Scena 5 (Ciż, Kat i Służebnica)

SŁUŻEBNICA Czy nie zmylą?

KAT Jest czystą formalnością sąd.
Pytania, odpowiedzi znane doskonale.
Można się nawet zdrzemnąć.

(Sześć osób publiczności zapada w drzemkę. Dyżma i Gezma w milczeniu wychodzą)

Scena 6 (Kat, Służebnica, Hycel, Profesor, Chuligan, Kociak, Hermes, Themida)

HERMES Nie pójdzie pod prąd
Kropla wody, Themido taruj swoje szale.

THEMIDA Jeśli wszystko wiadome, po co moja waga?

HERMES By sprawdzić prawidłowość! Tego Zeus wymaga.

(Dyżma i Gezma w milczeniu wprowadzają Oskarżonego i Pod sąd, sądząc ich na ławie oskarżonych, sami stają za nimi. Z dwu stron wchodzi Prokurator i Obrońca, stają za swymi pulpitemi)

Scena 7 (Ciż, Dyżma i Gezma, Oskarżony i Pod sąd, Prokurator i Obrońca)

PROKURATOR (do widowni)
Wysoki sędzie! Zbrodniarzy typowych
Widzisz. Mactwa ich się poodślania.
Z mrocznego bagna knoń zagadkowych
Na śledztwie swoje złożyli zeznania.
Tu je potwierdzą. (do Oskarżonego):
Czy pan mówił wtedy
Że się pomylił i bardzo żałuje?

OSKARŻONY O swych pomyłkach mówiłem niestety.
Dotychczas śledztwo pamiętam i czuję.

- PROKURATOR *(do Pod sądnej)*
A czy pod sądna dała żalu znaki?
- PODSADNA Tak. Żalowałam jak ludzie co grzeszą.
- PROKURATOR *(de widowni)*
Dowodem stają się nasze poszlaki,
Skoro pod sądni już sami w nie wierzą.
- PODSADNA Ale...
- GEZMA *(do Pod sądnej)*
Nie wolno prokuratorowi
Przerywać. Zamilcz.
- DYZMA *(do siebie)*
Moje ucho łowi
Przerwane słowa, co są myślą całą.
- PROKURATOR Sądzę że dowieść mi się już udało.
- OBRONCA Jako adwokat broniący z urzędu
Merytorycznych zarzutów nie zburzę,
Ale w przewodzie doszukam się błędu:
Są wykroczenia przeciw procedurze.
Czy z naszych ustaw, sędziowie, wynika
Żeby opierać się na ogólnikach?
Może dowodów wzrosłaby zaleta,
Gdyby przemówił sam Kat o konkretach?
- KAT *(podrywa się ze swego miejsca)*
Próżno pan w przewód obstrukcję przemycą,
Mnie przez zeznaniem chroni tajemnica.
- SŁUŻEBNICA *(zniecierpliwiona)*
Trudno publicznie jest powtarzać dane,
Które poufnie były przekazane.
- HYCEL *(do Profesora, który półdrzemie, podczas gdy Kociak i Chuligan chrapią na dobre)*
Mają powody i zupełną rację.
- SŁUŻEBNICA *(do widowni)*
Nam się zgadzają wszystkie obserwacje.
Można im zbrodnię zarzucić ponurą,
Bo się zetknęli nocą z agenturą.
- HERMES *(półgłosem do Themidy)*
A więc działałem dobrze z Hefajstosem!
Porządek w sprawach ludzkich się ustala.
- DYZMA Tutaj przemówił ktoś niehumanicznym głosem.
- GEZMA Cicho!
- THEMIDA Pracuje mojej wagi szala.
- GEZMA Dlaczego jedni z publiczności śpią,
A drudzy mówią? Gdzie tu jakiś ład?
- DYZMA Nie zawsze składnie układa się świat.
Czasem przed szeptem wielkorządcy drżą.
- OBRONCA Obrona w każdym razie wnosi,
By Oskarżony i ta pani
Raz jeszcze byli przesłuchani,

- Zanim sentencję się ogłosi.
To sprawę bardziej uwydatni.
- DYZMA *(do Pod sądnej i Oskarżonego)*
Słyszycie? Macie głos ostatni.
- PODSADNA Tydzień świecili lampą w oczy.
Myślałam: nigdy już nie zasnę.
Potem się wszystko stało jasne.
- HERMES *(do Themidy)*
Potwierdza przewód co się toczy.
(Themida podnosi wagę)
- OBRONCA I chciałbym wagę znać argumentów
Jakie zazwyczaj w śledztwie stosuje
Wicedyrektor departamentu.
- HERMES Themido, ktoś tu wyraźnie psuje.
- THEMIDA Hermesie, ktoś tu powiedział o wadze.
- SŁUŻEBNICA *(do Kata)*
To mowa o nas, panie majorze.
Zasługi nasze oceniam może,
Gdy je ujawnię, choć nie przesadzę.
- OBRONCA Znacznie by przewód nam się uprościł,
Gdybyśmy osób z śledztwa spytali
Czy wszystkie środki swe wyczerpali?
- SŁUŻEBNICA Wszystkie? Od plucia, łamania kości
Aż do obietnic, próśb i perswazji!
- PROKURATOR Na mocnym gruncie rozprawa stoi.
Współpracownicy znani są moi
Z niezawodności i kurtuazji.
- OBRONCA Niech więc przemówię.
- KAT Po łokcie ręce
Mam urobione. To ciężka praca.
- SŁUŻEBNICA Wspaniała!
- OBRONCA Przewód pani wzbogaca.
- OSKARŻONY Skażcie nas. Koniec połóżcie męce.
Już nic nie pragnę oprócz ratunku
W śmierci.
- (Opada bezsilnie na ławę. Pod sądna zapada w półświadomość, inne postacie ludzkę w odrętwiałe ośpienie)*
- HERMES Zamknięte koło rachunku.
Zgodzeni z losem po wyrok idą.
Możesz zdjąć chustkę z oczu Themido,
Aby się przyjrzeć sądzonych twarzom,
Zanim im wyjście fotowicie wskażą.
- THEMIDA *(spada jej opaska z oczu, waga chyboce się)*
Czy nie pomyłka to jest Hermesie?
Wolnoż nam udział brać w przedstawieniach
Żywych, błędzących po jawy lesie?

HERMES Nie są zbudzeni. Spią ich sumienia.
Spójrz — opuszczają jak widma salę,
Na służbie losu, ku Zeusa chwale.

(*Pantomima 3: Wychodzą kolejno z sali zautomatyzowanym krokiem: majestatyczny Prokurator, złośliwie uśmiechnięty Obronca, pełna satysfakcji Służebnica, służbiście Kat, odruchowo tasując notatki Hycel, drapiąc się w głowę Profesor, jak dwa cienie Oskarżony i Podsądna, za nimi jak duchy Gezma i Dyzma. Ostatni wstają jak lunatycy Kociak i Chuligan. W połowie drogi za kulisy budzą się, spoglądają na siebie. Opuszczają scenę. Światło na Hermesa i Themidę*)

Scena 8 (Hermes i Themida)

HERMES Proces się odbył zgodnie z planem.

THEMIDA (*wskazując widownię*)
Lecz sąd w komplecie jeszcze siedzi,
Choć rządzi prawo oderwane.

HERMES Olimp nie pyta się gawiedzi.

(*Wychodzą. Wchodzą Dyzma i Gezma, rozglądają się po scenie*)

Scena 9 (Dyzma i Gezma)

GEZMA Porządek zrób, podłogi zamieć...

DYZMA (*do widzów*)
Ludzie! Czy działa wasza pamięć?

(*Kurtyna*)

INTERMEDIUM

(*Przed kurtyną Hermes. Kłania się publiczności. Pyta*)

HERMES Czy zgromadzeni tu na sali
W tej sprawie wyrok już wydali?

(*Uderza łaską w podłogę*)

Tu zgromadzony i publiczny sędzie:
Przedstawiam drugą sprawę na wokandzie.
Jak się domyślić łatwo wszyscy mogą
Będzie to sprawa olimpijskich bogów:
Istot żyjących w podniebnych obłokach,
Którzy na ludzki tłum patrzą z wysoka.
Zeus w swej trosce o porządek świata,
Czy zgodny z planem ustalonym z góry,
Posłał mnie sprawdzić, czy są w całym dziury,
A gdzie jest dziura, żebym ją załatał.
Troje, jak wiecie specjalistów przydał:

Hefajstos w śledztwie pozapelniał luki,
Skrzytkowała orgię Afrodyta,
Themida z sądu czerpała nauki,
Po czym raporty zdaliśmy we czworo,
Że sprawy ziemskie mylny obrót biorą.
Losów spełnianie idzie jak po grudzie:
Plan prawidłowy, lecz zawodzią ludzie.
Na tym olimpu cierpi autorytet.
O imię nasze i władzę w obawie
Postanowiłem na innej podstawie
Oprzeć przeznaczeń i spełnień parytet.
Nie śmiem Zeusowi projektu przedłożyć
Nim eksperyment się jeszcze nie uda.
Wam proponuję karkołomne cuda:
Bogowie patrzeć będą, a wy tworzyć.
Róbcie co chcecie i co potraficie,
Aby zaś w losach nie było wypaczeń
My w plan wpisujemy co podsunie życie,
Nie naginając życia do przeznaczeń.
Reasumując: oceniam sędziowie
Jak determinizm stawia się na głowie.
Niech kolegialne zgromadzenia
Rozważą sprawę w swych sumieniach.

(*Kurtyna w górę*)

ODSŁONA II

(*Przed papierowym domem, którego budulec stanowią książki, gazety, płyty gramofonowe, filmy, stła i wszelkiego rodzaju instrumenty przekazywania myśli. Wchodzą Oskarżony i Podsądna*)

Scena 1 (Oskarżony i Podsądna)

OSKARŻONY Nareszcie wolność! Wielkie słowo.
Otworzy się więzienne bramy.

PODSADNA Już nie wierzyłam że na nowo.
Jeszcze za życia się spotkamy.
Świata już prawie nie poznaję.

OSKARŻONY Musiały tu się obyczaje
Zmienić od tych dziesięciu lat
Kiedy we władzy miał nas Kat.

(*W drzwiach domu ukazuje się Profesor*)

Scena 2 (Ciż i Profesor)

PODSADNA Ktoś mieszka tu.

OSKARŻONY Może przedstawi
Pod jaki żyje się strychulec?

- PROFESOR Zapewne was w zdumienie wprawi
Zastosowany tu budulec.
Są to zastępcze materiały;
Gdy cegiel i betonu braknie
Z książek w nadmiarze nieczytanych,
Których jest ile dusza łaknie,
Cementujemy w blokach ściany.
- OSKARŻONY Czyżby już książek nikt nie czytał?
- PROFESOR Przeciwnie. Czytelnictwo wzrosło,
Lecz lud w wyborze jest przebiegły.
Żeby odmrozić więc kapitał,
Niewpakowane nawet osłom
Książki sprzedaje się jak cegły,
Bo tańsze są. Podobnie płyty
Nagrane służą za dachówki.
- PODSADNA Czyżby muzyki nikt nie słuchał?
- PROFESOR O nie, to mężów znakomitych
Mowy, wywiady i rozmówki
Na które dusza ludu głucha.
- OSKARŻONY Chcę wtrącić słowo niefachowca:
Czy plastik czysty się nie nada?
- PROFESOR Produkt jest tańszy od surowca,
To gospodarki jest zasada.
Ze stenogramów jest fundament,
Rynny z partackich filmów mamy,
W oknach przejrzyste z map witraże.
- OSKARŻONY U wstępu życia w głowie zamęt.
- PODSADNA Czy my podobnie zamieszkamy?
- PROFESOR A to dopiero się okaże
Czy zamieszkacie nawet tak.
- (Profesor chowa się w papierowym domu i zatrząskuje drzwiami z gazety)*

S c e n a 3 (Oskarżony i Podsądna)

- OSKARŻONY Wolność... Nad głową dachu brak.
- PODSADNA A przecież mieliśmy swój dom.
- OSKARŻONY Wąska ku szczęściu wiedzie ścieżka.
Areszt nastąpił niby grom.
Ktoś inny w tamtym domu mieszka.
- PODSADNA Mieliśmy także trochę rzeczy...
Spojrzyj! Czy widzisz adwokata?

(Wchodzi obrońca)

S c e n a 4 (Ciż i Obrońca)

- OBROŃCA Uniewinnionym nikt nie przeczy
Odszkodowania za te lata,
A także że im się należy
Oddać, co mieli przed aresztem

- W postaci grosza, czy odzieży,
Skonfiskowanych skarbów resztę...
- PODSADNA To, mecenasie, pewnie znaczy,
Że wszystkie nasze krzywdy miną?
- OBROŃCA Więzienie obraz świata paczy.
Uczono tam, jak być powinno.
Lecz gdy wolności przyszedł chrzest
Trzeba nauczyć się jak jest
I na rzeczowych faktów bazie
Budować życie swe na razie.
- OSKARŻONY W tym a nie w innym właśnie celu
O pracę staram się w Kętrzynie.
- PODSADNA W ciszy więzienny uraz minie.
- OBROŃCA Uprzedzam, nie ma tam hotelów
I mieszkań pustych.

(Wchodzi Prokurator)

S c e n a 5 (Ciż i Prokurator)

- PODSADNA Prokurator!
- OBROŃCA Przelamie waszych złudzeń zator.
Zegnam. Spraw takich pełno w tece.
Jeszcze je muszę przestudiować.
Mam się w tym gmachu konsultować
Co sądom dać, a co na wiece?

(Wchodzi do papierowego domu)

S c e n a 6 (Oskarżony, Podsądna i Prokurator)

- PROKURATOR *(do Oskarżonego)*
Jest pan zrehabilitowany.
To orzeczenie też obejmie
Panią. I order pozłacany
Panu, a pani takiż z srebra
Za polamane damy zebra.
- OSKARŻONY Bóg zapłać.
- PODSADNA Ale co nas czeka
W życiu?
- OSKARŻONY Zniszczone mamy zdrowie.
- PODSADNA Czy liczyć na odszkodowanie?
- PROKURATOR Wiedząc, że padnie to pytanie
Teraz kasacje się przewleka.
Krótko i jasno wam odpowiem:
W trosce o pokój i człowieka
Lepiej odłożyć jest na zawsze,
Przyrównać zesłorocznym śniegom
Wzajemne krzywdy, choć najkrwawsze,
Których nagrodzić nie ma z czego.
Wolelibyście nowy proces?

PODSADNA Więc mamy żyć pod gołym niebem?
 OSKARŻONY Karmić się wodą z suchym chlebem
 I spać na dworcach w chłodne noce?
 PROKURATOR Oduczcie się nadmiaru pytań.
 One daleko nie prowadzą.
 Nie utrudniajcie, proszę, władzom
 Siąc sprawiedliwość, gdy elita
 Wskutek bankructwa też pomału
 Wyzbycie się luksusów głosi
 I po kolei się przenosi
 W domki z zastępczych materiałów
 Krzywd tylko nowych namnożycie
 Pieniactwem. Resztę powie Hycel.

(Wchodzi Hycel. Prokurator znika w papierowym domu)

S c e n a 7 (Oskarżony, Podsądna, Hycel)

OSKARŻONY Tego tu brakowało jeszcze!
 PODSADNA Skąd ja go znam?
 OSKARŻONY Pilnował kleszcze,
 Którymi nam paznokcie darli.
 HYCEL Jak dobrze żeście nie umarli.
 PODSADNA I ty to mówisz Hycelu szczerze?
 HYCEL Wiecie zapewne jaki duch
 Panuje teraz. Ja należę
 Do tych, co tworzą nowy ruch.
 OSKARŻONY Na czym ma nowy ruch polegać?
 HYCEL Zawsze na czele przed narodem
 PODSADNA *(do Oskarżonego)*
 Mówię ci, lepiej się wystrzegać.
 HYCEL Czy chcecie iść za mym przewodem?
 OSKARŻONY A po co iść?
 HYCEL Po sprawiedliwość.
 Cóż za wspaniała to przygoda!
 PODSADNA Z oczu spogląda mu fałszywość.
 HYCEL Sumienie każe tak i moda.
 Poza tym ludzka wola wolna,
 Która przenosić góry zdolna.
 OSKARŻONY Z wolności więcej cóż dostanę?
 Przecież nie siedzę już w więzieniu.
 HYCEL Chcemy iść ręką w rękę z panem.
 Postawię rzecz na posiedzeniu.
 Waha się pan? Ze sobą równi
 W cierpieniu, trudach i ofierze:
 Inspiratorzy obaj główni
 Będziemy.
 OSKARŻONY Chce pan mówić szczerze?
 Kto wolnej woli swej nie zmienił?

HYCEL Od razu dobrze miał pan w głowie.
 PODSADNA Wreszcie zrozumiał i ocenił.
 HYCEL Na konwentyklu zaraz powiem
 Że im się dziwię iż nie pana
 Biorą do naprawiania świata,
 Co zdeprawował się zbrojecko.
 OSKARŻONY *(do Podsądnej)*
 Po toż swoboda była dana,
 Żeby takiego spotkał brata?
 HYCEL Widzę, że z pana już nie dziecko.
 Do Komitetu tedy idę
 I swym projektem ich zastrzelę,
 Żeby skończyli tę ohydę,
 Stawiając pana na swym czele.
 Wyprowadzimy kraj z zamętu.

(Wchodzi do papierowego domu)

S c e n a 8 (Podsądna i Oskarżony)

PODSADNA Jeżeli teraz kata spotkam,
 To chyba umrę już ze wstrętu.
 OSKARŻONY Cierpmy. Nadchodzi krwawa ciotka.
(Wchodzi Służebnica)

S c e n a 9 (Ciż i Służebnica)

PODSADNA Po co tu jeszcze do nas pani?
 OSKARŻONY Z odrazy czuję jak mnie mdli.
 SŁUŻEBNICA Opamiętajcie się kochani,
 Jesteście tak potrzebni mi.
 Dla ziemi tej i dla ludzkości
 Zgoda to tak niezbędna rzecz.
 OSKARŻONY Sądzę że sprawę się uprości
 Gdybyśmy powiedzieli — precz!
 SŁUŻEBNICA Nie doceniacie moi drodzy
 Żem się naprawdę odmieniła.
 PODSADNA Jesteśmy myślą zbyt ubodzy.
 OSKARŻONY Chodźmy.
 PODSADNA Pierścionki me nosiła...
 OSKARŻONY Jak żona kata twoje futro,
 Gdy Hycel mieszkał w naszym domu.
 SŁUŻEBNICA Pamiętać nikt nie będzie jutro
 Ani się przyśni wspomnieć komu
 Obrączek danych już na stop,
 Zdartego palta i rudery
 Co zawałiła się, nim snop.

Światła na wasze padł papiery.
Widzisz te schody na kształt stosów?
Z nieaktualnych są donosów.
Jeśli ich myśmy się wyrzekli
I przeznaczyli na deptanie,
Byłoby dziwne niesłuchanie
Gdybyście byli tak zaciekli
I nie umieli zahamowań
Pokonać dla ludzkości dobra.

PODSADNA Zwija w zalotach się jak kobra.

OSKARŻONY Przyszedł czas wielkich rozczarowań.

SLUŻEBNICA Pomyślcie tylko. Skra niezgody
Działa jak żagiew na narody,
Które czekają na wasz przykład.

PODSADNA Czy pani już skończyła wykład?

SLUŻEBNICA Już nic nie powiem. Albo krew
Przez ludzkość wodospadem runie,
Lub uściśnięcie na nasz zew
Rękę, co ku wam się wysunie.

PODSADNA Czy nie ma możliwości trzeciej?

OSKARŻONY Na pewno jest, lecz jej nie widać.

SŁUŻEBNICA Jeżeli nawet ją znajdziecie
Nie będzie mogła już się przydać,
Bo sprawa szybki obrót przyjmie.
Spójrzcie na ściany tej budowy:
Gdy jedną księgę z niej się wyjmie,
Runie gmach wszystkim wnet na głowy.
Chociaż nieprawdę kryje księga,
Lepiej tej księgi nie poruszyć,
Bo płocha dłoń co po nią sięga
Gotowa cały gmach obruszyć.
W nim ludzie są. Pod gankiem stają
Tacy jak wy, choć równi zeru,
Lecz też o życie się lękają.

OSKARŻONY A jeśli glazy są z papieru
Może je dłonią przedziurawię?

SŁUŻEBNICA Chcecie próbować, zaślepieni
Niby cietrzewie, albo pawie?
Ludzkość na pewno to doceni
Jeżeli nas jak takiej cegły
Nie usuniecie z tego gmachu.
Naprawdę warto Niepodległej
Oszczędzić krwi i mnóstwa strachu.

OSKARŻONY Dobrze. Więc w celów wyższych imię,
Co naszej woli jest wynikiem,
Dłoni wyciągniętą ku mnie przyjmę
Nie chcąc by płacił świat ryzykiem.

PODSADNA Przebaczę wszystko to co było,
Stracone lata i nadzieje.
A jeśli umrę, lub zemdleję:
Nie rozporządzam pełną siłą.

OSKARŻONY Uznałem wszystkie pani racje.
Będzie słabości mej objawem
Jeżeli padnę.

SLUŻEBNICA Niezabawem
Nastąpią wasze dekoracje
Na ganku tym. Bo córko, synu
Do przedpokoju wejść niełatwo
Medale wręcz, moja dziatwo
Komandor z Gwiazdą Flagi Czynu.

(Wchodzi do papierowego domu. Dyżma i Gezma wnoszą duży kosz z książkami i wiadro z klejem roślinnym. Są w strojach murarzy. Przysługują do roboty przy garażu-przybudówce z tych samych materiałów budowlanych co papierowy dom)

S c e n a 10 (Podsądna, Oskarżony, Dyżma i Gezma)

DYŻMA Nowe zajęcie: lepić garaż
Z mądrości, której nie docenię.

GEZMA Z pustego w próżne.

DYŻMA Za to zaraz
Zobaczysz tutaj przedstawienie.

(Przerywają zaczęłą robotę, aby się gapić)

(Pantomima 4: Ukazują się w oknach z map i gazet głowy: usytysfakcjonowanej Służebnicy, bystro obserwującego Profesora, rozgorączkowanego Hyla, ironicznego Obroncy, surowego Prokuratora. Dyżma i Gezma gapią się na ganek, do którego podchodzą Oskarżony i Podsądna i stają nieruchomo jak osoby oczekujące na dekoracje orderami. Otwierają się drzwi z gazet i ukazuje się na ganku z Wielką Wstęgą Flagi Czynu Kat. Podsądna mdleje. Oskarżony próbuje ją podtrzymać, ale się potyka. Padając uderza czołem o mur. Wylatuje z węgla jedna książka. Mur zaczyna się chwiać. Popłoch na twarzach tych co są w gmachu. Profesor wypada jak kłuska. Ściana pęka. Służebnica biega i szamocze się jak spętana kaczka. Gmach wali się na głowy uciekających. Przerazenie. Tylko Dyżma zachowuje przytomność a Gezma obojętność. Dyżma wyciąga Hyla spod jakiegoś rocznika pism, a Profesora spod wielkiej książki z tytułem „Historia cementu”. Widzimy jaki tytuł miało pismo zsyte w rocznik: „Trwale zrebry”. Kawaty papierowych ścian pokrywają plac, na którym leży Podsądna. Oskarżony nachyla się nad nią, chce ją ratować, ale porywa go panika, porzuca ją. Głazy ścian padają na głowy uciekających i ratującego Dyżmy, ale widać, że im nic nie robią. Są to glazy z papieru. One się dziurawią na ludzkich głowach, a nie odwrotnie. Szamotanina jednak jak podczas trzęsienia ziemi. W końcu gdy wszyscy się rozpierzchną, Gezma odchodzi spokojnym krokiem, a Dyżma spostrzega zemdloną Podsądną. Próbuje się jej docucić, ratować ją. Jeszcze półprzytomną odciąga za kulisy)

S c e n a 11 (Kociak i Chuligan)

KOCIAK i CHULIGAN (przechodzą przez papierowe pobojo-wisko nucąc)

Belfer mnie nauczał mamy nie szanować,
A pan prokurator kraść i dobrze chować.

Jest ojczyzna taka pełna obfitości:
Boś chodzą szewcy, a hodowca pości.

Górnika nie ma węgla, profesor dyplomu,
Dziewczyna i młodzian ojca, ani domu.

(Kurtyna)

(Koniec II aktu)

A K T I I I

(Zwaliska hitlerowskiej Kwatery pod Kętrzynem)

S c e n a 1 (Profesor sam, na wycieczce krajoznawczej)

PROFESOR Turysty obojętność na ślady awantur
Dziejowych próżno umysł się zachować sili.
Jak rzec na tej ruinie: tempora mutantur
I czy zdołamy dodać: mutamur in illis?

S c e n a 2 (Profesor i Hycel)

HYCEL (wchodzi)

Co pan tu robi?

PROFESOR Siebie oceniam.

A pan co robi?

HYCEL Po lesie błądę.

PROFESOR Tak bez powodu?

HYCEL Z tego błądzenia
Można zbierać grube pieniądze.

PROFESOR Czy pan jest nadal na służbie tajnej?

HYCEL Można spokojnie przeżyć zwyczajnie.

PROFESOR Jak się pan dostał do tych ostępów?

HYCEL Legitymacje nieprzedawnione
Dają mi prawo częstego wstępu.
Mógłbym tu służyć za Cicerone.
Ciekawy wygląd jest tych okolic.
Wpółprzesłonięte do jaskiń wchody,

Zamaskowana droga się wiję
Jak zostawione ślady przez żmiję
Uciekającą. W ziemi przewody
Kablem się łączą do wielkich stolic.
Jeszcze w pieczarach pełno tajemnic:
Oreża, skarbów, konserw, zapasów.
Czasem dochodzi stukanie junkra
Czy gestapowca, co do tych czasów
Oślepy błądzi po składach ciemnic
Labiryntami w podziemnych bunkrach.
Czasem się drzewo w lesie obali,
Bo na betonie płytko ma korzeń.
Czasem się pływak topi w jeziorze
I tylko bulgot idzie po fali.
Trzeba uważać na każdym kroku
Zrywając kwiaty, jedząc maliny.
Ciemne przepaście kryją szczeliny,
Wzgórze zapadło się w zeszłym roku.
Po lasach pełno tu jeszcze min.

(huk)

Chwilę postójmy, dobrze słuchając.

(huk i stup dymu)

Mina wybuchła. Widzisz ten dym?

To w niebo leci człowiek lub zając.

PROFESOR Widzę, że panu odwagi nie brak,
Bo ja się, przyznam, nieswojo czuję.

HYCEL Lękać się może turysta, żebrak.

PROFESOR Któż nie zna lęku?

HYCEL Ten co szabruje.

PROFESOR Pan jest złodziejem?

HYCEL Nie, przedsięwzięcia
I to państwowym, który koneksje
Zużył na tego miejsca aneksję.
Do miasta wożę belki z betonu
Odłupywane z rozbitych schronów.

PROFESOR Ciężko je dźwigać?

HYCEL Lecz nie dozorcóm.

Gdy robotnicy na ciężarówce
Dla przysporzenia państwu dochodów
Będą łupiny ścian tych składali,
Wtedy nie myślcie że rwę borówki! —
Nawijam szpule cennych przewodów
I kolorowych szukam metali.
Bawelną szklaną też nie pogardzę,
Czasem magazyn odkryć się zdarza,
Drogie kamienie, szlachetny trunek...

PROFESOR Jedno pytanie wisi na wardze:
Kto więc zarabia na tych cmentarzach?

HYCEL Miliony skręcam na swój rachunek,
Jednak tysiące państwu przysparzam.

(Wspaniałym samochodem zajeżdżają Kat i Służebnica)

Scena 3 (Profesor, Hycel, Kat i Służebnica)

KAT Stwierdzam: — Hycel uczciwie i ciężko pracuje.
 HYCEL Nie każdy tak zasłużył jak wy na wywczasie.
 SŁUŻEBNICA Jaguarem z kolegą wjechaliśmy w lasy,
 Na zakręcie nam drogę zaszli jacyś zbójce.
 Dwaj byli i nas dwoje.
 KAT Towarzyszka zbladła.
 SŁUŻEBNICA Nie, to tobie zadrżała dłoń na kierownicy.
 KAT Nie tracąc chwili czasu, zawróciłem z nagła
 I tędyśmy wjechali po krętej ulicy
 Wśród drzew wysokich w koszar zdruzgotanych złomy.
 SŁUŻEBNICA I wtem, o niespodzianko, widzimy znajomych!
 KAT Nas jest dwoje, was dwoje. Razem będzie czworo
 Przeciwno napotkanym ludziom, czy upiorom.
 PROFESOR Czy pan niebezpieczeństwa zbytnio nie przecenia?
 Kieszonkowe tu może też się włóczyć draństwo.
 HYCEL Albo nikt. Trzeba wiedzieć że oboje państwo
 Tak od czasu do czasu mają przywidzenia.
 PROFESOR Co to znaczy „od czasu”?
 HYCEL To znaczy od chwili
 Gdy ich z wysokich funkcji na emeryturę
 W uznaniu pełnych zasług w pełni się zwolnili.
 PROFESOR A co znaczy „do czasu”?
 HYCEL Póki całą skórę
 Jeszcze mają na grzbiecie.
 PROFESOR A pan?
 HYCEL Co innego.
 Tylko funkcje spełniając przy nich pomocnicze,
 Ja nigdy nie umiałem dorównać kolegom.
 Cóż miałem? Co straciłem?
 PROFESOR Straciłeś oblicze.
 HYCEL Ja nigdy nie ceniłem sobie nazbyt tego.
 To pan raczej utracił je.
 PROFESOR Ręce Piłata
 Myjemy po swojemu.
 HYCEL Proszę spytać Kata
 Co on o swoich myśli?
 KAT Co myślę o rękach-
 Nic nie myślę. Pełniły swoją pracę nieraz
 Godzinami dla służby, twardo i bez przerwy.
 Mówili: „Wszystko stoi na tobie”, a teraz
 Że trzeba się mnie wstydzić. To działa na nerwy.
 Dlatego przyjechałem do lasu na grzyby.
 HYCEL (do Profesora)
 Do swego nawraca.
 PROFESOR To jakieś przywidzenia krwawe bez ochyby?
 HYCEL Pan czuje się uczonym nawet na spacerze:
 Chce wiedzieć i studiować. Niech pan ją zapyta
 O ręce...

SŁUŻEBNICA Może umie pan wróżyć?
 HYCEL Nie wierzę
 We wróżby.
 SŁUŻEBNICA A ja wierzę.
 PROFESOR Na dłoniach wryta
 Jest tylko szansa, cecha, charakter. I szczerze
 Mówi ręka, co ludzka twarz ukryć się stara.

(Ogląda dłoń Służebnicy)

SŁUŻEBNICA Jak rozum?
 PROFESOR Jest za wielki żeby mu przebaczyć.
 SŁUŻEBNICA Serce?
 PROFESOR Tak ustawione że nie może znaczyć.
 SŁUŻEBNICA Życie?
 PROFESOR Za długie.
 SŁUŻEBNICA Kto mnie go pozbawi?
 PROFESOR Mara,
 Lub człowiek.
 SŁUŻEBNICA Kto mnie zdradzi?
 PROFESOR Powietrze lub woda,
 Ziemia lub ogień.
 HYCEL Tego nie rozumiem.
 PROFESOR Szkoda!
 Wszyscy się wykręcamy.
 HYCEL Ten się nie wykręcił,
 Co tutaj kwaterował.
 PROFESOR Nie wszystkim się zdarza
 Pozostawić po sobie taki ślad w pamięci
 I taki efektowny kawałek cmentarza.
 SŁUŻEBNICA Czy nas przyjdzie w podobnych honorach pochować?
 PROFESOR Odmawiam wróżb. Umiecie się lepiej maskować.
 KAT Uciekajmy! Znów oni!
 SŁUŻEBNICA Ci dwaj?
 PROFESOR Nas jest czworo.

Scena 4 (Ciż, za sceną Dyżma i Gezma)

DYŻMA (za sceną)
 Trzymaj belkę!
 GEZMA Za ciężka. Pomóż!
 KAT Czuję zgrozę!
 HYCEL (do Kata i Służebnicy śmiejąc się)
 Najwyżej wam samochód lub życie odbiorą.

SŁUŻEBNICA Na pewno nie potrafią pokierować wozem,
Więc spróbują nas zabić. Skacz do limuzyny!
Ja za tobą! Walizki! Nie zmieści się czwórka!

(Uciekają zostawiając Hycla i Profesora)

S c e n a 5 (Profesor i Hycel)

PROFESOR Nawet nie pomyślała o nas.

HYCEL Taka córka.

Ale niech pan nie robi przerażonej miny,
To moi robotnicy.

PROFESOR Czemu pan nie ostrzegł
Ich że nic złego. Patrz pan, za gajem leszczyny
Czarne auto śmignęło.

HYCEL Powody najprostsze
Miałem by milczeć. Niechże złamią sobie karki
Na zakręcie lub rowie. Mniej świadków przeszłości.

PROFESOR Pan jest rozbierający. W swej zabiegliwości.

(Ukazują się Dyzma i Gezma. Z rozbitego bunkra odlupują betonową
belkę i odciągają ją na bok)

S c e n a 6 (Hycel, Profesor, Dyzma i Gezma)

HYCEL (do Profesora)
Widzi pan jak pracują przy złomach fortecy?

(do Gezmy i Dyzmy)
Chłopaki, jak robota?

GEZMA Praca nie wzbogaca.
Nie da rady z tą belką.

DYZMA Wezmę ją na plecy.

HYCEL A widzieliście czarną limuzynę, chłopcy?

GEZMA Widzieliśmy. Niemal w niej było walizek.
Podsypałem na szosie gwoździów.

DYZMA Nie rób obcym
Co obcym szkodzi.

HYCEL A jak robisz, to bez ryzyk.

(Dyzma i Gezma odciągają belkę na dalszy plan. Dyzma dźwiga ją na
plecach, Gezma mniej się fatyguje, ale ją chcąc nie chcąc ciągnie. Hycel
zabiera się też do odejścia)

Każdemu wedle zasług. Zegnam pana czule,
Oni dźwigają belki, a ja ciągnę szpulę.
Do bogactw jeszcze dojdę, klęę się na Ariadnę.
Wyjadę za granicę z tego labiryntu.

Będą mnie honorować dziewczęta Koryntu.
Jeśli w drodze na minie jakiegś nie upadnę.

(Oddala się, nawijając na szpulę cenne druty i przewody. Na horyzon-
cie wybucha znowu parę min. Profesor słyszy jeszcze rozmowę z dalszego
planu i siada z boku sceny na pniu)

GEZMA Nie podciągaj pod górę. Wypuszczę ją z ręki!

HYCEL Przy pracy pomagają masowe piosenki.

DYZMA Tę o rodzinnym mieście znamy doskonale.

HYCEL Pomóżmy śpiewać ludziom co dźwigają pale.

(Profesor siedząc z boku sceny na pniu słucha chóru oddalających się
ze sceny: Hycla, Dyzmy i Gezmy)

CHÓR

Gdy znika nad ziemią poświata
I włóczę gromady się psów,
Pachołcy żandarma i kata —
Hyclowie ruszają na łów.

A kiedy zmrok miasto ogarnie
I włóczy ulicą się zbój,
Złowioną na stryczki swe psiarnię
Hyclowie stapiają na łój.

A kiedy głęboki jest wieczór —
Przetopu we wiadrach po czub,
Paserów zwolując do pieczar
Na pieniądź zmieniają swój łup.

Gdy noc się gwiaździstym obrusem
Okryje, Hyclowie bez czoł
W ruinach przygodnym wenusom
Pieniądze składają na stół.

S c e n a 7 (Profesor sam)

PROFESOR Powiedz mi teraz wiedzo, czy hosę czy besę
Daje dewiza „navigare est necesse”.
Jeżeli ją tłumaczyć: „płyn za wszelką cenę”?
Czuję brak elementów pewnych na ocenę.

S c e n a 8 (Profesor, Oskarżony i Podsądna)

(Wchodzą Oskarżony i Podsądna w rozmowie z sobą, czemu przysłu-
chuje się niedostrzeżony przez nich Profesor)

OSKARŻONY Cisza lasów mazurskich ciszę serc przypomina.
Choć już pamięć katowni jest coraz bardziej głucha,
Co chwila skojarzenie jak podrzucona mina
Z opóźnionym zapłonem, wspomnieniami wybucha.

PODSADNA Zrobiłeś się niezdolny. Nerwy lecz.

- OSKARŻONY Nie potrafię.
 PODSADNA Po to się zagrzebałam do tych jezior i lasów?
 OSKARŻONY Nie opuszczają mózgu platy cisz i hałasów.
 PODSADNA Przestań mówić o sobie, bo się utopię w stawie
 Albo powieszę. Co ja czuję nigdy nie zapyta.
 Jesteś sobek czy karzeł?
- OSKARŻONY Ach, znowu huczy płyta
 W głowie ta sama. Czarne plamy w jasnej oprawie.
 PODSADNA A ty myślisz że także mnie ta przeszłość nie męczy?
 Od ludzi, których znałam chcę uciec jak od wspomnień.
- OSKARŻONY Lękam się samotności. Trzymam się jak poręczy
 Ciebie.
 PODSADNA Zostaw mnie.
 Chcę być sama. Nie podchodź do mnie.
- OSKARŻONY Przeżyliśmy tak wiele. Widzisz tej wojny ślady,
 Która nas połączyła. Poznaliśmy łotrostwa,
 Upadek wielkich potęg, oszczerstwa, ból i zdrady.
 A teraz mnie odpychasz?
- PODSADNA Z racji twojego tchórzostwa.
 OSKARŻONY Przecież to były nerwy. Są chore po torturach,
 Pamiętasz: w partyzantce nie drżałem nigdy.
- PODSADNA Dostyc.
 OSKARŻONY Podałem się panice.
 PODSADNA Błaganie nic nie wskóra,
 Gdy twego towarzystwa już nie potrafię znosić.
- OSKARŻONY Skąd ten ziąb? te zapaści? Czy zdrowie poszarpał,
 Czy podmienili duszę w czasie złym i przeklętym?
- PODSADNA Mam litość i szacunek. Szczęścia nic nie ocali.
 Nie tylko dotyk, widok twój mnie napawa wstrętem.
 Poznałam cię na wylot pod papierowym gmachem.
 Uciekłeś gdy na głowę runęły puste teksty.
 Dlaczego jesteś szmatą?
- OSKARŻONY A może to preteksty?
 Może już się zwąchałaś z następcą albo gachem?
- PODSADNA Tyle musiałam przeżyć, a tego brakowało.
 Swoimi podejrzeniami ostatnią szansę grzebie.
 Jesteś jak obłąkany.
- OSKARŻONY Daj dowód co się działo,
 Gdy tkwiłem już w więzieniu, nim zatrzymali ciebie?
- PODSADNA Przecież wiesz...
- OSKARŻONY Długie lata informacja codzienna
 Docierała, że bawisz się, że chodzisz na bale,
 Że w ogóle beze mnie poczułaś się wspaniale,
 Że masz amanta, nawet, że zostałaś brzemienią.
- PODSADNA Przecież wiesz że to kłamstwo, że mnie po tobie zaraz
 Porwali jeszcze nocą, pośpiesznie i ukradkiem.
- OSKARŻONY Jedno drugiemu przeczy. W co wierzyć?
- PODSADNA Nie ambaras.
 Możesz nie wierzyć.

- OSKARŻONY Świadka!
- PROFESOR *(przerzuca swoje milczenie)*
 Ja mogę być świadkiem!
- OSKARŻONY Skąd pan się zawierzył tutaj profesorze?
- PROFESOR Wycieczka niewinnego miała cel wykładu.
 Studentom zamierzałem ślad po dyktatorze
 Pokazać, lecz mi w lesie zniknęli bez śladu,
 Więc z innymi gadałem sobie. Jestem stary
 Znawca dusz. O twej żonie skłamano do szczytu.
- OSKARŻONY Ze wszystkich świadectw pańskie najmniej godne wiary.
 Czytałem pańskie dzieło: „Historię cementu”.
- PROFESOR Tak zabiegliwa dążność, by wciąż być u czoła
 Mści się i wstecz nas cofa. Stawiałem na kartę
 Zgraną. Chcę błąd odrobić.
- OSKARŻONY Gdy drugie odwoła
 Pierwsze grozi trzeciemu czy nie zmieni czwarte.
- PROFESOR Szarada w wielu mózgach.
- PODSADNA Nie czekaj aż znudzi
 Kwestia czy ty mnie ufasz, czy się tobą brzydzą.
 Rozejdźmy się natychmiast.
- OSKARŻONY Są dwie drogi.

(Rozchodzą się dwiema drogami. Profesor zostaje znów sam)

Scena 9 (Profesor sam)

- PROFESOR Widzę
 Jak od siebie odchodzi dwoje smutnych ludzi.
 Zniszczeni przeżyciami idą dwu krętymi
 Ścieżkami. Krok się zbliża, to znowu oddala.
 Długi cień ich rozłącza się, to znów zespala,
 Jakby oni cieniami już byli samymi.

(pauza)

Znużony po moralnych trudach
 Chcę spocząć, przyknuć swe powieki.
 Choć mi się może zdrzemnąć uda,
 Pewnie mój sen nie będzie lekki.

(Zasypia na trawie)

Scena 10 (Profesor i Odyn)

(Zmierzch. Zapada noc. W schronie ukazują się Odyn. Na głowie ma hełm z rogami turzymi, na szyi naszyjnik z wilczych kłów)

- ODYN Zaminowanych władca pól,
 Podziemnych schronów jestem król.
 Tam w towarzystwie godnych bogów
 Krwawy hemostyl piję z rogu.

Gdy zmrok i ludzie się pospali
Zapalam ogień mej Walhalli,
Przez jej przedsionki idę w gruzie,
Czekam nowego sług wyługu.
Lecz cóż to? Wchodzi ktoś do kręgu
Snu, w którym śnie się? Stój, intruzie!

(*Ukazuje się Kali*)

S c e n a 11 (*Ciz i Kali*)

KALI Co, nie poznajesz mię Odynie?
Gardziłeś mną. Ale z południa
Przybyłam wspomóc cię w twym czynie,
Kiedys podziemia te zaludniał
Pulkami swych szturmowych sztafet.

ODYN Poznaję ciebie, markietanko.
Wojsk mordowanych. W cieniu lawet
Strzaskanych byłeś mi kochanką.

KALI Z marynarzami na okrętach
Topionych pośród oceanów
Ćwiczyłam się i mnie pamięta
Kompania śpiących esesmanów
Co w pawilonie tym polegała.
Kiedy rozwałił strop z betonu
Bóg potężniejszych batalionów.

S c e n a 12 (*Ciz i Światowid*)

ŚWIATOWID (*ukazując się*)
Na cegle nie została cegła.

ODYN (*do Kali*)
Patrz, nie ja z tobą tylko śnię się.

ŚWIATOWID Echo mnie niesie też po lesie.
Jestem tu jednym z autochtonów,
Poza tym świadkiem.

ODYN Cóżś widział?

ŚWIATOWID Więcej niż inni widzieć mogli,
Bo otrzymałem w mitologii
Na cztery pary oczu przydział.

KALI Nie mówiąc już o czterech głowach
Podziwiam efektowny tułów.
Powiedz jak Hitler ten zbudował
Ołtarz?

ODYN Nie zdradzał mi szczegółów.

ŚWIATOWID Chcesz wiedzieć? Grzbietów sto tysięcy
I specjalistów tyleż może
Przez wiele, wiele tu miesięcy
Labirynt maskowało w borze:
Lotniska, tunel dla kolei.

KALI Powiedz nam co się z nimi stało?

ŚWIATOWID Gdy ukończono pracę całą
Wszystkich zabito.

ODYN W tej nadziei
Zapewne, żeby nie zdradzili?

KALI Pracuje odynowe czoło.

ŚWIATOWID Mój mózg pojmuje się nie sili,
Starczy że wszystko widzę w koło.

KALI A co się stało z ziemianami
I okoliczną rzeszą chłopów,
Którzy tu byli dostawcami
Świeżego jadła do okopów?

ŚWIATOWID Tych wywieszano przed odejściem.
Pomnę tańczące szubienice.
W tym czasie przed Kwatery wejściem
Zglądzić Hitlera chciał oficer
Ze świty jego.

KALI Tylko szloch
i jęk słyszałam.

ODYN Nici knoń
Musiano przeciąć, gdy nasz loch
Huśtał się w burzy bombardowań.
Czy to nie odwet był Perkuna?
Czy ktoś podburzył siostrę Freję?

ŚWIATOWID Tak wielka wtedy stała luna
Żem nie dopatrył.

KALI Mam nadzieję
Że mrok na oczach był chwilowy?
Co teraz widzi czterogłowy?

ODYN Zechciej być naszym peryskopem.

ŚWIATOWID Na kręgu ziemi, niby z łoży
Sceny podobnych widzę oper,
Choć luna barwy swoje mnoży.
Śpi człowiek. W jego śnie tymczasem
Zwiększa się nasze zgromadzenie.
Pokłońmy się. Nadchodzą lasem
Bogowie z wyższym wykształceniem.

S c e n a 13 (*Ciz, Zeus, Afrodyta, Hefajstos,
Hermes, Themida*)

(*Prowadzony przez wskazującego drogę Hermesa wchodzi Zeus dostoyny jak rektor. Tuż za nim idą pod rękę jak na dyplomatycznym przyjęciu utykający Hefajstos i wystrojona Afrodyta. Za nimi Hermes prowadzi Themidę. Bogowie prymitywni witają ich jak umięją. Światowid składa niski pokłon. Odyn podnosi rękę, Kali wykonuje taniec brzucha. Hermes pozdrawia ich kiwnięciem ręki jak bywalec, Hefajstos podnosi dłoń jak Odyn, Afrodyta wdzięczy się. Zeus wskazuje miejsce wszystkim na pniach i złomach fortecy*)

- ZEUS (*do Hermes*)
Czy to w lesie tym ambasadorze
Ma nastąpić konferencja, którą
Wyzaczyliśmy o tej porze
Z żywiołami i ludzką naturą?
- ODYN Tylko proszę jasno i krótko.
- HERMES Dwa problemy konferencja obejmie.
- AFRODYTA (*do Kali*)
Pani jest mężatką czy rozwódką?
Moim mężem jest wicepremier.
- KALI Nie ma chwalić się czym, daję słowo,
Pomywaczką jestem i królową.
- HERMES Wielkie sprawy są rozmów celem.
- ŚWIATOWID (*do Zeusa*)
Pan zakłębieniem leczy czy zielem?
- ODYN (*do Hefajstosa*)
Jakim hasłem pan miny rozkłada?
- KALI (*do Themidy widząc wagę*)
Daruj mi ten wisiołek co świeci.
- ZEUS O bogowie, biada nam biada,
Gdy wśród bogów są analfabeci.
- HERMES Choć nie równe nasze rozumy,
Spróbujemy być równi głosem.
Pierwszy problem: Czy ludzkie tłumy
Mają nadal być posłuszne losom?
- ZEUS Jeśli głowy nieuczone trudzi,
Rzecz uprościmy proszę pań i panów.
Czy postęпки niesformnych ludzi
Mają z naszych wynikać planów?
- HEFAJSTOS Próbowałem w ciemnicach, nie wyszło.
- HERMES Przeznaczenie jak bańka prysło.
- ODYN Bez osaczeń nie ma zabawy.
- AFRODYTA Przymusowe nużą uciechy.
- ŚWIATOWID Com ja widział, kumie łaskawy!
- KALI Są pustaki i pełne orzechy.
- ZEUS Ja bym siebie samego obalał,
Gdybym zwątpił we władzę losu.
- THEMIDA Zwykle wolę się wstrzymać od głosu,
Lecz już głosy zliczyła szala.
- ZEUS Wbrew mej woli sprawy obrót biorą,
Lecz ten słup, ten zbój, ta kobieta
Niezależni ode mnie. W tym quorum
Nie posiadam więc prawa weta.
- HERMES Tak to bywa: przy konfrontacjach
Zalamuje niejedna się racja.
- ZEUS Co drugiego miałeś, przegłosuj...

- HERMES Z wynalazkiem moim tu stanę:
Czy nie można wymyślić losu,
Który byłby życia sprawdzianem?
Czy nie można podsunąć słowem
Takich planów jawnie lub skrycie,
Które by potwierdzały życie
Jak peruka okrywa głowę?
- ZEUS Pojmujecie, o panie miłe:
Jestem, sądzę, w prawdy pobliżu:
Jak tu przyznać naszą bezsilność,
Jednocześnie nie tracąc prestiżu?
- THEMIDA Próbowałam ja tej metody:
Nie starczyła na sprawiedliwość.
- ODYN Woli odejść bezsilny Odyn.
- AFRODYTA Z tych zabiegów nie płynie szczęśliwość.
- HEFAJSTOS Odpowiadać za cudze roboty?
- ŚWIATOWID Mieć ofiary niegodne ołtarzy?
- KALI Naśladować ziemianek cnoty,
Jeśli cnota u nich przeważa?
- ZEUS Spójrz Hermesie w jakim są buncie!
- HERMES Nad pomysłem nie warto głosować.
- ZEUS Więc co robić?
- ŚWIATOWID Wy się usuniecie
Z życia ludzi. Radzę emigrować.
Ja chcę także gdzie oczy poniosą
Iść po rosie, po szronie iść boso,
Nim się ocknie z przywidzeń do jawy
Plemię ludzkie, nasz pomiot bezprawny.
- ZEUS Zrozumiałem. Nasi bękarci
Nie są nawet snu o nas wari.
Zważ Themido kres eksperymentu.
- THEMIDA Szale mówią: dosyć zamętu!
- HERMES (*wskazując na śpiącego Profesora*)
Ze snów głowy tej wyjdźmy!
- ODYN Pojąłem.
- KALI Trudno...
- ŚWIATOWID Świtać mi w głowach zaczyna,
A co cztery głowy, to nie jedna,
- AFRODYTA Spójrz, kto idzie?
- ŚWIATOWID Jacys dwaj po ruinach.
- HEFAJSTOS Jeden z przykrym nad głową kołem.
- ZEUS To kompania nieodpowiednia.

(*Pantomima 5: Odejdzie bogów. Ewolucje taneczną prowadzi Hermes, Zeus, Afrodyta i Hefajstos z jednej strony; Światowid, Kali, Odyn z drugiej. Themida pośrodku z wagą. Następuje zmiana dam. Kali wdzieczy się do Zeusa, drażni Hefajstosa, Afrodyta pierzcha przed pościgiem Odyna, nie wie co robić ze Światowidem. Damy wracają do swoich. Zespół krąży*)

jak wskazówki zegara wokół Themidy, to znów Hermes prowadzi ich węzłem między drzewami i bunkrami. W pantomimę wplątuje się Dyżma z aureolą, zresztą dość wątlą i chwiejną, którą musi co chwila poprawiać, oraz Gezma, ponury, patrzący spode łba. Bogowie starają się ich unikać jak zapowie-trzonych. Hieratyczny taniec bogów zalamuje się, przyspiesza, zmienia. O to Afrodyta obejmuje wodzirejstwo i prowadzi albański taniec ludowy. A te-raz obejmuje rej Kali, dyktując taniec brzucha. Melodia wschodnia przela- muje się w murzyńską, bogowie tańczą Rock and Roll. W podrygach tego tańca nikt nagle, podczas gdy Dyżma i Gezma, którzy też tańczyli z nimi, nieruchomieją w powykrzywianych pozycjach łotrów na krzyżach Golgoty. Noc rzednie. Świta)

S c e n a 14 (Profesor, Dyżma i Gezma)

DYŻMA Oni są z chmur, lub piany,
Z drzewa, lub porcelany,
Albo nasienie wilcze.
Ambrozja, albo dym
Ich syci, mord nie brudzi.

GEZMA A my jesteśmy kim?

DYŻMA Jesteśmy dziećmi ludzi.

GEZMA Dlaczego tyle milczę?

(Profesor oknął się, poruszył. Natychmiast znika aureola nad czołem Dyżmy, w której śnił się Profesorowi i stoją nad nim dwaj żywi łotry, których naradę słyszy wyraźnie na jawie jak słyszą ją widzowie)

GEZMA Zabijmy go już!

DYŻMA Nie zabijaj.

GEZMA Może pieniądze ma?

DYŻMA Nie kradnij!

GEZMA Nie baw się w apostoła, kiedy chwila sprzyja.

DYŻMA Obudził się. Uważaj. Na minę nie wpadnij!

PROFESOR (otrząsa się z przywidzeń)
Czy jawą było to czy snem,
Albo koszmarem niewygasłym?
W połowie życia jedno wiem:
W lesie ogromnym się znalazłem.

(Spostrzega Dyżmę i Gezmę)

Ktoście? Ci z oczu mi nie znikli
Jeszcze...

DYŻMA To bardzo proste, panie,
Bo my jesteśmy ludzie zwykli.

GEZMA Na ziemi nasze jest spotkanie.

(Kurtyna — Koniec sztuki)

Archiwum polityczne

Kronika angielska

DO KOGO „PRZYKUWA” NAS GRANICA NA ODRZE I NISIE?

W artykule drukowanym w majowym numerze „Kultury” powiedziałem między innymi: nie jest — w mojej opinii niepodległościowcem Polak, który głosi, że Ziemie Odzyskane winny wrócić do Niemiec.

W liście do redaktora „Kultury” Andrzej Vincenz wyraził pogląd, że mieszam pojęcia niepodległości i całości (terytorium). Jako ilustrację tej tezy p. Vincenz przytacza przykładowo, że gdyby Gomułka zażądał nagle zwrotu Wilna i Lwowa Polska w 48 godzin utraciłaby tę częściową niepodległość jaką obecnie posiada.

Nie ulega wątpliwości, że co innego jest terytorium a co innego niepodległość. Prawdą jest również, że czasem ustępstwem terytorialnym można uratować niepodległość. Niemniej przykład z Gomułką jest wręcz błędny. Nie ma bowiem żadnej analogii między Polakiem, który akceptuje utratę ziem wschodnich a Polakiem, który oświadcza gotowość oddania Niemcom naszych ziem zachodnich. W polityce i w życiu liczy się przede wszystkim stan faktyczny. Ziemie wschodnie są inkorporowane do Związku Sowieckiego i uznane przez wszystkie mocarstwa świata za integralną część Sowietów. Polak akceptujący obecną granicę wschodnią niczego się nie zrzeka, niczego nie „sprzedaje” — przyjmuje jedynie volens-nolens do wiadomości stan faktyczny. Wschodnia granica nie podlega ani ratyfikacji ani finalnemu ustalaniu w ramach traktatu pokojowego. Odnosnie tej granicy wszystko jest ratyfikowane, przypieczętowane i związane na ostatni guzik. Trudno sobie wyobrazić by rewizja tej granicy odbyć się mogła inaczej niż w wyniku zwycięskiej wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu.

Bezsensownym a szkodliwym nawykiem propagandowym przywykliśmy łączyć Wrocław ze Lwowem. Na każdej akademii mówimy jak papugi o Polsce całej i niepodległej z Wilnem i Lwowem i Ziemiami Odzyskanymi.

W rzeczywistości istnieje tylko jeden polityczny funkcyjny związek między ziemiami wschodnimi i zachodnimi. Ponieważ szanse odzyskania ziem wschodnich praktycznie biorąc są równe zeru — musimy do upadłego

brońić ziem zachodnich. Utrzymanie czy utrata tych ziem zadecyduje o tym czy Polska będzie średniej wielkości państwem przemysłowo-rolniczym, zdolnym wyżywić swych obywateli — czy też spadnie do rangi Księstwa Warszawskiego bez jakichkolwiek perspektyw rozwojowych. I dlatego twierdzą, że realistycznie myślący Polak nie może równocześnie mówić o niepodległości i o odstąpieniu Niemcom ziem zachodnich.

I jeszcze jeden punkt. P. Vincenz pisze w cytowanym liście: „Kto jest jedynym gwarantem granicy na Odrze i Nisie? Związek Radziecki. A więc do kogo przykuwa dziś Polskę ta granica? Tylko do Związku Radzieckiego”.

Istotnie tak jest. Ale czy w czymkolwiek zmniejszyłaby się nasza zależność od Związku Sowieckiego gdybyśmy rzekli się ziem zachodnich na rzecz Niemców? Jest to spekulacja czysto teoretyczna, gdyż żaden polski rząd nie mógłby podjąć takiej decyzji. Tego rodzaju traktat rozbiorowy mógłby być narodowi polskiemu wyłącznie narzucony siłą. Chcąc przeprowadzić taką operację Rosja musiałaby wprawdzie zlikwidować Gomułkę i osadzić w Belwederze swojego wielkorządcę.

Granica na Odrze i Nisie wiąże nas ze Związkiem Sowieckim i dlatego, że Związek Sowiecki jest gwarantem tej granicy lecz dlatego iż jest jedynym gwarantem tej granicy. Gdyby granica na Odrze i Nisie gwarantowana była również przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię — Rosja tego samego dnia straciłaby w stosunku do nas swoje uprzywilejowane stanowisko.

EMIGRACJA POLITYCZNA, ZAROBKOWA I JAKA JESZCZE?

W prasie krajowej spotyka się od czasu do czasu odkrywcze stwierdzenie: „Polacy w Wielkiej Brytanii z emigracji politycznej przemienili się w zwyczajną emigrację zarobkową...”

Są i tacy autorzy krajowi, którzy godność politycznego emigranta przyznają wyłącznie starszym panom z Rady Trzech i T.R.J.N.

Trudno o większe pomieszenie pojęć. Czy jeżeli ktoś zarobkuje przestaje automatycznie być emigrantem politycznym? Jeżeli stanęlibyśmy na tym stanowisku należałoby w konsekwencji stwierdzić, iż emigracja polityczna w Wielkiej Brytanii nie liczyła nigdy więcej niż trzy osoby. Mam na myśli trzech polskich byłych wyższych dowódców, którzy pobierają emeryturę ze skarbu brytyjskiego. Pozostałe 150 tysięcy Polaków osiadłych w Anglii pracuje zarobkowo od samego początku.

Jest oczywiste, że kryterium zarobkowania jest w tej sprawie zupełnie nie istotne. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że byliśmy i jesteśmy nadal emigracją polityczną i zarobkową równocześnie.

Fakt, że na skutek upływu lat emigracja wrosła mocno w teren nie przesądza w niczym jej politycznego charakteru. Nawet jeżeli przyjmiemy za prawdopodobne, że większość emigrantów minęła już punkt z którego powrót do Kraju był możliwy — i wówczas nie ma podstaw do odbierania emigracji charakteru politycznego.

O tym czy dany emigrant jest emigrantem politycznym decyduje wyłącznie jego stosunek do rządu, ideologii i ustroju kraju pochodzenia.

Ponieważ emigracja polska na Zachodzie jest w 100% antykomunistyczna już ten fakt przesądza całkowicie jej niewątpliwie polityczny charakter.

„MIT INTELEKTUALNY” EMIGRACJI ?...

Wiesław Górnicki napisał spore „dziełko” w sześciu częściach „poświęcone emigracji i ogłosił je na łamach popularnego tygodnika warszawskiego „Świat”.

Górnicki jest młodym, rzutkim dziennikarzem i dlatego nie należy lekceważyć jego opinii. Pisze barwnie, sugestywnie, z pasją. Tym większe jednak budzi zdziwienie „sztanca”, z której nie zdołał czy nie chciał się wyzwolić. W swej pracy, złożonej z sześciu pełnostronnicowych odcinków, poświęcił politykom emigracyjnym 90% wysiłku i papieru. Życie kulturalne emigracji omówił autor dosłownie w kilkunastu wierszach... eksplodując mit o emigracyjnym intelektualnym dorobku.

Eksplodowanie mitów stanowi w pewnym sensie moją publicystyczną specjalność ufam więc, że kolega Górnicki zechce przyjąć ode mnie kilka uwag w tej sprawie.

Zacznijmy od tekstu. Górnicki pisze między innymi:

„Żyje natomiast w kraju inny mit: o bogatym dorobku intelektualnym emigracji. Sądząc ze ślinienia się ludzi w rodzaju Sandauera, mit ten robi nawet niejaką karierę. Przeciętny inteligent skompleksiony i nabołały, swój pogląd na emigrację zawiera zazwyczaj w krótkim zdaniu: politycy, to błazny, ale co za kultura tam, panie, literatura... Nawet ludzie związani z socjalizmem racjonalnie i uczuciowo skłonni są przyznawać, że w warunkach całkowitej wolności od wszelkiej cenzury i form pośredniej inspiracji powstają dzieła rzeczywiście wielkie”.

Jak widzimy mit jest politycznie niebezpieczny, bo gdyby się uznało wybitność emigracyjnego dorobku intelektualnego byłoby to bezpośrednim potwierdzeniem heretyckiej tezy „... że w warunkach całkowitej wolności od wszelkiej cenzury powstają dzieła rzeczywiście wielkie”.

Oczywiście — jak wiemy — to jest nonsensem bo jakże bez cenzury i form... pośredniej inspiracji może powstać wybitne dzieło.

(Wyznaje, że ten chwyt bardzo mi się nie podoba! Górnicki gwałtownie usiłuje kogoś przekonać, że nie jest znowu taki „wściekły” jak go malują).

Stwierdziwszy więc, że tylko skompleksiały facetom cenzura może przeszkadzać w twórczości, Górnicki obwieszcza autorytatywnie: „Życie intelektualne emigracji jako całości cechuje martwość i zacofanie wcale nie mniejsze niż emigracyjną politykę. Trudno pojąć, skąd nieraz te zachwyty w krajowych pismach”.

W czasie swego pobytu w Londynie Wiesław Górnicki odwiedził mnie i spędziliśmy kilka godzin na niezmiernie miłej i pożytecznej rozmowie. W czasie tej rozmowy stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że mój młody gość i kolega o emigracyjnej literaturze nie wie dosłownie nic. Nie przynosi mu to żadnej ujmę, gdyż jak z kamiennym spokojem wyznali współredaktorzy Krajowego Rocznika Literackiego — książki emigracyjne w Warszawie są niedostępne. Niemniej przecież faktem jest, że Górnicki

nie wiedząc nic ani o literackim ani o naukowym piśmiennictwie emigracyjnym — odsądził nasze życie intelektualne od czci, wiary i wszelkiej wartości.

„Na palcach jednej ręki” — pisze Górnicki — „można policzyć ludzi, którzy są z emigracją jako formacją kulturową ściśle związani, a jednocześnie wnoszą tak zwany twórczy wkład do ogólnonarodowej kultury, literatury i w ogóle dorobku intelektualnego. Kukiel — w historiografii, Tadeusz Nowakowski — w literaturze, Mieroszewski — w publicystyce, Broncel — w krytyce, Jordan — w socjologii; może jeszcze kilka nazwisk w poezji”.

Niezmiennie wysoko cenię talent Tadeusza Nowakowskiego ale całą literaturę emigracyjną redukować do jego nazwiska jest lekką przesadą.

Osobiście nigdy nie byłem brązownikiem literatury emigracyjnej. Wieszczów nie wydaliśmy. Ale funkcja społeczna i narodowa literatury emigracyjnej polega na zupełnie czymś innym. Są prawdy, które znakomici pisarze krajowi rangi Tuwima czy Słonimskiego na pewno głosiliby z większym talentem niż my, mniejszego lotu pisarze emigracyjni. Ale prawd tych pisarze krajowi głosić — jedni nie mogli a drudzy nie chcieli. A przecież należało je głosić i należy głosić je nadal.

Wie Pan o jakie prawdy chodzi, Panie Wiesławie? Między innymi i tę prawdę: „... tylko w warunkach całkowitej wolności od wszelkiej cenzury powstają dzieła rzeczywiście wielkie”.

ZIEMIA I MORZE

Ukazujący się od przeszło roku w Szczecinie tygodnik „Ziemia i Morze” został zlikwidowany. W Polsce wychodzi przeszło 900 periodyków (większość deficytowa) wydawać by się więc mogło, że jeden tygodnik więcej — jeden mniej nie gra roli. Jednak uśmiercenie „Ziemi i Morza” stanowi wypadek specjalny.

Czytałem to pismo z wielkim zainteresowaniem od pierwszego numeru. Na jego łamach ukazało się kilka bardzo ciekawych artykułów w których podjęto dyskusję z „Kulturą”. Pismo było wybitnie regionalne, usiłujące polskim szczyrom lądowym wszczepić rzetelne zainteresowanie morzem i wybrzeżem. Mimo, że dziś mamy setki kilometrów wybrzeża nasz entuzjazm morski jest płytki i jeszcze bardzo trąci tradycjami śp. Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Trudno oprzeć się wrażeniu że ledwo na tej pustyni Ziemi Odzyskanych zacznie się coś dziać interesującego i pożytecznego — „centrala” dławi to natychmiast. Temu procesowi dławienia wszelkiej regionalnej inicjatywy towarzyszy beztroski i całkowity brak zainteresowania prasy stołecznej problemami prowincji.

„Ziemia i Morze” nie było bardzo poczytne na swoim terytorium. Można by więc wnioskować, że ludność wybrzeża nie odczuwa potrzeby pisma literacko-społecznego. Z drugiej jednak strony badania przeprowadzone na miejscu wykazały, że centralne pisma literackie jak „Nowa Kultura”, „Przegląd Kulturalny” czy „Życie Literackie” — są na wybrzeżu masowo czytane i kupowane.

Na czym więc polega nieporozumienie? Nie ulega wątpliwości, że „Ziemia i Morze” było zbyt pionierskie, by mogło — w pierwszych latach — liczyć na masowy zbyt. Kim są ludzie wybrzeża? W 80% wybrzeżanie składają się z ludności przybyłej z Wileńszczyzny, z Lubelszczyzny, ze Lwowa, z Krakowa, jednym słowem z głębokiego lądu. Dla tych ludzi sprawy morskie są obce i odległe. Powyższe wnioski nasuwają się samorzutnie z lektury listów do redakcji.

Jeżeli tak jest to było wielkim błędem likwidowanie „Ziemi i Morza” bo los naszego wybrzeża w dużej mierze zależy od tego czy osiedleni na tych ziemiach ludzie lądowi nabiorą z czasem mentalności morskiej — choćby w następnym pokoleniu. Tej sprawie — z umiłowaniem, kulturą i inteligencją służył tygodnik „Ziemia i Morze”.

DOKUMENTACJA

Otrzymał mi z Kraju egzemplarz Monitora Polskiego z następującym zarządzeniem:

Monitor Polski Nr A-79, Warszawa 11 lipca 1950

920

Zarządzenie Naczelnego Dyrektora Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk

z dnia 3 lipca 1950 r. o pozbawieniu debitu komunikacyjnego.

Na podstawie par. 2 ust. 1 lit. b) rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów z dnia 9 maja 1949 roku w sprawie organizacji i właściwości głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk oraz urzędów podległych (Dz. U.R.P. Nr 32 poz. 241) pozbawiam debitu i zakazuję rozpowszechniania czasopisma „Kultura” wychodzącego w języku polskim w Paryżu.

Naczelnny Dyrektor Głównego Urzędu
Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.
w/z. M. Maneli (*)

W ten sposób sytuacja „Kultury” w Kraju jest w pełni wyjaśniona. Nie stalinowiec na pocztę, nie bałagan, nie przeoczenie, ale ukaz oficjalny. Ukaz z okresu świetności Bezpieki, który zwycięsko przetrwał Październik. Cóż z tego że stupajki odchodzą, jeżeli ukazy po nich zostają i trwają.

ILE ZARABIAJĄ PISARZE?

Młody pisarz krajowy który odwiedził mnie przed kilku dniami — korzystając z przerwy w dyskusji spowodowanej wniesieniem tacy z trady-

(*) Przypadkowo zetknęliśmy się z nazwiskiem Mieczysława Maneli na łamach „Głosu Szczecińskiego”. Jest to autor nudnawych artykułów „ideologicznych”. Jeśli nie jest przypadkową zbieżnością nazwiska — a p. Mieczysław Maneli-ideolog jest jednocześnie p. M. Maneli z Głównego Urzędu Kontroli Prasy, który wydał powyższy dekret — mielibyśmy doskonałą ilustrację do sztuki Jerzego Zagórskiego, którą drukujemy w bieżącym numerze.

cyjną angielską herbatą — poprawił się wygodnie w fotelu i rzekł: „Prawdę mówiąc wyobrażałem sobie, że mieszka pan zamożniej...”

W odpowiedzi wyjąłem z szafy egzemplarz jednego z niewielu pism angielskich, które pilnie kolekcjonuję. Mam na myśli arcyciekawą tygodnik „The Bookseller” (The Organ of the Book Trade). W numerze lipcowym tegoż pisma podano dane statystyczne opracowane przez „The Society of Authors”. Z powyższych danych wynika, że tylko 15% autorów zarabia od 500 do 1.000 funtów rocznie. 18% zarabia od 250 do 500 funtów rocznie a dochody 40% autorów nie przekraczają 250 funtów rocznie.

W oparciu o cyfry Bookseller'a mogłem wyjaśnić mojemu gościowi, że pisarze emigracyjni zarabiają — jak na stosunki angielskie — przeciętnie lub nieco lepiej niż przeciętnie, choć oczywiście nieporównanie mniej niż pisarze krajowi.

Młody rodak był wyraźnie rozczarowany statystyką Bookseller'a.

LONDYŃCZYK

CHARAKTERYSTYCZNY DOKUMENT

Redakcja „Kultury” — w ramach prowadzonej akcji dostarczania bibliotekom i instytucjom w Kraju wartościowych książek i wydawnictw, ukazujących się na Zachodzie — wysłała w ubiegłym roku do Polski, między innymi kilka egzemplarzy Albumu „Masters of Modern Art”, wydanego w Nowym Jorku przez Museum of Modern Art. Album ten jest jednym z piękniejszych wydawnictw plastycznych ostatnich lat. Jeden z egzemplarzy został wysłany do Biblioteki Narodowej w Warszawie na nazwisko jej dyrektora — obecnego ministra Oświaty — Wł. Bieńkowskiego.

W końcu lipca br. otrzymaliśmy zawiadomienie poczty francuskiej, że powyższy egzemplarz został skonfiskowany. Ponieważ albumu nam nie zwróciono, a zapobiegliwy Główny Urząd Kontroli Prasy w Warszawie nie zdążył wydać odpowiedniego dekretu — otrzymaliśmy maksymalne odszkodowanie (nie stojące w żadnej proporcji do ceny Albumu) przewidziane między narodowymi przepisami pocztowymi, to jest kwotę 2.850 franków.

Ponieważ Wł. Bieńkowski jest także przewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu Pomocy Repatriantom — przekazujemy powyższą sumę na jego ręce — z przeznaczeniem na repatriantów.

Kilka miesięcy temu ofiarowaliśmy wymienionemu Komitetowi wszystkie nasze wydawnictwa, które są, lub mają być, reedytowane w kraju — z propozycją rozsprzedania ich i przeznaczenia uzyskanych w ten sposób sum na rzecz repatriantów. Min. Bieńkowski propozycję naszą odrzucił i nadal konfiskuje się książki Parnickiego i Gombrowicza na przykład, choć są już w przygotowaniu lub w najbliższym czasie się ukażą ich wydania krajowe. W związku z tym ponawiamy dziś naszą propozycję z tą zmianą, aby wszystkie skonfiskowane książki zachodnie, wypełniające magazyny Głównego Urzędu Kontroli Prasy — nie były, jak dotąd oddawane na przemiał, względnie by nie zasilaty czarnego rynku — ale by zostały przekazane Ogólnopolskiemu Komitetowi Pomocy Repatriantom ze Wschodu dla zorganizowania wenty. W ten sposób pomoże się repatriantom, a jednocześnie skończy się ze skandalem, ośmieszającym Polskę.

No 1.17. P. 12. 11

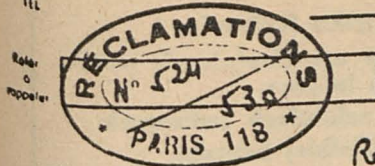
REPUBLIQUE FRANÇAISE

POSTES - TÉLÉGRAPHES - TÉLÉPHONES

BUREAU de :

TEL

CCP Paris



10 38. 1957

Redaction Kultura

91 Av. de Poissy

Haison laffite.

A la suite de vos
réclamations j'ai l'honneur de porter
à votre connaissance les renseignements
suivants :

D'autre part, je vous prie de
bien vouloir vous présenter au guichet
de mon bureau pour y percevoir la
somme de 2.850 francs, l'indemnité de perte
dans le service polonais d'un objet
recommandé no 1356 expédié de Paris
le 18/11/56 à M. W. Bienkowski

Je vous prie d'agréer l'assurance de
ma considération distinguée

P: le Receveur

Jurek

Fachową pomoc da tylko fachowiec

zespół inżynierów polskich ofiarowuje swe doświadczenie zdobyte
w ciągu dziesięciu lat pracy

**W największych polskich zakładach radiowych
i mechanicznych w Wielkiej Brytanii**

P. C. A. RADIO

(Własność Stowarzyszenia Polskich Kombatantów)

Beavor Lane, Londyn W.6. Tel. RIV 8701

Telegramy: POLCOMRAD — London

przy wyborze i wysyłce do Polski wszelkiego sprzętu technicznego,
potrzebnego rodzinom w Polsce, zarówno nowego
jak i „Fully Reconditioned”, w szczególności:

Maszyny i przyrządy elektryczne, radioodbiorniki i części, aparaty do
nagrywania, wzmacniacze dla głuchych, obrabiarki, automaty, warsz-
taty rękodzielnicze, urządzenia lekarskie, dentystyczne, fryzjerskie,
aparaty do użytku domowego i kuchni, samochody, motocykle, skutery

Posiadając bezpośrednie źródła zakupu i własne warsztaty
gwarantujemy towar najtańszy i najlepszy, nowy i „Fully
Reconditioned” oraz szybką i pewną dostawę do Polski.

**PIENIĄDZE DO POLSKI
ZAMIAST PACZEK**

Dostarczamy do rąk odbiorcy w każdej miejscowości
w Polsce amerykańskie banknoty dolarowe w każdej
ilości i denominacji.

Dostawa trwa ok. 10 dni i jest w pełni gwarantowana. Otrzymywanie
i posiadanie dolarowych banknotów jest obecnie w Polsce dozwolone.

Również wypłacamy w złotych po kursie 95 złotych za
dolara. Dostawa trwa tylko sześć dni.

Wysyłamy do Polski z dostawą za 10 dni najnowsze
lekarstwa amerykańskie. Sprowadzamy do USA krewnych
na pobyt stały lub z wizytą.

Katalogi i informacje wysyłamy na żądanie.

POLISH AMERICAN AGENCY, INC.

Frank Sakoski, Manager Dept. KA
799 Broadway, New York 3, N.Y.

Filozofia i światopogląd

Rozpowszechniony w Polsce zwyczaj wydawania zbiorów
artykułów publicystycznych sprawia więcej przyjemności auto-
rom aniżeli przynosi pożytku czytelnikom. Zbiór artykułów, wy-
wodzących się z potrzeb doraźnych i przemijających, jest książką
zazwyczaj tylko w słownikowym tego słowa znaczeniu. Publi-
cystyka jest namiastką refleksji, jej sądy skrajne i stanowcze
najczęściej kompensują niedomagania racjonalnych argumen-
tów. Co uchodzi uwagi czytelnika tygodników, nie ukryje się
w formie książkowej. Być może, że czas szybko biegnie i nie
pozwala na gruntowniejsze zastanowienie, na rozpatrzenie ze
spokojem i umiarem spraw gnębiących ludzi myślących w Polsce.
Czas chyba by się jednak znalazł, gdyby nie ubiegano się nad-
miernie o wątpliwą wartość sprawność mistrza do wszystkiego.
Majątek narodowy, wywodził Adam Smith, pomnaża się przez
podział pracy. Ta sama zasada stanowi fundament osiągnąć
w dziedzinie myśli.

Wśród zbiorów artykułów, wydanych w formie książko-
wej, „Światopogląd i Życie Codzienne” Leszka Kołakow-
skiego (1) zajmuje pozycję wyjątkową. Dwie są tego przyczy-
ny ściśle z sobą związane. Artykuły tego zbioru dzięki poru-
szonym sprawom, erudycji, użyciu narzędzi filozoficznej ana-
lizy, osiągają rangę esejów filozoficznych. Esaj to próba po-
stawienia i rozwiązania zagadnienia, w formie wprowadzie nie
ostatecznej, lecz na tyle zaawansowanej, że staje się punktem
wyjścia dla dalszych rozważań.

Książkowe wydanie esejów Kołakowskiego, rozrzuconych
po tygodnikach i przeto skazanych na zapomnienie, było rów-

(1) Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1957. Str. 206.

niez uzasadnione niezależnie od ich myślowego ładunku, sformułowania w formie abstrakcyjnej trosk intelektualnych i ideologicznych problemów traktowanych przez innych manierą impresjonistyczną w terminach „cennego niepokoju”, „pasji” i „ideowych przeżyć”. *The display of intelligence lies in the manner of the performance*, inteligencja przejawia się w sposobie wykonania, pisze Gilbert Ryle w „*The Concept of Mind*”. Uwaga oksfordzkiego filozofa znajduje w esejach Kołakowskiego świetną ilustrację. To co w tych esejach uderza, nawet gdy się z nimi w części lub całości z tych lub innych przyczyn zgodzić nie można, to ich doskonale wykonanie, skoncentrowanie się na przedmiocie, logiczna spójność wyводу, która sprawia, iż proces myślowy właśnie zakończony wyzwala dalszy tok rozumowania, by doprowadzić krok po kroku do stwierdzenia wystarczającego samemu sobie. Jak w każdej dobrej myślowej robocie, walory intelektualne zespala się z estetycznymi, doniosłość teoretycznych sformułowań z piękną literacką formą.

II

Jeśli dobrze rozumiem intencje Kołakowskiego, jego początkowym zamierzeniem było położenie kresu dalszej degeneracji myśli marksistowskiej, pchnięcie jej na twórcze tory przez rozbudowę aparatury pojęciowej adekwatnej do współczesnej wiedzy o człowieku i nauki o świecie, formułowanie nowych pytań i zagadnień, „stawianych przez filozofię reakcyjną i zaspakajanych w sposób idealistyczny”, które nie są jednak zagadnieniami pozornymi oraz wymagają rozpatrzenia, jeżeli filozofia marksistowska ma z powodzeniem rywalizować z swymi przeciwnikami i odebrać im wyłączność w zaspakajaniu potrzeb umysłu współczesnego człowieka. Rozdział „Światopogląd i Krytyka” łączy z innymi esejami zbioru stosunek jaki istnieje między postulatami a jego wykonaniem. Kołakowskiemu chodziło o zastąpienie „marksizmu młodzieżowego” przez „marksizm autentyczny”, przybliżenie, chciałoby się powiedzieć, do platońskiej idei marksizmu, nieskażonego przez przyrodzoną ludzkiej naturze nieudolność i lenistwo intelektualne lub przez aberracje umysłowego stalinizmu. Koszmarna przeszłość marksizmu w stalinowskiej teorii i praktyce miała nie dotykać idei marksizmu bytującej w stanie czystym, jak równość sama w sobie i piękno samo w sobie, o których nauczał Sokrates w platońskim „Fedonie”. Marksizm „autentyczny” był czymś całkowicie różnym od marksizmu instytucjonalnego w durkheimowskim, przez Ossowskiego wyjaśnionym, sensie tego słowa. Względem logiczne przemawiały za tym rozróżnieniem, a egzystencjalna potrzeba nie dopuszczała myśli, iż praktyka i życie mogą doprowadzić do utożsamienia „autentycznego” i instytucjonalnego marksizmu. Przeszłość, pisał T. Kronski na mar-

ginesie książki Kołakowskiego, nie rzuca cienia na naukę marksizmu „między innymi także dlatego, że budowa socjalizmu jest bez niej niemożliwa. Poza marksizmem jest w nas pustka” (Po Prostu, 18/57).

Na płaszczyźnie teoretycznej odrodzenie „autentycznego” marksizmu nie natrafia na przeszkody (2). Na początek wymaga ono poddania marksizmu rygorom obowiązującym we wszelkim myśleniu teoretycznym, ogólnym zasadom myślenia racjonalnego, które obejmuje metodologiczny sceptycyzm (lub inaczej — odrzucenie prawd nietykalnych) i ograniczenie kryteriów prawdy do sprawdzianów przyjętych w nauce, sprawdzianów doświadczenia i logicznej koherencji. Poddanie marksizmu rygorom racjonalnego myślenia uwalnia równocześnie marksizm od pozostałych ułomności jego zdegenerowanej postaci — ograniczania przedmiotu badań i narzucania poglądów stosownie do pozanaukowych potrzeb. Przyjęcie zasad naukowego myślenia wymaga jednak rewizji tego, co za marksizm uchodzi, gdyż w świetle tych zasad z poglądów i teorii Marksa ocalić się daje jedynie zespół dyrektyw metodologicznych w naukach społecznych i pewna postawa intelektualna, ogólna światopoglądowa orientacja, która w zasadzie nie przesądza, jakie konkretne przeświadczenia mogą spełnić funkcję materii w stosunku do formy światopoglądowej orientacji.

Albowiem na gruncie marksizmu intelektualnie rozumianego, jak go Kołakowski określa, marksści nie różnią się od badaczy marksizm odrzucających specyficznymi tezami lub teoriami. Łączą ich wspólne zasady racjonalnego myślenia, dzielą, jeśli dzielą, pewne szczególne dyrektywy metodologiczne dotyczące roli materialnych warunków życia w społecznym myśleniu, całokształcie społecznego istnienia i historycznym rozwoju. Dodać może należy, że pod tym względem różnice istniejące między badaczami odrzucającymi marksizm w wyżej podanym znaczeniu mogą być większe aniżeli między marksistami i niektórymi nie-marksistami. Większa jest bowiem rozbieżność poglądów między Arnoldem Toynbee a jego „idealistycznymi” krytykami z Pieter Geyl i Isaiah Berlin na czele, aniżeli różnica dzieląca neo-marksistę Mannheima i nie-marksistowskiego socjologa Maxa Webera. Chociaż światopoglądowe zróżnicowanie na terenie nauk społecznych i historycznych pozostaje faktem, dzielenie uczonych na marksistów i nie-marksistów traci „w ogóle sens”. O tym, jak trafne jest to stwierdzenie, można się przekonać na podstawie dwóch esejów — „O Słuszności Zasady: Cel Uświęca Środek” oraz „Istota i Istnienie w Pojęciu Wolności”. Kołakowski pokazuje w nich, jak wygląda marksizm rozumiany jako zastosowanie metody i aparatury pojęcio-

(2) Poniższe uwagi opierają się na następujących artykułach Kołakowskiego: „Intelektualiści a Ruch Komunistyczny” (Nowe Drogi, 9/56), „Aktualne i Nieaktualne Pojęcie Marksizmu” (Nowa Kultura, 4/57), „Sens Ideowy Pojęcia Lewicy” (Po Prostu, 8/57). Nie zostały one pomieszczone w zbiorze „Światopogląd i Życie Codzienne”.

wej Marksa, uzupełnionej do stanu odpowiadającego obecnemu rozwojowi wiedzy, do nowych przedmiotów badań i nowych sytuacji historycznych.

III

Tytułem przykładu zajmijmy się na chwilę jednym z zagadnień rozpatrywanych przez Kołakowskiego w drugim ze wspomnianych esejów. Zazwyczaj uchodzi to uwagi, że materializm historyczny zakłada tezę, którą można nazwać tezą socjologicznego determinizmu. Determinizm socjologiczny sprowadza jednostkę do roli członka określonej klasy i zakłada, że zachowanie się jednostki jest całkowicie wyznaczone przez prawa socjologiczne, prawa zachowania się grup społecznych, wśród których prawa rządzące grupami powiązanymi więzią wspólnego interesu w wytwarzaniu i podziale dóbr materialnych, tzn. klasami społecznymi, determinują wszystkie inne. Teza socjologicznego determinizmu jest jednym z milcząco przyjętych założeń „Kapitału”, lecz Marks sformułował ją wcześniej w związku z „paradoksem Owena” oraz przy okazji krytyki poglądów Feuerbacha i Proudhona. „Społeczeństwo jest wytworem wzajemnego działania ludzi”, siatką związków i stosunków w jakie ludzie z sobą wchodzą; jednostka jest „całością kształtem stosunków społecznych” jakie łączą ją z innymi i jakie wyczerpują „istotę człowieka”. Jednostkę i zbiorowość możemy sobie przeciwstawić tylko in abstracto, konkretnie współistnieją one zawsze w ramach tego samego układu, jak współistnieją węzły i połączenia węzłów we wzorze sieci. W przeciwieństwie do J.S. Milla, który traktował zbiorowość jako sumę przynależnych do niej samostnych jednostek, wyprowadzał prawa zbiorowości z praw natury ludzkiej i podporządkowywał socjologię psychologii, Marks przyznawał zbiorowości autonomiczny charakter, z nich wyprowadzał prawa wyznaczające postępowanie jednostkowe i nie odróżniał psychologii od socjologii. W przedmowie do pierwszego wydania „Kapitału” Marks ostrzegał, iż zajmuje się jednostkami o tyle tylko „o ile są (one) wcieleniami kategorii ekonomicznych, przedstawicielami określonych stosunków i interesów klasowych”. Mój punkt widzenia, dodaje Marks, polega na tym, że „rozpatruję rozwój ekonomicznej formacji jako proces przyrodniczy; dlatego z mego punktu widzenia mniej niż z jakiegokolwiek innego można obarczać jednostkę odpowiedzialnością za stosunki, których sama, społecznie biorąc, pozostaje wytworem, choćby je subiektywnie przerastała” (3).

(3) Str. 6 trzeciego wydania polskiego tłumaczenia I tomu „Kapitału”. Ilustracji tej ogólnej zasady dostarcza na przykład rozdział XXII „Kapitału”, gdzie „wszystkie poczynania i zaniechania kapitalisty stanowią tylko funkcję kapitału obdarzonego w jego osobie świadomością i wolą” (p. 638).

Kołakowski podejmuje problem tam, gdzie Marks go zostawił i zapytuje się czy obecny stan wiedzy o społeczeństwie potwierdza tezę o uniwersalnym społecznym zdeterminowaniu ludzkiej osobowości. Chodzi mu przede wszystkim o układ stosunków w tak zwanym społeczeństwie socjalistycznym i ten jego aspekt, który dotyczy związków między wolnością jednostkową a wolnością społeczną uzyskaną przez upaństwowienie środków produkcji i wymiany. Z tezy socjologicznego determinizmu wynikałoby bowiem, iż „stopień wolności osiąganey przez społeczeństwo jako całość nadaje automatycznie taki sam stopień wolności każdej jednostce poszczególnej, stanowiącej składnik owego społeczeństwa lub klasy”. Ten wniosek jest jednak jawnie fałszywy w świetle codziennego doświadczenia. Prowadzi to do wniosku, iż jeżeli osobowość człowieka jest jakoś zdeterminowana przez środowisko społeczne i jednocześnie całość jej społecznego zachowania nie jest wyznaczona przez przynależność klasową, teza socjologicznego determinizmu wymaga ograniczenia i uszczególnienia. Tak dochodzimy do konkluzji, iż

„Egzystencja indywidualna nigdy nie realizuje esencji klasy społecznej w formie czystej i nieskażonej ani nie daje się przez nią wyczerpać, a los jednostkowy nie daje się wyznaczyć dokładnie przez ogólnodziejowe prawa walki klasowej, podobnie jak biegu poszczególnych cząstek substancji gazowej nie sposób określić przez ogólne prawa mechaniki gazów, które wszakże bez względu na to zachowują ważność” (p. 117).

IV

Uwolnienie myśli marksistowskiej od nacisku marksizmu instytucjonalnego i innych ekstralogenicznych zniekształceń nie natrafia na przeszkody dopóki obracamy się na płaszczyźnie teoretycznej. Nie ma bowiem w poglądach i teoriach Marksa takich elementów, które ze swej istoty uchylałyby się kontroli rygorów naukowego myślenia. Marks nie odwołuje się do pozanaukowych źródeł poznania, jakimi na przykład jest intuicja w bergsonizmie lub Wesenschau w fenomenologii. Stał on na stanowisku, które we współczesnej mu Francji i Anglii nazywane były pozytywizmem, dzielił z Comtem awersję do teologicznego i metafizycznego sposobu myślenia, był jednym z promotorów „fazy pozytywistycznej”. Niezależnie od tego, jakie uchybienia możemy pod tym względem w jego myśleniu wykryć, Marks stał w zasadzie na gruncie empiryzmu, posługiwał się metodami naukowymi, stronił od spekulacji i spekulacyjnej filozofii. „Autentyczny” marksizm nie jest błędnym ognikiem zwodzącym zbłąkanych podróźnych w dziedzinie myśli.

Gdy jednak przechodzimy z płaszczyzny teoretycznej na

plaszczynę praktyczną, sprawy wyglądają inaczej. Odwet wówczas bierze zależność między społeczną sytuacją, w jakiej wyznawca „autentycznego” marksizmu działa, a treścią i metodą jego myślenia lub między „substancją intelektualną” wywodzącą się z pobudzeń poznawczych a determinacją rzeczywistości społecznej otaczającej badacza. Innymi słowy, w grę wówczas wchodzi zależność wskazana przez Marksa i zużytkowana przez niego dla zburzenia obiektywnego charakteru poglądów i teorii jego przeciwników. Socjologia poznania uczyniła z analizy społecznego uwarunkowania myślenia uniwersalny klucz do odszyfrowania myślenia z każdej społecznej pozycji, nie wykluczając pozycji zajmowanej przez wyznawców marksizmu. Postulat poddania „autentycznego” marksizmu rygorom racjonalnego myślenia wymaga, by „autentyczny” marksizm i od tego rygoru się nie uchylił.

Nie trzeba jednak iść tak daleko, by dostrzec trudności, na jakie napotyka próba powrotu do „autentycznego” marksizmu w obecnej sytuacji społecznej w Polsce. „Autentyczny” marksizm nie jest wyłącznie jedną ze szkół myślenia ograniczonych do murów uniwersyteckich, dyskusji w środowiskach naukowych lub do publicystycznych utarczek w prasie periodycznej. „Autentyczny” marksizm ma dostarczyć filozoficznych podstaw ideologii partii rządzącej krajem. Sprawę komplikuje nadto ta okoliczność, iż stosownie do znanego powiedzenia Engelsa marksizm ma być nie tylko teorią, lecz i „wytyczną działania”, ma zachować w każdym momencie rozwoju społecznego i historycznego „związek z określonymi praktycznymi zadaniami epoki” (Lenin, „Marks-Engels-Marksizm”). W zasadzie Kołakowski solidaryzuje się z tą koncepcją marksizmu. Wprawdzie odcina się on stanowczo od praktyki instytucjonalnego marksizmu, który przykrawał prawdę stosownie do potrzeb pozapoznawczych, podkreśla słuszość i prawomocność filozofii naukowej wolnej od podobnych deformacji, lecz zachowuje engelsowską formułę o polityczno-społecznej funkcji nauki marksowskiej. Jej zdolność kształtowania postaw społecznych i moralnych człowieka wyróżnia naukę Marksa wśród innych teorii filozoficznych. W niej funkcja moralno-użytkowa dostarcza zasady doboru i organizacji wiedzy o świecie. Poznawcza doniosłość wiedzy jest wtórna, gdy rozpatruje się ją z punktu widzenia użyteczności społecznej i moralnej.

Jeżeli jednak marksizm „autentyczny” ma zachować charakter wytycznej działania, otwiera się drzwi do powrotu dla marksizmu instytucjonalnego, teoria jest zagrożona i wystawiona na działanie wymogów politycznych i wymagań sytuacji społecznej. „Nie żyjemy jeszcze w raju czystej nauki”, pisał A. Schaff polemizując z Kołakowskim, „w której wszystkie kierunki naukowe rozpląną się po prostu w nauce ‘w ogóle’”. Chociażby dlatego, że istnieje jeszcze walka klas i jej odbicie w nauce” (Przegląd Kulturalny, 12/57). Jeszcze dobitniej i bardziej stanowczo przemówili politycy z Gomułką na czele.

W obecnym układzie klasowym polskiej rzeczywistości społecznej marksizm jako wytyczna działania nie może się obyć bez prawd nietykalnych, niezbędnych do ugruntowania i utrzymania Partii przy władzy. Odmienne stanowisko to „szlachetna utopia” stosownie do określenia wypowiedzi Kołakowskiego przez A. Schaffa.

Tak więc na płaszczyźnie praktycznej marksizm „autentyczny” jest nieprawomocny, gdyż sytuacja społeczna nie dopuszcza do myślenia ograniczonego wyłącznie rygorami myślenia racjonalnego. Marksizm instytucjonalny dokonuje inwazji w dziedzinę myśli i wbrew początkowym nadziejom odradza się stan znany z przeszłości — podporządkowywania teorii zamierzeniom praktycznym (pod pozorem podporządkowywania praktyki założeniom teoretycznym). Odradza się przeto pewien istotny aspekt stałnizmu. Logicznie możliwy „autentyczny” marksizm stacza się po równi pochyłej praktyki ku marksizmowi instytucjonalnemu, w którym specyficznie pojęta skuteczność, a nie rzeczowa i formalna poprawność, staje się kryterium prawdy. Kołakowski bodaj dochodzi do podobnej konkluzji w przedmowie notującej w formie aforystycznej refleksję nad własnymi esejami w świetle późniejszych wydarzeń. Uległy one, pisze Kołakowski, pod niektórymi względami przedawnieniu. Stało się to nie tylko na skutek dalszych „postępów niszcycielskiej pracy intelektualnej”, lecz „głównie przez to, że ich *pars destruens*, krytyka szkodliwej tradycji, przeprowadzona była na ogół ze stanowiska reformistycznego, to znaczy z nadzieją na możliwość reformy czegoś, co do czego nie wiadomo, czy w ogóle może być zreformowane”. Owe „nie wiadomo” nie jest wyznaniem braku wiedzy, czy marksizm „autentyczny” jest logicznie możliwy gdyż tę możliwość autor wykazał w sposób ogólny i na konkretnych przykładach. Owe „nie wiadomo” jest wyrazem braku wiedzy faktycznej co do okoliczności społecznych i politycznych warunkujących dokonanie odbudowy, jest wyrazem stanu świadomości, w którym, jak pisze Kołakowski, „nadzieja przeobraża się w zwątpienie, ale jeszcze nie w beznadziejność”.

V

Eseje Kołakowskiego nasuwają jeszcze inne refleksje dotyczące przyczyn niepowodzenia jego zamierzeń. Chodzi o odpowiedź, jaką Kołakowski daje na pytanie, czym jest filozofia.

To pozornie proste pytanie nie dopuszcza prostej odpowiedzi, lecz każdy, kto para się filozofią, musi jednak ją znać. Kołakowski głosi w tej sprawie pogląd, jakiego nie

można w całości przyjąć. Jest on również jedną z przyczyn napotkanych przez niego trudności.

Według bardzo starej tradycji, zapoczątkowanej przez Platona i kontynuowanej przez Spinozę w czasach nowożytnych, zadaniem filozofii jest wykrzyć „najwyższego dobra”. Tylko ten, kto zna „najwyższe dobro” osiągnąć może trwałą szczęśliwość. Zadania filozofii są praktycznej i teoretycznej natury. Są natury praktycznej, gdyż filozofia ma ostatecznie zapewnić człowiekowi szczęście, teoretycznej — gdyż wykrzyć „najwyższego dobra” wymaga poznania świata jako całości, jego struktury i praw, oraz miejsca, jakie człowiek w świecie zajmuje.

Filozofia, jak ją dzisiaj najczęściej rozumiemy, tak dalece odbiegła od tego pierwotnego zamierzenia, iż zapominamy o istnieniu wielkich systemów metafizycznych podejmujących próbę wywiązania się ze wspomnianych zadań. Systemy te nie są wyłącznie relikami ambitnych i niespełnionych nadziei. Dały one bowiem początek „filozofowania pojętego jako wypełnianie niedostatku empirii”, jak to określa Kołakowski, długiej liście filozofów-matematyków i filozofów-fizyków, którzy dążąc do poznania świata jako całości snuli spekulacje o materii, jej ciągłości i nieciągłości, czasie, przestrzeni, ruchu, energii, wielkości nieskończenie małej, nieskończoności lub skończoności świata w czasie i przestrzeni. Te spekulacje leżą u początków matematycznego przyrodoznawstwa. Matematyczne przyrodoznawstwo spełniło nadzieje metafizyków poznania świata jako całości, chociaż dokonało się to na innej drodze aniżeli metafizycy przeszłości przypuszczali.

Dzisiaj filozof nie podniósłby już pretensji, jakie ożywiały wyznawców metafizycznej spekulacji. Miarą jego ambicji jest koncepcja filozofii logicznego pozytywizmu wyznaczająca filozofii zadania bez porównania skromniejsze — analizę podstawowych pojęć i twierdzeń nauk szczegółowych. Potrzeba takich czynności jest niewątpliwa, jeżeli się zważy, iż ludzie nauki rozwijają swe dyscypliny lecz ich nie porządkują, a triumfy matematycznego przyrodoznawstwa popchnęły niektórych wybitnych jego przedstawicieli na drogi, jakie nie bez słuszności określić można jako metafizyczne spekulacje. Pozostaje natomiast kwestia otwartą, czy filozofia jest w stanie omawianą potrzebę zaspokoić. Rozwój i specjalizacja nauk szczegółowych osiągnęły takie rozmiary, iż filozof coraz trudniej może za nimi podążyć, a skomplikowana technika jego własnych narzędzi logicznych, potrzebnych w uprawianiu filozofii nauki, czyni tę funkcję tym trudniejszą.

Od najdawniejszych czasów z platońską tradycją rywalizowała inna, wywodząca się od Sokratesa. Dla niej pytanie, jak należy żyć, by żyć godnie i szczęśliwie, było najważniejszym zagadnieniem filozofii. Ustosunkowywała się ona wrogo lub sceptycznie do prób znalezienia odpowiedzi na podstawowe zagadnienie filozofii w oparciu o wiedzę o świecie jako całości, głosiła autonomię filozofii zorientowanej na sprawy człowieka

najpierw w stosunku do metafizycznych spekulacji, później w stosunku do nauk szczegółowych. Filozofia, pisał Max Scheler, nie jest służebnicą ani teologii, ani nauki. Tę tradycję filozoficzną Kołakowski określa mianem „antropocentrycznej”.

Sokratyczna tradycja nie wymaga ograniczenia filozofii do zagadnień etyki i moralności. Zwolennik tak pojętej filozofii może i musi zajmować się sprawami przynależnymi do nauk szczegółowych, lecz tymi tylko i w tej mierze, w jakiej łączą się one z człowiekiem jako istotą moralną, wpływają i kształtują jego działanie, stosunki międzyosobnicze i społeczne. Współczesna forma tradycji sokratycznej, za którą Kołakowski się opowiada, utożsamia filozofię z światopoglądem. Światopogląd, według definicji Kołakowskiego, to ogół przeświadczeń, które w pewien sposób wpływają na nasze postawy moralne, kształtują nasze zachowanie społeczne, zmieniają w jakiś sposób nasze czynności podlegające moralnej ocenie.

Utożsamienie filozofii ze światopoglądem czyni z niej w pewnym sensie zakładnika w rękach ludzi sprawujących lub ubiegających się o władzę. Nie z tej przyczyny, by polityk przywiązywał szczególną wagę do człowieka jako jednostki moralnej lub troszczył się nadmiernie o moralną ocenę własnego postępowania i podporządkowywał je moralnym kryteriom. Polityk będąc zainteresowany w skuteczności działania wiodącego do zdobycia lub utrzymania władzy nie może być obojętny w stosunku do „antropocentrycznej” filozofii poszukującej wiedzy zdolnej kształtować społeczne i moralne postawy ludzi. Marksizm instytucjonalny dokonuje selekcji przeświadczeń światopoglądowych i ogłasza te z nich za nietykalne, których naruszenie doprowadzić może do osłabienia lub utraty władzy. Fakt, że na uzasadnienie nietykalności pewnych przeświadczeń przytacza się względy społeczno-moralne, należy do zakresu spraw związanych z techniką władzy i skutecznością działania, a nie do filozofii społecznej i moralnej.

Stwierdzenie, iż utożsamienie filozofii i światopoglądu czyni z filozofii w większej lub mniejszej mierze, stosownie do sytuacji społecznej, zakładnika polityki, jest stwierdzeniem banalnym. Partie polityczne zawsze dążą do pozyskania zwolenników nie tylko dla swych programów, zmiennych stosownie do okoliczności miejsca i czasu, lecz i dla swych światopoglądowych założeń, ogólnych a więc względnie stałych. Niebezpieczeństwo tych ideologii, poczętych w „opacznej świadomości” kompensuje ich wielość i różnorodność w systemie wielopartyjnym. Wielość i różnorodność stanowią przeszkodę w ustanowieniu instytucjonalnej ideologii. Inaczej się rzecz ma w systemie monopartyjnym.

Omawiane wyżej sprawy nie stanowią merytorycznego zarzutu przeciw utożsamianiu filozofii i światopoglądu, a jedynie wskazują następstwa jakie z tej identyfikacji mogą wyniknąć. Natomiast merytorycznych zastrzeżeń nie brak i by je dostrzec wystarczy chwila zastanowienia.

Wprawdzie światopoglądy stanowią jedną z dziedzin filozoficznej refleksji, utożsamienie ich z filozofią stanowi błąd *pars pro toto*. Ogromna większość filozofów działających obecnie w Anglii, Francji, Stanach Zjednoczonych zgodziłaby się z twierdzeniem, iż nie przedmiot lecz metoda odróżnia filozofię od innych nauk i dyscyplin. Ta metoda polega na analizie znaczenia wyrażen, którymi posługujemy się w nauce i w życiu codziennym. Nie oznacza to, jak wielokrotnie pisali zwolennicy marksizmu oskarżając tak pojętą filozofię o „idealizm”, iż filozofów nie interesuje rzeczywistość, tę rzeczywistość „gubią” i rozwiązują realne zagadnienia tak, jak gdyby zależało to od umów co do znaczenia słów i wyrażen. Sprawa jest nieco bardziej skomplikowana i daje się najkrócej w następujący sposób wyjaśnić. Pozorny brak zainteresowania filozofii analitycznej światem rzeczy i wydarzeń jest następstwem sytuacji, w jakiej filozof się znajduje zastanawiając się na przykład, czy świat materialny jest realny, czy przedmioty naszego doświadczenia istnieją, gdy nie są postrzegane lub czy posiadamy znajomość cudzych przeżyć. Znalezienie odpowiedzi na te pytania jest w tym sensie niezależne od rzeczywistości, iż fakty użyteczne do udzielenia odpowiedzi są od dawna znane, a w oparciu o te same fakty padały różnorodne i niejednokrotnie wykluczające się odpowiedzi. Po wtóre są one niezależne od rzeczywistości również w tym sensie, iż sposób stawiania pytań niejako wyznacza sposób interpretowania faktów, a więc i opartą na nich odpowiedź. Z tej przyczyny filozofowie zainteresowani, jak się rzeczy „naprawdę” mają lub co stanowi ich „istotę” nie mogą się obyć bez analizy znaczenia wyrażen i badania sposobu ich użycia, to znaczy opisu rzeczy i wydarzeń. Analiza błędów, pisze gdzieś Reichenbach, rozpoczyna się od analizy języka.

Metoda analityczna ma zastosowanie do zdań i przeświadczeń występujących w nauce i w życiu codziennym, dotyczących rzeczy i dotyczących człowieka, odnoszących do tego, jak się rzeczy mają i do tego, jakie przekonania ludzie o nich wypowiadają. Wyodrębnienie pewnych przeświadczeń, określonych mianem światopoglądowych, uznanie tych i tylko tych przeświadczeń za właściwy przedmiot filozoficznego myślenia, definiowanie filozofii przez wskazanie jej przedmiotu z pominięciem sprawy bardziej zasadniczej, sprawy metody, nie jest zgodne z tym, co powszechnie za filozofię uchodzi i co faktycznie uprawia się jako filozofię.

Utożsamienie filozofii i światopoglądu nie wydaje się również słuszne, gdy zamiast rozpatrywania tego poglądu, żeby tak powiedzieć z zewnątrz, z punktu widzenia ogarniającego cały obszar, na jakim współczesna filozofia się obraca, staniamy wewnątrz obszaru określonego przez Kołakowskiego. Nie jest bowiem słuszne twierdzenie, iż „sens właściwy każdej wiadomości o świecie odkryty bywa w filozofii wtedy dopiero, kiedy odkryty jest jej sens praktyczny i ludzki” (p. 24).

Sens praktyczny i ludzki wiadomości o świecie może być

różny dla różnych ludzi. Drugie prawo termodynamiki skłania jednych do porzucenia myśli o postępie, inni natomiast nie wyciągają z prawa „śmierci ciepłej” takiej konsekwencji. Teza powszechnego determinizmu wywołuje w jednych rezygnację i kwietyzm, drugich nie rozbraja, lecz pobudza do przyjęcia postawy aktywnej. Teza ta prowadzi również bądź do przeświadczenia, iż kładzie ona kres poczuciu moralnej odpowiedzialności i przekreśla granicę dzielącą zło i dobro, jak i odwrotnie — iż uniwersalne zdeterminowanie świata zapewnia człowiekowi panowanie nad przyrodą wraz z nieograniczoną możliwością przekształcania fizycznego i społecznego otoczenia oraz nadaje postępowi moralnemu charakter procesu koniecznego i nieuniknionego.

W obliczu tej rozbieżności mniemań o sensie ludzkim i praktycznym różnych wiadomości o świecie stajemy przed pytaniem, które z nich należy przyjąć a które odrzucić. Z tym pytaniem łączy się inne, mianowicie na jakiej zasadzie to rozstrzygnięcie należy oprzeć. Jasną jest bowiem rzeczą, iż nie możemy postępować „na oko” lub dostrzegając słabość uzasadnienia sensu ludzkiego, jak z drugim prawem termodynamiki łączy nasz światopoglądowy przeciwnik, uznać ją za rację dostateczną przyjęcia odmiennej interpretacji. Jedno z klasycznych zaleceń Locka, które takie właśnie sytuacje brało pod uwagę, zasługuje na uwzględnienie także w tym przypadku. Sprawdzian klasowej determinacji światopoglądowych przeświadczeń czasem w ogóle nie ma zastosowania, jak na przykład w odniesieniu do spraw związanych ze „śmiercią ciepłą”, lub jest chwiejny i nie jednoznaczny. Kautsky wywodził, że przeświadczenie o wolności woli umacnia panowanie klas uprzywilejowanych, lecz to samo można powiedzieć o zdeterminowaniu rozwoju indywidualnego przez prawa dziedziczności. Prawo genetyki, iż cechy nabyte nie są dziedziczne, iż tylko masa dziedziczna i zmiany w niej zachodzące są przekazywane z pokolenia na pokolenie, służyć przecież może światopoglądowemu przeświadczeniu o korzyściach zachowania istniejącej stratyfikacji i hierarchii społecznej. Jeżeli za zasadę rozstrzygnięcia, o którym mowa, obierzemy kryterium użyteczności, nie wiele zyskujemy. Znajduje bowiem wówczas zastosowanie krytyka wymierzona w pragmatyczną interpretację religii Jamesa i jej nieodparty zarzut, iż jeżeli wierzenia religijne są życiowo użyteczne, nie wynika z tego, że przyjmujemy je na tej zasadzie. Dla wierzącego jego wiara nie jest prawdziwa, ponieważ jest użyteczna, lecz jest użyteczna ponieważ jest prawdziwa.

Spraw związanych z ludzkim sensem tego, co wiemy o świecie, nie jesteśmy w stanie wyjaśnić porzucając postawę poznawczą i wysiłki stwierdzenia jak się rzeczy faktycznie mają niezależnie od sensu, jaki z tym łączymy ze względu na człowieka jako podmiot działający i moralny. Światopoglądowe rozstrzygnięcie spraw naukowo nierozstrzygniętych, na przykład zajęcia stanowiska w kwestii determinizmu i indeterminizmu

lub istnienia praw historycznych, jest niejednokrotnie życiowo konieczne, nie stanowi natomiast rozwiązania problemów filozoficznych. Sprawy światopoglądowe są w równej mierze funkcją woli co umysłu, a sposób ich rozwiązania jest decyzją praktyczną, w której czynności poznawcze i wartościujące występują w zespoleniu, *toto genere* różną od praktyki filozoficznej. Wprawdzie w światopoglądowym rozstrzygnięciu posługujemy się filozoficzną refleksją, nie wynika jednak z tego, by były one identyczne. Filozoficzna refleksja poprzedza logiczne i w czasie światopoglądowe rozstrzygnięcie.

Przez identyfikację filozofii i światopoglądu, tezę nie zawsze politycznie neutralną, Kołakowski nastawił sam na siebie intelektualną pułapkę. Co w sensie politycznym okazało się pułapką, stanowi jednak także autentyczny problem filozoficzny. Jego postawienie jest rzeczą cenną, chociaż rozwiązanie może być kwestionowane z wielu słusznych, w przekonaniu piszącego, względów. Siła historii, w które Kołakowski wpada w poszukiwaniach filozoficznych, są jednym z rekwizytów sytuacji sugestywnie zakreślonej niedawno przez L. Flaszena. Jesteśmy mieszkańcami kraju, pisał Flaszen, „steranego przez Konieczności, gdzie życie jest tak dalece nieautentyczne, że nie wiadomo, czy myśl jest myślą czy pozorem, gdzie fikcja zmagą się z fikcją o pierwszeństwo autentyczności i tylko gesty, tylko grymasy pozostają” (Przegląd Kulturalny, 24/57). Flaszen wyciąga z tej sytuacji wniosek, iż gdy nie ma miejsca i warunków na niezależność myśli, rzeczywistą siłę intelektualną, trzeba mieć „przynajmniej świadomość własnej bezsily”. Na to zalecenie trzeba odpowiedzieć, że stawianie pytań i zagadnień, droga obrona przez Kołakowskiego, z powodzeniem unika Scylli i Charybdy walki z cieniami i moralizatorskiej kazalnicy. Stawianie pytań i zagadnień jest autentyczną działalnością intelektualną, celem dla siebie, samowystarczalną, niezależnie od powodzeń i niepowodzeń politycznych. Taka działalność zmienia świat może w sposób niedostrzegalny i niedramatyczny, lecz bardziej skuteczny aniżeli bezpośredni atak myślowy obliczony na natychmiastowe i całkowite przekształcenie rzeczywistości.

Zbigniew JORDAN

Spowiedź dziecięcia stalinizmu

Okrągły rok zajęło Kazimierzowi Brandysowi pisanie nowej krótkiej powieści „Matka Królów”, która ukazała się w czerwcowym zeszycie „Twórczości”. Ten pisarz, znany ze swojej płodności i łatwości pisania, z dezygnacją porwijący się na trylogie i tetralogie, jęczał w bólach porodowych cały rok by wydać na świat 75 stronic chaotycznej i niezręcznie skomponowanej powieści, w której każde zdanie robi wrażenie wyrwanego siłą z gardła. Zasiadł do pracy po ogłoszeniu tajnego raportu Chruszczowa, ukończył ją po zwyczajnym polskim Październiku i stłumieniu przez Rosjan rewolucji węgierskiej. I nic nie wskazuje na to, że trzymając pióro w ręce gdy nad Warszawą wisiała groźba zbrojnej interwencji a Budapestz miażdżyły gąsienice czołgów sowieckich, usiłował pogłębić swój „szok” po raporcie Chruszczowa na tyle by odebrać mu charakter sprawy czysto osobistej, zawilej i pełnej hipokryzji spowiedzi za lata stalinowskich „Obywateli”, za lata bezprzykładnego kłamstwa pisarskiego nagradzanego sowieckimi orderami, pieniędzmi, dostojenstwami politycznymi i pozycją prymusa literatury socrealistycznej.

„Matka Królów” wprowadza na pozór pewną inowację techniki artystycznej: napisana jest stylem „syntetycznym”, w którym upodobanie do szybkich, błyskawicznych skrótów zakrada się nie tylko do opisów, faktów i obrazów, lecz także do poszczególnych okresów stylistycznych a nawet zdań. Użyłem zwrotu „na pozór”, gdyż w gruncie rzeczy źródło tego nowatorstwa prozatorskiego jest całkowicie pozaliterackie i nadawałoby się raczej jako przedmiot badań dla psychoanalityka. Brandys, tak przecież dotąd (z wyjątkiem „Drewnianego konia”) rozlewny i tradycyjny w swojej prozie, uczepił się tej techniki skrótów i przeskakowania po wierzchu z tematu na temat nad ciemną i głęboką przepaścią prawdy jak człowiek, który chce za wszelką cenę uciec w konfesjonale przed spowiednikiem i ma nadzieję że wyrzucając z siebie spaźmatycznym głosem listę grzechów bez wnikania w ich motywy, kulisy i okoliczności nie tylko otrzyma tanim kosztem rozgrzeszenie, ale nada im jeszcze aureę męczeństwa i cierpienia.

Rzecz w tym, że dla pisarzy typu Brandysa raport Chruszczowa nie był w ogóle szokiem: wiedzieli wszystko lub prawie wszystko co powiedział burzyciel mitu Stalina, a tragedię przeżyli jedynie dlatego, że ich tajemnica prywatno-partyjna stała się odtąd tajemnicą publiczną i narodową, rzucając nagle snop ponurego światła na każde napisane przez nich w przeszłości słowo. Jak wybrnąć z tej pułapki, jak wytrzymać rażącą jasność dnia oczami przywykłymi do tajnego mroku ścieżek kanałowych? W jedyny sposób: uczynić ten mrok heroicznym. Już po ukazaniu się „Obrony Grenady” Sandauer zwrócił wnikliwie uwagę że jest ona próbą wprowadzenia do Wielkiego Katzenjammeru nuty „heroicznego oportunizmu”. Młodzi chłopcy z teatryku eksperymentalnego, do których chyłkiem i prawem kaduka przymknął Brandys, byli oportunistami z pobudek bohaterskich, ofiarami swojej czystej i bezkrytycznej wiary w Historię i Linie Partijną

reprezentowaną przez doktora Faula, czyli Jakuba Bermana. W ciągu tych dziesięciu lat Brandysa widziało się jednak nie ze skurczoną napięciem i walką wewnętrzną twarzą po stronie ofiar, lecz z zimnym i zadumolonym uśmiechem w fotelu KC obok Bermana. Za pomocą takiego oto prostego przedstawienia akcentów autor „Obrony Grenady” wynurzył się z „ciemności które kryją ziemię” na światło dzienne z podniesionym nadal chwacko wzrokiem. To prawda że przetrącony, ale po bohatersku i po męczeńsku. To prawda że chwycony znienacka w krąg reflektora słonecznego, ale przynajmniej już nie obok rzuconego tłumom na pożarcie Bermana. Odrobina sprytu potrafi z szafotu egzekucji cywilnej zrobić podnóżek do teatralnego ukrzyżowania.

„Obrona Grenady” była wybiegiem heroicznego oportunizmu. „Matka Królów” — korzystając z zupełnej bezkarności wobec krytyki, której nie stanowi przecież sam Sandauer — posuwa się jeszcze dalej, bo aż do granic heroicznego spodlenia. Postacią kluczową ostatniej powieści Brandysa nie jest ani warszawska praczka Łucja Król, ani żaden z jej czterech synów — nawet nie młody komunista Klemens Król, którzy przyznał się w więzieniu Bezpieki do zbrodni niepopelnionej, odwołał swoje zeznanie gdy na przykładzie współtowarzysza celi — byłego komendanta hitlerowskiego obozu koncentracyjnego — zrozumiał że bezmyślne wykonywanie rozkazów może doprowadzić do śmierci tysięcy niewinnych ludzi, i umarł w czasie głodówki protestacyjnej. Prawdziwym bohaterem „Matki Królów” i zarazem *porte-parole* autora jest przedwojenny komunista Wiktor Lewen, idealista i marzyciel, człowiek o gołęmbi zdawałoby się sercu, staczający się u powojennego steru władzy po równi pochylej tchórzostwa, zdrady, zaparcia się przyjaciół i spodlenia. W imię czego? Po odślonięciu przez Chruszczowa mechanizmu „epoki stalinowskiej”, po VIII Plenum Gomułki, po oprowieniu przez historię portretu Kadara, każdy jako tako uczciwy i logicznie myślący pisarz komunistyczny musiałby odpowiedzieć jeśli nie z miłości do prawdy to choćby z poczucia szacunku dla resztek swojego rozumu i sumienia: najwidoczniej w imię zasady, że podłości popełniają ludzie w głębi ducha podli, a godność ludzka przechodzi najwyższą próbę ognia nie gdy się należy do prześladowanych i żyje pod nieustannym naciskiem twardych praw moralnych, lecz gdy się działa w miękkiej mazi moralnej prześladowców i trzeba codziennie wybierać między własną karierą a cudzą krzywdą.

Ale nie Brandys, czyste nawet w brudzie dziecie stalinizmu. Wiktor Lewen wiedział bardzo dużo zanim XX Zjazd rozdarł nad nim noc oślepiającą błyskawicą, a mimo to brał naprzód w grzegawisku władzy. Jego grzęznięcie — zapewnia nas jednak autor — było bohaterskie. Dlaczego? Bo cierpiał przy tym ukryte przed ludzkimi spojrzami męki i pragnął szczęścia ludu. W „Matce Królów” Brandys dał więc coś w rodzaju gnojówki moralnej polanej obficie łzami wyrozumiałości dla samego siebie i „self-pity” coś w rodzaju samorożgrzeszającej się spowiedzi w której każdemu (nie za mocnemu) uderzeniu w piersi towarzyszy okrzyk: miałem jednocześnie rację! Pod koniec powieści pojawia się nieodparta w swej prostocie i mocy przekonywania formuła „twoja słusność potwierdza się wraz z twoją winą”, a zaraz po niej następuje błagalne zerknięcie w kierunku komunistycznej Clio, do której zdesperowani stalinieści zanoszą ostatnio gorętsze niż kiedykolwiek modły: Do ciebie uciekamy się wieczna odpuszcicielko wszystkich subiektywnych zbrodni, dokonywanych z nakazu obiektywnych praw konieczności dziejowej... Gdyż Lewen „rozumiał że nikt mu zasług nie przyzna, bo miara jaką można je zmierzyć nie leży w ludzkich rękach i dopiero nadchodzący czas odśloni wstecz swoje prawdy”. Co za widowisko! Furtka heroicznego spodlenia prowadzi aż na ścieżkę osobliwej, mistycznej „wykładni” marksizmu która miarę rzeczy przesuw

z rąk ludzkich w jakieś inne, bliżej nieznaną ręce. W równie osobliwy sposób Lewen reaguje na „trzęsienie ziemi”: po „bezsennie spędzonej nocy był już w następnych dniach zdolny do *obiektywnych* ocen” i to co się stało „uznał za dowód siły — oto idea która odradza się sama”. Wszystko jest dobre dla uratowania twarzy i cienia dawnej świetności, dla wysublimowania i uszlachetnienia całkowitej klęski — nawet samodzielny był idei rewolucyjnej, czyli materializm na utrzymaniu filozofii idealistycznej... Przez usta Lewena Brandys „chce zacząć od początku”. Nikt mu tego nie może zabronić. Ale musi się najpierw wyzbyć tej chorobliwej miłości własnej która kryje się pod pokutniczą szatą „Matki Królów”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

O potrzebie „złytoptaków”

Po odczycie Artura Sandauera o literaturze polskiej ostatniego dziesięciolecia, wygłoszonym w Paryżu pod egidą „Lettres Nouvelles”, odezwał się w prasie krajowej dobrze nam znany motyw Złytoptaka, co na obcym podwórku własną, brudną bieliznę kala. Nie jest to odruch specyficznie polski: podobną metodę stosuje we Francji faszystowski „Rivarol” do francuskich pisarzy protestujących przeciw torturom w Algierze, podobnie reagują (rzadkie, trzeba przyznać) pisma niemieckie wobec pisarzy Niemców, którzy nie chcą zapomnieć hańby obozów koncentracyjnych i ludobójstwa. W dzisiejszej Polsce jednak, gdzie tak daleko jest posunięta swoboda krytyki wewnętrznej (cóż powiedział Francuzom Sandauer takiego, o czym by już wielokrotnie w Kraju nie był mówił i pisał?) ta zasada że choćby cię smażyło i palono w smole, nie mów cudzoziemcom co się dzieje w Polsce, stanowi przerażającą regresję do mentalności ozonowej, „propagandy” na poziomie Światopoli i Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Rzecz jasna, wystąpienia w rodzaju odczytu Sandauera nie tylko Polscy nie „kompromitują”, ale mają skutki wręcz przeciwne. „Cudzoziemcy” (czy w przedwojennej gwarze emeszetowej „Etranżerowie”) nie są jednolitą, zarazem złośliwą i naiwną szkolną dziatwą, którą trzeba karmić wyłączenie przeżutą papką o Naszych Wielkościach Narodowych. Paryscy słuchacze, od lat przyzwyczajeni do jednolitej polskiej propagandy (ton „radosnej twórczości” obowiązywał przynajmniej od roku 1935, a „Polska Ludowa” doprowadziła w latach 1949-1956 ten właśnie ton do absurdu karykatury) byli niewątpliwie zaskoczeni że Sandauer traktuje ich jak ludzi dojrzałych, obdarzonych zmysłem krytycznym. Wywnioskowali — nieco pochopnie — że dojrzałość i zmysł krytyczny są cechami dzisiejszej Polski.

Mam przed sobą list przyjaciela, jednego z przywódców szwajcarskiej partii socjalistycznej. Pisze mi ze smutkiem o „uprawnieniach specjalnych”, zaaprobowanych przez francuski parlament i niepokoi się czy nie wyniknie z tego skrępowanie wolności francuskiej prasy. Nawiązuje przy tym do odczytu Sandauera (ogłoszonego przez socjalistyczny tygodnik *Demain*), pisząc, że cieszy się iż dzisiaj Polska zaczyna dawać Europie lekcje socja-

lizmu i wolności. Daleki jestem od podzielenia jego złudzeń. Ale z pewnością nic od kilkudziesięciu lat nie dało Polsce zagranicą takiego prestiżu, jak opór postawiony stalinizmowi i dążenie do przywrócenia socjalizmowi jego realnej treści. Mój przyjaciel Szwajcar nie przyjmuje zresztą bez zastrzeżeń też Sandauera: „Nic mnie nie przekona — pisze on — że poemat Wążyka nie był aktem wielkiej odwagi i nic mu nie odbierze historycznego znaczenia. Ale rozumiem, że ludzie którzy w Polsce podobnie myśleli przez cały czas stalinowskiej tyranii nie chcą dać robotnikom ostatniej goździny nagrody którą dość niesprawiedliwie przepisuje Ewangelia. I cieszy mnie że mogą to mówić otwarcie”.

Obecnie dowiaduję się z listów z Polski, że artykuł Sandauera o Rudnickim został tam również „przyjęty z oburzeniem”. Piszą mi to ludzie dalecy zresztą od tej pogardy dla zmysłu krytycznego emigracji, która była cechą biuletynu „Kraj”. Nie — tutaj działają bodaj nieco inne elementy: klasowej (tak!) solidarności. „Pisarz w ten sposób o pisarzu!” — naiwny odruch odsłaniający cały system przywilejów: podobnie mawiali hrabiowie, młode ziemianki, członkowie resursy kupieckiej... Czy nie przychodzi tym ludziom na myśl, że tylko zrywając całkowicie z tą „sztafą”, nawet za cenę ryzyka niesprawiedliwości, można polską literaturę, sztucznie i katastroficznie hodowaną w socrealistycznej cieplarni, nauczyć odpowiedzialności?

Myślę, że nawet na emigracji stosowaliśmy w stosunku do dzieł krajowych „taryfę ulgową”. Przyznaję, że socrealistyczne elementy „Żywego i Martwego Morza” traktowałem jako zło konieczne, jako daninę tak oczywistą, że stawała się niewidzialną. Zniechęciły mnie do Rudnickiego dopiero „Niebieskie Kartki”, a zwłaszcza oburzająca wsteczność, ciemnota i mdły sentymentalizm jego reakcji na cenny artykuł Jacka Bocheńskiego w obronie środków antykoncepcyjnych, którą słusznie podkreśla Sandauer. Zdania Rudnickiego, że należy Polskę przekształcić w Spartę, przesuwając „punkt ciężkości z literatury i sztuki na pracę, na wojsko, na sport”, (naukę wydaje się tu Rudnicki likwidować całkowicie), nie znałem. To jedno zdanie zasługuje na artykuł taki jak „Bez Taryfy Ulgowej”. Przed wojną mogło takie zdanie pojawić się chyba w gazetkach Falangi czy Oeneru, a co najwyżej w „Polsce Zbrojnej”. Stąd wniosek — jak konieczny jest dziś ostry ton inteligentnej krytyki.

K A J

Kronika kulturalna

Zgon Tadeusza Kasserna

W Nowym Jorku, na emigracji, zmarł znakomity kompozytor polski, Tadeusz Zygfryd Kassern, przeżywszy lat 53.

Śmierć przerwała rozkwit pięknej kariery muzycznej jednego z najwybitniejszych współczesnych naszych twórców.

Lwówian z pochodzenia, wykształcony częściowo w Wiedniu, częściowo we Lwowie i Poznaniu, spędził okres międzywojenny w Poznaniu, gdzie zdobył sobie szeroką popularność i rozgłos ożywioną działalnością muzyczną, sięgającą daleko poza granice Polski.

W Kraju znane są jego kompozycje napisane pomiędzy 1925 i 1945 przed wyjazdem do USA. Zwłaszcza koncert na koloraturę z orkiestrą doczekał się licznych wykonań przez Ewę Bandrowską-Turską. Nagrodzony na konkursie Młodych Muzyków Polskich w Paryżu w 1928 roku, przyniósł on autorowi natchnieniowy rozgłos i szereg wykonań w różnych miastach Europy i Ameryki. Liczne utwory chóralskie (Kantata dziecięca, 4 Motety Kopernikowskie, 5 Ballad, „Ojczyzna”) instrumentalne („Dies Irae”, Koncert na smyczki, Suita pastoralna, Suita tatrzańska, Koncert na kontrabas, Koncert na flet, Koncert na flet, smyczki, ksylofon i celestę, Koncertino na oboj i smyczki); kameralne (Koncertino na flet, klarnet i fagot, Sonatina na flet i fortepian) stanowią cenne pozycje we współczesnej literaturze muzycznej. Sonaty i Sonatiny fortepianowe, solowe utwory fortepianowe i pieśni solowe (Tryptyk gregoriański na koloraturę) utorowały sobie drogę do licznych estrad międzynarodowych. Kassern zdobył również szereg wybitnych nagród na licznych konkursach muzycznych w Warszawie i Poznaniu.

Najbardziej energiczna działalność Kasserna przypada na ostatni jedenastoletni, dojrzały okres jego życia w Nowym



**POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA**

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England

Jorku. Charakteryzuje go wielka różnorodność, rozmach i ambitne osiągnięcia w postaci czterech oper, czterech koncertów fortepianowych dla młodzieży i szeregu utworów instrumentalnych wokalnych i pedagogicznych.

Koroną jego twórczości jest całowieczorowa czteroaktowa opera „Koniec Mesjasza” według Żuławskiego (libretto kompozytora w języku angielskim), pełna egzotyki i mistycyzmu. Powstała ona w latach 1949-1951 na zamówienie Fundacji Kussewickiego i stanowi nie tylko szczytowe osiągnięcie systemu 21-półtonowego, wypracowanego przez kompozytora, ale także i jego ideologiczne i emocjonalne credo muzyczne. Zwłaszcza scena miłosna trzeciego aktu — upadek mesjasza ulegającego pokusie własnej żony, której ślubował czystość — posiada ogromny ładunek uczuciowy i niezwykle napięcie muzyczne, przypominające częściowo Tristana, częściowo Wozzecka. Koncepcja „Konca Mesjasza” dojrzewała w umyśle kompozytora już od wielu lat, jeszcze w okresie pobytu jego w Kraju, doczekała się jednak dopiero mocnego bodźca realizacyjnego w Stanach Zjednoczonych, po upadku Niemiec hitlerowskich, w postaci zachęty ze strony znakomitego kapelmistrza Kussewickiego (z Bostonu), który zamierzał wystawić „Mesjasza” w La Scala (zmarł jednak przed ukończeniem tej opery).

Większe szczęście miała druga opera Kasserna „Sunup” („Jutrzenka”) według sztuki Luli Vollmer, libretto kompozytora. Została ona wystawiona na scenie jednego z eksperymentalnych teatrów nowojorskich w opracowaniu na dwa fortepiany z perkusją. Ciekawa treść tego dramatu posłużyła autorowi do wysnucia bardzo niezwykłych skojarzeń muzycznych. Folklor amerykański z gór północnej Karoliny został mocno zabarwiony reminiscencjami polskiej tematyki góralskiej. Zwłaszcza treny chóralskie pomiędzy pierwszym a drugim aktem na podkładzie perkusji i żałobnego hejnału trąbki solowej wstrząsają swą prostotą i głębią liryzmu. Oznajmniają one zgon bohatera-żołnierza na polu chwały w okresie pierwszej wojny światowej. Jego matka-góralka przyjmuje ten straszny cios dzielnie. Nie zachwieje się ona nawet dowiadując się, że dezertor, którego ukrywa w swej chałupie jest synem mordercy jej męża. Tłumi w sobie instynkt zemsty. Nie chce rozlewu krwi i vendetty. Niech sprawiedliwość i porządek zapanują nad światem. Wstrząśnięty jej bohaterską postawą żołnierz-dezertor dobrowolnie opuszcza kryjówkę i wraca do swego obowiązku patriotycznego w momencie gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca wdzierają się do izby.

„Komedia niemej żony” według Rabelais i Anatola France’a (libretto autora w języku angielskim) jest komiczną jednoaktówką zręcznie ujętą pod kątem lekko parodystycznym. Ma świetną rolę popisową żony (sopran koloraturowy), jej męża (bas) i finał ośmiogłosowy à la współczesny Rossini. Nieśmiertelnym tematem tej dowcipnej groteski jest odzyskanie mowy przez niemą żonę na skutek zabiegu chirurgicznego i wyniki

stad konsekwencje, w rezultacie których wszystkie osoby działające dostają lekkiego obłądu z powodu nadmiernego gadulstwa uzdrowionej żony.

W tych trzech operach Kassern dał dowód posiadania wysokiej techniki wokalne, dużego doświadczenia scenicznego i pełnego opanowania rzemiosła kompozytorskiego.

Niestety śmierć przerwała pracę nad czwartą operą „Eros i Psyche” również według Żuławskiego, która pozostała w niedokończonych szkicach, wskazujących na bardzo indywidualny atonalny styl muzyczny.

Cztery koncerty fortepianowe dla młodzieży stanowią zupełnie odrębną pozycję w dziale literatury pedagogicznej. Są one pisane z głębokim zrozumieniem psychologii kształcącej się młodzieży szkolnej i jej zainteresowań. Doczekały się one bardzo licznych wykonań szkolnych w wielu miastach Ameryki i Anglii. Zdumiewająca jest rozpiętość stylistyczna twórczości Kasserna. Obejmuje ona zarówno tonalny język tradycyjny (w fortepianowych dziełach pedagogicznych) jak i bardzo indywidualnie postępowy (w operach i utworach instrumentalnych). Kassern przeszedł głęboką ewolucję muzyczną, która kazała mu odrzucić atonalizm, jako międzynarodowy żargon i szukać dróg własnych poprzez swój odrębny system dwudziestojednotonowy, aż do zupełnie nowego języka muzycznego w „Erosie i Psyche”. Jest on znacznie mniej rygorystyczny od „oficjalnego”, standardowego atonalizmu, posiada dużo dramatycznego napięcia, liryzmu, napięcia emocjonalnego i głęboką siłę uczuciowości, stanowiąc niemal zaprzeczenie intelektualizmu w muzyce.

Działalność muzyczna Kasserna obejmowała również opracowania orkiestrowe partytur opery „Kobieta bez cienia” Ryszarda Straussa i operetki „Orfeusz w piekle” Offenbacha (na zamówienie Opery nowojorskiej „City Center of Music and Drama”) a także partii orkiestrowej pierwszego koncertu fortepianowego Chopina na zamówienie Fundacji Manna. Poza tym, na krótko przed śmiercią rozpoczął Kassern opracowanie nagrań na płyty muzyki symfonicznej dla jednej z większych firm amerykańskich.

Sylwetka kompozytora Kasserna wymaga uzupełnienia postacią działacza muzycznego i pedagoga. Wykładał on w ciągu paru lat na tutejszej Wszechnicy Socjologicznej Historię Renesansu, Opery, a także poruszał szereg ciekawych zagadnień z dziedziny społecznej roli muzyki, etnografii muzycznej, współzawodnictwa i kierowania programowego produkcją twórczą ze strony państwa.

Oprócz tego nauczał kompozycji i gry fortepianowej w dwóch uczelniach nowojorskich: Konserwatorium i Szkole Dalcroz’a.

Był on jednym z bardzo nielicznych kompozytorów polskich, który doczekał się szeregu wykonań swoich utworów na estradach koncertowych amerykańskich, a pierwszym, i jak dotąd, jedynym twórcą polskim, który otrzymał bardzo zaszczytne za-

mówienie z Fundacji Kussewickiego (obecnej Library of Congress w Waszyngtonie). Dzieła jego zostały ocenione na obu kontynentach. Zarówno Polska jak i USA uznały Tadeusza Kasserna jako wybitnego muzyka i utalentowanego kompozytora.

Michał KONDRACKI

O teatrze

ZAGRANICZNE PODRÓŻE TEATRÓW POLSKICH

Przed wojną nasze teatry, aczkolwiek stojące wtedy u szczytu świetności, prawie nie próbowały występów dla cudzoziemskiej publiczności. Dziś zainteresowanie Polską na Zachodzie jest o wiele szersze aniżeli w okresie 1918-1939, polskie występy artystyczne w wielkich stolicach coraz częstsze, a prócz tego podróżuje się do Francji, Anglii, wkrótce zaś i do Ameryki, aby grać dla swoich. Potwierdzają te wyprawy przyniesiony przez wojnę fakt rozproszenia Polaków po całym świecie, co skolei musi wpływać na organizację polskiego życia kulturalnego i w naturalnym rozwoju powinno przynieść intensywną wymianę intelektualną między krajem a środowiskami artystycznymi wśród Polaków osiadłych na obczyźnie. Jeżeli obecność Polaków na zachodzie Europy zapewni publiczność dla występów naszych teatrów i tym samym ułatwia im wyjazdy zagraniczne, jest to jeden więcej pożytek z pomostu jaki w pomyślnych warunkach politycznych między Polską a Zachodem może tworzyć liczna emigracja, zachowująca bliski związek z opuszczoną przed laty ojczyzną. Równocześnie zaś odpowiednie instytucje w kraju mają obowiązek starań o zachowanie polskości w nowej, olbrzymiej polskiej diasporze, tym większy że do jej powstania przyczyniła się dotkliwa krzywda polityczna i ludzka: wrośnięcie długim okresie przymusowego wygnania w obce środowisko w niczym nie umniejsza ostrości początkowego dramatu.

W osobliwej atmosferze pierwszych występów w Londynie aktorzy warszawscy czuli się przed premierą nieco niepewnie, zaskoczyły ich odmierzony serdeczności powitań, oddzielające osobę artysty od tego co dla niego jest wszystkim — od jego teatru. Mieli zresztą po raz pierwszy wystąpić przed krytyką angielską, przed publicznością emigracyjną przez długi czas systematycznie oczernianą, mieli grać dla oklasków niedawnych

„wrogów” Polski i demokracji. Zbyt trwały okres kłamstw wytworzył niełatwą sytuację i zmroził oklaski, które przecież powinny powitać pozytywny fakt przyjazdu warszawskiego zespołu. Gdy kurtyna poszła w górę, nad rozległą widownią zawisły sekundy ciszy, chłodnego wyczekiwania, obustronnej niepewności z jaką mogą się witać ludzie po wieloletniej rozłące z niepokojem szukający podobieństwa w tak niegdyś dobrze znajomych twarzach. Wołęjko i Romanówna rozpoczęli prawie szeptem, ze ściśniętymi gardłami i tak, wśród przesadnych, konwencjonalnych gestów, i ledwie słyszalnych słów, minął moment, być może historyczny, w stosunkach kulturalnych między krajem a emigracją.

Ale szybko zaczął brać górę jary, dziarski wiersz Fredry, rosnąc w siłę, błyskając przednim dowcipem, zaskakując śmiałością ryzykownych aluzji i swego szyfru erotycznego, wciągając w wartki rytm, dojrzewając, kwitnąć i owocując soczystym słowem. Z każdą następną sceną Romanówna i Kreczmarowa podbijały nieufną, premierową publiczność. Zatriumfowało w końcu piękno języka, brawurowa wirtuozeria komedii, popisowa gra Romanówny i, po ostatnim akcie, aktorzy schodzili ze sceny wśród zasłużonej nagrody długotrwałych oklasków.

Na drugiej premierze już było inaczej. Każde „wejście” w pierwszym akcie „Domu Kobiet” Nałkowskiej zamieniało się w przywitanie przedwojennej sławy, w zabieg hipnotyczny przywracający tu, w Londynie, białe ściany Teatru Polskiego, wysoko wspięty amfiteatr i przestronną scenę. Dawna sztuka, dawni aktorzy; najwidoczniej nie śmiano pokazać teraźniejszości i spróbowano gry pewnej, stawki na przeszłość. Potraktowano emigrację po trosze jak emerytów, których należy karmić wspomnieniami i dla których dzień dzisiejszy zasnuwa mgłą przeszłości.

Sztuka Nałkowskiej ma osiem ról kobiecych. Dzięki temu można było pokazać w niej Munczigerową, Cwiklińską, Broniszwonę, Życzkowską, Lindorfównę, Lubieńską, Kreczmarową, Sokołowską. Jest to pośrednie przypomnienie o prawdziwej sytuacji teatru w Polsce, gdyż po śmierci Zelwerowicza nie pozostał już prawie nikt z wielkiej konstelacji aktorów i byłoby niepodobna zagrać analogiczną sztukę opartą na rolach męskich. Niełatwo dzisiaj obsadzić rolę bohatera, wystawić dramat romantyczny, ale gdy jeszcze odważny młody próbuje Kordiana czy Konrada, brak kandydata na Otella, Leara, Makbeta, Ryszarda Trzeciego tamuje Szekspirowi drogę na nasze sceny. Wystarczy dotknąć się jakiegokolwiek przejawu polskiego życia by odczuć niezabliźnione wyrwy. W tych warunkach przedstawienie „Domu kobiet” było jakgdyby żywą relikwią polskiego teatru.

O wyjeździe polskiego zespołu teatralnego do Londynu mówiło się już jesienią ubiegłego roku. Największą trudność spra-

wiał repertuar, gdyż czasy realizmu socjalistycznego pozostawiły pełno makulatury, kilka dobrych inscenizacji klasyków rosyjskich (a trudno „zaczytać” Londyn od Ostrowskiego czy Gorkiego) i parę zaledwie współczesnych pozycji europejskich. Zastanawiano się z początku nad sztukami odpowiednimi dla angielskiego widza. Działo się to pod wpływem złudzeń wytworzonych powodzeniem „Mazowsza”, wieściami o stałych sukcesach przyjeżdżających do Anglii zespołów niemieckich i francuskich oraz względnie udanym pobytom Teatru Żydowskiego Kamińskiej. Jeżeli jednak tłumy idą na Berliner Ensemble, by je zyskać trzeba pokazać rzecz nie wiele mniej oryginalną od teatru Brechta. Na twórczych inscenizacjach z pierwszego okresu entuzjazmu po 1945 roku dawno osiadł kurz; tradycyjny realizm jest już na Zachodzie nieznosny, a zresztą Anglicy mają go do syta u siebie na wszystkich gorszych scenach. W ostatnich czasach chyba jedynym świeższym reżysersko przedstawieniem był „Kordian”, opracowany przez Axera. Ale życzliwe głosy po trzydniowym pokazie w Paryżu nie zapewnią nigdzie publiczności na trzy tygodnie. By więc uniknąć na przyszłość zbędnych wydatków, trzeba sobie wyraźnie powiedzieć że dla publiczności cudzoziemskiej język stanowi przeszkodę nie do pokonania, wąska zaś grupa specjalistów i zapalonych miłośników teatru nie wypełni tak dużej widowni jak londyńska „Scala”.

Publiczność emigracyjna przyjdzie tłumnie na „Mazowsze”, dopiszą także wtedy rozmiłowani w balecie Anglicy, ale nie należy zapominać iż emigracja składa się głównie ze skromnych ludzi pracy, z dawnego drobnego osadnictwa na Kresach i małomiatczkowego proletariatu, a tym samym nie będzie łatwa do zdobycia dla teatru dramatycznego. Emigracja — wbrew legendzie jest w swej masie raczej a-intelektualna poza wąskim kręgiem konserwatywnej inteligencji i nowym, dorastającym pokoleniem wychowanym już na obcych uczelniach. Tak uroczą pozycją polskiego repertuaru klasycznego jak „Mąż i żona” potrafi ją pociągnąć, natomiast „Dom Kobiet” nie wzbudzi zainteresowania. Nie przemówią też do młodzieży świetne nazwiska aktorskie, przeważnie nieznane tym, którzy w ogóle dopiero na emigracji zaczęli chodzić do teatru, albo po prostu nie mogli znać teatru przedwojennego. Musi więc każda duża sala teatralna świecić martwością pustych rzędów. Dużych sal należałoby unikać i z tego względu, że łatwiej znaleźć rzecz odpowiednią dla sceny kameralnej, polscy zaś aktorzy nie są przyzwyczajeni do mówienia w teatrze nie ustępującym wielkością operze warszawskiej, dykcja młodszych pokoleń aktor-skiego zawodzi w tych warunkach zupełnie katastroficznie.

Kult jakim po wojnie otoczono w Polsce twórczość Nałkowskiej jest dla mnie niezrozumiały. Można go tłumaczyć

chyba tylko jej stanowiskiem politycznym i brakiem wśród pisarzy nowej, socjalistycznej literatury dobrej szkoły powieści psychologicznej. Dąbrowska (prawdziwy realizm) milczała, innych zmuszono do milczenia, na placu pozostała Nałkowska. W „Medalionach” dała wstrząsający dokument, ale żadna z jej powieści psychologicznych nie wytrzymuje porównania z „Cudzoziemką” Kuncewiczowej, te zaś w których kreśli ogólnikowy obraz społeczeństwa jako tło głównej akcji nie posiadają ani szerokiej wizji, ani głębszej analizy zjawisk społecznych, ani wreszcie plastyki opisu. Próby sceniczne potwierdzają wrażenie, że skala jej talentu nie przekraczała większej noweli czy rozszerzonego szkicu psychologicznego.

„Dom Kobiet” zwrócił przed wojną uwagę wyłącznie z racji ograniczenia się do ról kobiecych i wprowadzenia na chwilę w finale sztuki głosu męskiego. Dojrzano w tym pewien eksperyment formalny, reszty zaś dopełniło nazwisko autorki i zainteresowanie jakie zazwyczaj budzi próba twórczości scenicznej znanego pióra prozaicznego. Ówczesny sukces „Domu kobiet” był pochodną popularności literatury kobiecej, dziś nic nie zachęca do wznawiania tej sztuki. Brak jej mocnej, dramatycznej akcji, brak problematyki, a przeprowadzane w niej studium starości samotnych kobiet nie jest ani odkrywcze psychologicznie ani śmiałe i drapieżne w dotknięciu specyficznego tematu.

Jeżeli mimo to widz otrzymuje wrażenie delikatnego rodzajowego studium, zasługa przypada wyłącznie koncertowej obsadzie grającej z dyskrecją, z doświadczeniem wielu lat, z maestrią starej, dobrej szkoły. Stracono jednak wybierając Nałkowską doskonałą sposobność pokazania, obok Fredry, rzeczy która byłaby odbiciem polskiego życia społecznego i wyrazem gorącej teraźniejszości. Oplaciłby się moralnie i materialnie odważny gest przywiezienia jednej z tak popularnych w tej chwili sztuk satyrycznych; wystawienie jej w Londynie byłoby jednym więcej przekonującym dowodem autentyczności zmian zachodzących w kraju i przykładem poszerzonej swobody słowa.

Gdyby komedia „Mąż i Żona” wyszła spod pióra francuskiego autora, byłaby dzisiaj powszechnie znanym klejnocikiem. Fredro napisał znakomitą szaradę miłosną. Kwartet pożądań, intryg i udawania w którym każda strona posiada dwóch partnerów, każda oszukuje i wpada w pułapkę podobnego oszustwa. U podłoża tej śmiałej ale wykwintej sztuki tkwi osiemnastowieczny libertynizm oraz jurne polskie usposobienie, osłabiane wkraczającą na salony nową romantyczną modą tęsknych sentymentów, wdychań, czułych listów i codziennych przysięg.

Autor przede wszystkim wydobywa wymowę i komizm charakterystycznych sytuacji, jakie chyba muszą się powtarzać we wszystkich miłosstkach, mniej dbając o rysunek charakterów,

o indywidualizowanie postaci. Tworzy typy, ale na tle ówczesnego teatru są one odkrywcze dzięki wyłamaniu ich z szablону francuskiej komedii i przeciwstawieniu się idealizowaniu miłości przez romantyzm. Jest to żart, lecz przenikliwy i ostry, i pełen — na tle swej epoki — nowości formalnych.

Jak to wszystko zagrać? Jak pokazać na scenie tak delikatne cacko? Oczywiście z zachowaniem stylu komedii XVIII wieku, do której ta sztuka w pełni należy, z pamięcią o rodowodzie fredrowskiego majstersztyku, o tonach Marivaux w temacie rozwijanym przecież później przez Balzaca. Właściwy styl miała przede wszystkim Romanówna, dostatecznie sztuczna, peterska i przesadna. Kreczmarowa jako Justysia była o wiele lepsza niż przed trzema laty w przedstawieniu paryskim, porzuciwszy próbę tworzenia postaci z rzeczywistego życia, a przyjmując właściwą manierę subretki. Miejsce Kreczmarę zajął Milecki. Był żywszy, bardziej bezpośredni, ale nie dał właściwej sylwetki człowieka znudzonego, szukającego lekarstwa na pustkę i bezczynność w ramionach Justysi. Sposób mówienia wiersza — zaskakiwał i drażnił u niego silnymi pauzami po średniowiecu, rytmem staccato, monotonnym zawieszaniem głosu. Wollejko, przy dobrych warunkach zewnętrznych, jest raczej aktorem filmowym niż teatralnym, z pewnością nie jest amantem charakterystycznym. Zawiodł go też głos i dykcja.

Jeżeli w sumie było to przedstawienie pociągające trafnym ujęciem tekstu, nie dosięgło jednak olśniewającej wirtuozerii koniecznej dla sztuki o równie delikatnej budowie. W obu widowiskach dekoracje Strzeleckiego spokojnie poprawne. W „Domu kobiet” nieprzyjemny był naiwny, „poetycki” efekt zbyt ostentacyjnie kwitnącego drzewa za oknem, a w „Mężu i Żonie” stracono sposobność dekoracji lekkiej, dowcipnej, zgodnej z literackim stylem sztuki. Reżyseria Korzeniewskiego (Fredro) i Wiercińskiej (Nałkowska) trafna w interpretacji, inteligentna, dyskretna w sugerowaniu istotnej treści sztuki, pozwalająca jednak na zbyt powolne tempo.

Bez względu na pewne błędy, na niezbyt interesujący repertuar, żegnamy gości z Warszawy ze szczerym żalem i wdzięcznością za odwiedziny.

Na przyszłość przy doborze sztuk mniej należy liczyć na cudzoziemską publiczność, grając zaś wyłącznie dla emigracji i miejscowej Polonii trzeba stąd wyciągnąć odpowiednie wnioski w postaci szerszego pokazania średniego i młodszego pokolenia aktorskiego w sztukach najlepiej dziś trafiających do widza krajowego.

Istotą wizyt zagranicznych nie powinna być intencja popisu lecz świadome ułatwianie emigracji uczestniczenia w bieżącym polskim życiu kulturalnym. Od powtarzania znanych i uznanych wzorów lepsze wydają mi się błędy wynikające z ambitnych zamierzeń i poszukiwań. Tymczasem londyńska wizyta Teatru Polskiego robi wrażenie jak gdyby w polskim teatrze przez tyle lat, mimo napływu nowych widzów, mimo wstrząsów

wojennych i ustrojowych, nic się nie zmieniło, jakby sceny Brechta, Vilara, eksperymenty amerykańskie czy włoskie istniały zgoła na innej planecie. Otaczając szczerym sentymentem świetne dni teatru Schillera, Jaracza, Osterwy, Węgrzyna, Zelwerowicza, nie można jednak w takim passeizmie dopatrzeć się dróg nowego rozwoju.

Zdzisław BRONCEL

!

DWIE KSIĄŻKI - DWA SUKCESY

Zofia Romanowiczowa
BASKA I BARBARA
Cena fr. 500 — sh. 10 — dol. 150

Tadeusz Nowakowski
OBÓZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH
Cena fr. 350 — sh. 17 — dol. 250

LIBELLA SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - PARIS-IV
France

WARUNKI SPRZEDAŻY:

Jeżeli ktoś mieszka we: Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w: Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak: Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam, za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Książkę można również zamawiać we wszystkich polskich księgarniach.

Uczeń Balzaca

Niemniej ciekawa od historii opowiedzianej przez Dudincewa w „Nie samym chlebem” jest historia jego powieści. Zaczął ją ogłaszać w odcinkach w sierpniu ubiegłego roku „Nowy Mir”. Gdy w trzy miesiące później pod ostatnim odcinkiem ukazało się słowo „Koniec”, rozległo się bicie w bębny na alarm i z jednej strony pocwałowała do ataku na Dudincewa cała moskiewska krytyka literacka, a z drugiej ruszyła mu na odsiecz cała moskiewska młodzież uniwersytecka. Dyskusja nad książką, rozpoczęta w wielkiej auli uniwersytetu moskiewskiego, toczyła się jeszcze do późnej nocy na ulicy. Jeden ze studentów wykrzyknął: „Powiedz mi jaki jest twój stosunek do tej powieści, a powiem ci kim jesteś!” Inny dodał: „Nasza literatura była dotąd literaturą wielkiego kłamstwa; nareszcie staje się literaturą wielkich prawd!” Tradycyjne „obszuczenie romana” w moskiewskim Domu Literatów przyciągnęło takie tłumy słuchaczy, że tych którym nie udało się dostać do środka rozpędzała konna policja; Dudincew zasłonił się na tym osądzie przez zatrutymi strzałami najbardziej wyborowych łuczników „miarodajnej” krytyki sowieckiej tarczą lakonicznego twierdzenia, że to co mówią jest „bezzprzedmiotowe i z gruntu nieścisłe”. Cofnąwszy się na chwilę, obłączyli ponowili szturm na plenarnym posiedzeniu zarządu moskiewskiego oddziału Związku Pisarzy Radzieckich. Tym razem Dudincew, który w swojej powieści przedstawił dzieje wynalazcy tępionego bezlitośnie i okradanego bezwstydnie przez wszechwładną siłę biurokratów i oficjalnych „uczonych” w stylu Łysjenki, spróbował z innej beczki. „Pamiętam” — powiedział — „pierwsze dni wojny ojczyźnianej. Leżałem w okopie, nade mną trwała walka powietrzna. Messerschmidty strącały nasze samoloty, których

było o wiele więcej. Wtedy zapoczątkował się we mnie przełom: przecież dotychczas słyszałem zawsze, że nasze lotnictwo lata najlepiej i najszybciej na świecie. Powiadają, że wyrażam jakieś tendencje oczerniające. To nieprawda. Po prostu chcę i mam chyba prawo chcieć, żeby nie powtórzyło się nigdy więcej to, co widziałem na własne oczy”. Po czym dorzucił melancholijnie: „Myślę, że można by nam pozwolić, jak młodym pływakom, na samodzielną próbę pływania; możebyśmy jednak nie utonęli. Ale przez cały czas czuję na sobie pasek, na którym uczy się pływać małe dzieci. Ten pasek przeszkadza mi w pływaniu”. I wreszcie nazwał swoich najzagorzalszych pogromców „siewcami paniki”, pijąc przypuszczalnie przede wszystkim do Simonowa, który jako przedstawiciel kolegium redakcyjnego „Nowego Mira” dwoił się i troił w natarciu, by zmyć choć trochę hańbę z miesięcznika pomawianego coraz głośniejszym o zbrodnię pierwodruku tej niewinnej na pozór maszyny piekielnej, jaką okazało się „Nie samym chlebem”.

Nie koniec na tym. Powieść Dudincewa nie ukazała się w wydaniu książkowym. Wielki wydawca angielski Hutchinson zapowiedział jej przekład z tekstu odcinkowego i otrzymał od ambasady sowieckiej w Londynie najpierw grzeczne veto, a potem — gdy to nie poskutkowało — uprzejmą prośbę by wstrzymał się ze swoim przedsięwzięciem aż do wprowadzenia przez autora szeregu „poprawek”. W stosunkach (jeśli można je nazwać stosunkami) wydawniczych między Z.S.S.R. a „światem kapitalistycznym” nie obowiązują jak wiadomo przepisy o ochronie praw autorskich, toteż Hutchinson mógł odpowiedzieć ze spokojnym sumieniem i nie zasięgając nawet rady u adwokata: nie. Ta sama okoliczność sprawiła że pełny tekst „Nie samym chlebem” wydali w książce emigranci rosyjscy w Monachium i egzemplarz tego wydania mam właśnie przed sobą (1). Ta sama również okoliczność doprowadziła do osobliwego karambolu we Włoszech, gdzie dwaj wydawcy (jeden w Mediolanie a drugi w Florencji), nie wiedząc o sobie nawzajem na odległość 324 kilometrów, przygotowywali w tajemnicy swoich laboratoriów włoską wersję maszyny piekielnej Dudincewa i wypuścili ją *równocześnie* na rynek w opakowaniu głoszącym dla zachęty nabywców, że jest to „tekst oryginalny zabroniony w Z.S.S.R.”. Sprawy zaszły więc zbyt daleko i Szepiłow nie mógł nie spróbować wywinienia się z opresji przynajmniej z dobrą miną do złej gry: pozwolił w końcu na wydanie powieści Dudincewa w książce by „nie tworzyć sztucznych męczenników”. Sądzić wolno, że z minimalnym dyplomatycznym wyczuciem sytuacji, czyli — bez „poprawek autorskich”, które siłą rzeczy musiałyby spowodować jeszcze parę

(1) W. Dudincew. *Nie Chlebom Jedyńm*. Roman w czterech częściach. Wydanie Centralnego Objedinenja Politiceskich Emigrantow iz SSSR (COPE). Miunchen 1957. Str. 6nl. i 296 i 2nl. Ukazał się również przekład francuski u Julliarda, *L'homme ne vit seulement de pain*.

nadprogramowych eksplozji łańcuchowych w i tak już dość ogłuszającej i bardzo kłopotliwej detonacji.

Była to niewątpliwie detonacja ogłuszająca, ale czy naprawdę aż do tego stopnia kłopotliwa? Czytelnik niewtajemniczony należałoby w subtelności sowieckiej teologii prawosławnej skłonny będzie raczej uznać że nie. Ostatecznie nie pierwszy raz spotykamy w sowieckiej literaturze „odwilżowej” biurokratów którzy swoją głupotą i karierowiczowstwem, swoim „zapasieniem się” i obojętnością na wszystko co nie dotyczy ich osoby, „hamują swobodne dojrzewanie społeczeństwa socjalistycznego do komunizmu”. Ostatecznie, jeśli nawet nikt przed Dudincem nie powiedział tego bez obłonek, mogliśmy się domyślać z aluzji także innych sowieckich pisarzy, że „idealista i człowiek apolityczny to w Rosji prawie to samo”. Ostatecznie po „Informacji tow. Chruszczowa o kulcie jednostki” nie spada się już z krzesła na widok scenki rodzajowej bizantynizmu sowieckiego, w której osiemdziesięcioletni jubilat-uczony słucha pismennego adresu gratulacyjnego ministra stojąc, gdy pięćdziesięcioletni minister siedzi rozwalony w fotelu jak ruski bojar, przed którym stukną zaraz o podłogę rabskie tby holdowników. Lec pod tym — dziś niemal konwencjonalnym! — naskórkim kryje się coś więcej. Trzeba rozebrać bombę Dudincewa na drobne części, by ocenić całą rewolucyjność mechanizmu zegarowego który ją puścił w ruch, wprawiając w popłoch podkomendnych Szepiłowa a w zachwyt studentów moskiewskich.

Od pierwszych utworów literatury postalinowskiej stało się jasne, że linią oddzielającą prawosławie partyjne od herezji jest dylemat: czy typ odrażającego biurokraty sowieckiego stanowi wynaturzenie czy naturalny skutek systemu, czy chodzi o stały okaz nowego gatunku czy o przypadkowy produkt jakiegoś błędu w hodowli? Żurawlew z „Odwilży” Erenburga był tylko przemijającym i usuwalnym skrzywieniem organicznie dobrej natury systemu; dlatego wbrew wszelkim pozorom Erenburg bił w gruncie rzeczy niskie pokłony przed urzędową ikoną Kirpiczew z „Gości” Zorina robił wrazenie człowieka ukształtowanego przez trwałe i nieodwracalne prawo serii, tkwiące w organicznie złej naturze systemu; dlatego Zorina, mimo wszystkich jego nabożnych westchnień do „starej gwardii” leninowskiej, napiętnowano natychmiast jako ikonoklastę. Trudno się choćby chwilę wahać czym jest Drozdow z „Nie samym chlebem” Dudincewa. Wiecznym i wszechpotężnym księciem sowieckich piekieł biurokratycznych przez które w męce i z uporem wędruje anielski lecz prawie zupełnie osamotniony wynalazca Łopatkin.

Inżynier Łopatkin wynalazł maszynę do seryjnego i taniego odlewu rur żelaznych. W ciągu sześciu lat dobijał się z nią na próżno od urzędu do urzędu, od jednej instancji do drugiej, wszędzie odprawiany prędzej lub później z kwitkiem; napisał setki podań i skarg, żył w nędzy i często o suchym chlebie, najadł się wstydu i upokorzeń, po drodze okradziono go częś-

ciowo z wynalazku i wpakowano na półtora roku do łagru. Jego główny przeciwnik Drozdow (najpierw dyrektor dużej fabryki na prowincji a potem naczelnik wydziału w moskiewskim ministerstwie), działający w zмовie z szajką pseudonaukowych monopolistów, zrobił wszystko by mu nie tylko uniemożliwić dotarcie do celu, ale by go zniszczyć. Nie popełnił się wielkiej przesady mówiąc, że Łopatkin bywał chwilami równie bezsilny i beznadziejnie samotny wobec moskiewskiej Twierdzy Państwa jak dwaj wieczni wędrowcy Kafki w obliczu nieosiągalnego Zamku i tajemniczego Trybunału. Pomagały mu jedynie trzy osoby: zakochana w nim żona Drozdowa, stary, zdziwaczka, również zapoznany i pelen nieuleczalnego już sceptycyzmu geniusz wynalazku Busko, oraz wyraźny *ekscentryk* partyjny inżynier Halicki. I choć Łopatkin doczłgał się w końcu resztkami sił do zwycięstwa, zwyciężył nie ruszywszy z miejsca ani nietykalnego systemu ani jego niepokonalnych przedstawicieli. Wprost przeciwnie: w ostatnich rozdziałach powieści dowiadujemy się o nominacji Drozdowa na wice-ministra i oglądamy „uczonych” pomiotu Łysienki gotujących się do nowych „podwigów”. Nic dziwnego więc że po zwycięstwie poczuł się nie o wiele mniej samotny i bezsilny niż dawniej, a nawet ogarnęła go pewna nostalgia za dawną walką, za tą nieustanną walką, która właśnie dlatego że nie widać jej końca i że nigdy nie zamyka się prawdziwym triumfem nadaje jedyny sens wędrowce *samotnego* człowieka przez wszystkie kręgi piekła sowieckiego aparatu państwowego.

Czy można bardziej niedwuznacznie odrzucić dogmat o przejściowych skrzywieniach i wskazać palcem źródło zła zakorzenione głęboko w samej istocie systemu? Dopiero po przeczytaniu „Nie samym chlebem” do końca nabiera pełnego wyrazu rozmowa Drozdowa z Łopatkinem z drugiej części powieści, stając się czymś w rodzaju pojedynku nieśmiertelnego arcydiabła „kolektywizmu” z umęczoną i bezbronną duszyczką „indywidualizmu”.

— Wiesz co, towarzyszu Łopatkin, gdybym był pisarzem napisałbym o tobie powieść. Bo jesteś postacią naprawdę tragiczną... Uosabiasz sobą — tu Drozdow odwrócił się ku Łopatkinowi i z żartobliwym uśmiechem założył rękę za brzeg kitla — całą epokę... która bepowrotnie runęła w przeszłość. Jesteś bohaterem, ale jesteś samotny. — Powiedziawszy to, umilkł i przeszedł się krzywymi zakolami po dywanie. — My ciebie widzimy jak na dłoni, a ty nas nie rozumiesz. Nie rozumiesz na przykład, że możemy się obejść bez twojego wynalazku nawet jeśli by to był prawdziwy, wielki wynalazek. Obejdziemy się — i wyobraź sobie! — nie poniesiemy żadnej szkody. Tak, towarzyszu Łopatkin, nie poniesiemy szkody na mocy ścisłego rachunku i planowania, które zabezpiecza nam stopniowy pochód naprzód. Przypuśćmy nawet, że twój wynalazek jest ge-

niałny! Kiedy według planów państwowych znajdzie się na porządku dziennym zadanie...

— Znajduje się już dawno — powiedział Łopatkin.

— ...które ty z taką pasją usiłujesz rozwiązać — ciągnął Drozdow — nasze konstruktorskie i techniczne kolektywy znajdują rozwiązanie. I będzie to rozwiązanie lepsze od twojego, bo poszukiwania kolektywne zawsze prowadzą do najszybszego i najlepszego rozwiązania problemu. Kolektyw jest genialniejszy od każdego geniusza. I zdarza się, towarzyszu Łopatkin, niepojęta dla was rzecz. My jesteśmy budującymi mrówkami... — Kiedy wypowiedział to słowo, na dnie jego wesołych oczu zamigotał zimny odbłysek wrogości. — Tak... my jesteśmy budującymi mrówkami potrzebnymi...

— Jedna z tych mrówek... — przerwał mu Łopatkin, ale Drozdow nie dał mu skończyć i podniósł głos.

— A ty jesteś samotny geniusz niepotrzebny nikomu ze swoją gigantyczną ideą, która opiera się na cienkich nóżkach. Nie ma kapitalisty, który by kupił tę ideę, a narodowi na nie te szarpające gospodarkę żywiołowe pasje. My do koniecznego rozwiązania dojdziemy stopniowo, bez paniki, w właściwy dzień i o właściwej godzinie.

— Jedna z tych mrówek — podjął monotonicznie Łopatkin, opanowując się i czując że zawrzała w nim nienawiść — jedna z tych mrówek wlaźła mimo to na brzozę, byle wyżej, i pozwała sobie myśleć za wszystkich, decyduje co narodowi potrzebne a co niepotrzebne... Ja też jestem mrówką! — zawył w nim coś nagle. — I nie leżę przy tym na brzozę, ale taszczę do mrowiska gąsienicę dziesięć razy cięższą ode mnie... Powrólcie...

— Napisać wam formalną odpowiedź? — Drozdow usiadł za biurkiem i zamilkł, pocierając głowę palcami i wyczekując. — Czy też wystarczy wam ta rozmówka od s-serca?

— Napiszcie formalną odpowiedź — powiedział Łopatkin.

— Chcecie powalczyć o swoją g-gąsienicę? — jego głos był teraz chłodny. — No, świetnie. Powalczmy.

Jest w tym wszystkim jakiś swoisty manicheizm społeczny i jednocześnie pewien romantyzm daremny mimo że niekiedy zwycięskiej na pozór walki z Lewiatanem egoizmu kastowego, czyli dwa motywy które biegłą równoległymi ściegami wzdłuż całej „Komedii ludzkiej” Balzaca. Krytyk literacki dostrzeże od razu że w technice powieściowej Dudincew jest pilnym, jeśli nie wręcz — bałwochwalczym uczniem Balzaca. Ale nie trzeba wcale pomocy krytyka literackiego by zauważyć, że Nadia Drozdowa i stary Busko zastanawiająco często powołują się na „Cierpienia wynalazcy” z cyklu „Stracone złudzenia”. Inżynier Łopatkin, sowiecki wynalazca maszyny do odlewania rur żelaznych, nie we wszystkim przypomina Dawida Séchard, balzakowskiego wynalazcę maszyny do wyrobu taniego papieru;

łączy ich jednak z całą pewnością to, że obaj dożywają dnia zastosowania swoich wynalazków skopani i na pół złamani, i obaj działają w dżungli społecznej gdzie rządzi prawo silniejszego i przebieglejszego. Monografiści Balzaca mieli sporo racji dopatrując się w obrazie społeczeństwa klasowego „Komedii ludzkiej” wielu cech obyczajowości Indian z powieści Fenimore Coopera. Czytelnicy Dudincewa będą mieli znacznie więcej racji, robiąc to samo w odniesieniu do obrazu społeczeństwa „bezklasowego” w „Nie samym chlebem”.

Zbadana dokładnie, machina Dudincewa okazuje się więc naprawdę piekielna: czym Balzac był dla Marksa z jego teorią sprzeczności wewnętrznych świata kapitalistycznego, tym Dudincew mógłby być — wbrew zapewnieniom Chruszczowa w amerykańskim wywiadzie telewizyjnym — dla Mao Tse Tung z jego teorią sprzeczności wewnętrznych świata „socjalistycznego” (każdy ma takiego Balzaca na jakiego zasługuje). Lecz tylko do pewnego stopnia. Mao mówił o „sprzecznościach nieantagonistycznych” (chyba że jego czwarty punkt o „sprzecznościach w ocenie trzech pierwszych sprzeczności” uznać za podważenie w praktyce tej zasady „nieantagonistyczności”), podczas gdy w „Nie samym chlebem” ilość sprzeczności „nieantagonistycznych” jest tak duża, że zamienia się po marksistowsku w jakosć, czyli nabiera charakteru antagonicznego. To samo nieco prościej i językiem bardziej ludzkim: heretycka i antymoskiewska bulla Mao głosi, że także komunizm nie jest wolny od zarodków walki wewnętrznej i tu powieść Dudincewa dostarcza jej przekonywającego materiału dowodowego; ale antypapież z Pekinu uspakaja równocześnie bogobojnych maluczkich komunistycznych, że są to zarodki, które nie mogą nigdy puścić pędów jakichś nowych form ukrytej walki społecznej w społeczeństwie bezklasowym, i tu jego sowiecki Balzac kręci sceptycznie głową. Gdyż w gruncie rzeczy Dudincew jest przede wszystkim dlatego wiernym uczniem autora „Komedii ludzkiej”, że chętniej niż Marksowi i Mao Tse Tungowi przyklasyfikowałby na pewno słynnemu socjologowi włoskiemu Wilfredo Pareto z „Les systèmes socialistes”: „Walka klas nie jest niczym innym jak tylko jedną z form walki o życie. Wyobraźcie sobie że został ustanowiony kolektywizm i że nie istnieje już kapitał: oczywiście konflikt między kapitałem a pracą stanie się niemożliwy. Ale zniknie wyłącznie jedna z form walki klas. Zastąpią ją inne formy walki: rozgorzeją walki między różnymi rodzajami pracowników Państwa socjalistycznego, między intelektualistami i nie intelektualistami, między różnymi rodzajami polityków, między politykami i rządzonymi”.

Gustaw HERLING-GRUDZINSKI

Socjologia inteligencji

W zbiorze artykułów Jana Szczepańskiego (1) piéce de résistance stanowi szkic opisowo-informacyjny „Zmiany w strukturze i funkcjach inteligencji”, napisany dla „Bulletin International des Sciences Sociales”. Jest to pierwsza próba analizy procesów społecznych kształtujących inteligencję ludową. Warto ją przeczytać i poddać dyskusji.

Termin „inteligencja ludowa” ma zwrócić uwagę na fakt istnienia nowej inteligencji, odmiennej od warstwy inteligenckiej w Polsce pod rozbiorem i w Polsce niepodległej przed Drugą Wojną Światową. Jest to inteligencja nowego typu, gdyż zarówno przez swe pochodzenie społeczne, jak i wykonywane funkcje różni się w sposób istotny od „starej” inteligencji. Ta ostatnia była przeważnie pochodzenia szlachecko-ziemiańskiego, z urodzenia lub przyswojonego ethosu, inteligencja ludowa wywodzi się przeważnie z klasy robotniczej i chłopskiej. „Stara” inteligencja nie uważała wykonywania funkcji zawodowych, lecz sprawowanie „rządu dusz” w narodzie za swe istotne zadanie, inteligencja ludowa na pierwszym miejscu stawia funkcje zawodowe. Zadania przewodnictwa kulturalnego i społecznego przejęła bowiem „klasa rządząca” — elita sprawująca władzę w państwie.

Powyższa charakterystyka istotnych funkcji „starej” i „nowej” inteligencji opiera się na rozróżnieniu dwóch typów inteligencji, stosownie do wykonywanych przez nią funkcji społecznych, odzwierciedlających stan rozwoju zbiorowości. Typ inteligencji istniejący w danym społeczeństwie jest bowiem uwarunkowany stanem rozwoju tego społeczeństwa. W licznych pracach poświęconych Rosji Sowieckiej i krajom naszej części Europy zwracał na to uwagę H. Seton Watson.

Jest rzeczą uderzającą, iż warstwa inteligencka posiada znaczną społeczną spójność i samoistość, a odpowiednio do tego wagę społeczną i polityczną, w krajach o stosunkowo niskim stanie rozwoju społecznego. Niski stopień rozwoju stwarza nieliczne funkcje inteligenckie i nie sprzyja przeto różnicowaniu się warstwy wykształconej. Wspólność zadań umacnia jej spójność i wyodrębnia od innych warstw. Natomiast rozwój społeczny i wzrastający podział pracy wymaga różnicowania się i specjalizacji funkcji inteligenckich, co z kolei sprawia, iż spójność warstwy wykształconej maleje, inteligencja rozprasza się w społeczeństwie i rozpada na coraz liczniejsze grupy mocniej związane podziałem pracy z innymi warstwami aniżeli między sobą. Od tej zasady są wyjątki, gdyż wzrastający podział pracy początkowo nie dotyka tak zwanych wolnych zawodów. Pokazują się jednak znaki — pisali o nich R. Lewis i A. Maude w książce „Professional People” — iż w miarę upływu czasu również wolne zawody ulegają działaniu wyżej wspomnianych procesów.

(1) Jan Szczepański, *Inteligencja i Społeczeństwo*, Biblioteczka „Prostu” Nr 15, Książka i Wiedza, Warszawa 1957, str. 111.

Zdaniem Szczepańskiego inteligencja ludowa jest załącznikiem inteligencji drugiego typu. Na jej strukturze widoczne są jednak ślady nie tylko różnicujących procesów społecznych, lecz również procesów politycznych, zniekształcających profil i funkcje inteligencji ludowej. Zniekształceniem, o którym mowa, jest obniżenie kwalifikacji niezbędnych do wykonywania przez inteligencję jej funkcji społecznych, mianowicie spadek poziomu ogólnego wykształcenia, sprawności myślenia i wyspecjalizowanej umiejętności zawodowej.

Niedomagania te nabierają karykaturalnych kształtów w wyniku zaliczenia do inteligencji wszystkich pracowników umysłowych. Jasną jest rzeczą, iż przyjmując trzy wyżej wspomniane kryteria przynależności do inteligencji, wypada z warstwy inteligenckiej wykluczyć liczne zastępy pracowników umysłowych, zaliczanych zazwyczaj do tak zwanych nowych klas średnich. Pojawienie się w nowoczesnych społeczeństwach nowych klas średnich jest niezgodne z tradycyjną doktryną marksizmu i ich istnienie było przeto często ignorowane.

Odrzucenie z inteligencji ludowej tej jej części, która faktycznie należy do nowych klas średnich, nie usuwa niedomagań, o jakich była mowa. Lekceważenie kwalifikacji doprowadziło na przykład do tego stanu rzeczy, iż w przemyśle

„około 60% stanowisk dyrektorów naczynych, blisko 100% dyrektorów administracyjnych i około 70% stanowisk kierowników wydziałów obsadzonych jest przez ludzi nie mających nawet średniego wykształcenia” (*Kultura i Społeczeństwo* 2/57, p. 222).

Ten wynik nie jest zaś dziełem przypadku.

Jak Szczepański wyjaśnia, jest to następstwo niewłaściwie pojętego procesu awansu społecznego. Awans społeczny oznacza otwarcie szeroko wrót do oświaty i szkół wszystkich stopni dla zdolności i talentów niezależnie od okoliczności materialnych urodzenia. Z awansem społecznym zespoliło się jednak również wyobrażenie, iż dla sprawowania inteligenckich funkcji zawodowych nie jest potrzebne wykształcenie ogólne i specjalne oraz sprawność myślenia, lecz w pierwszym rzędzie i nade wszystko pewna postawa polityczna. Elita sprawująca władzę w kraju uświęciła to wyobrażenie stawiając kwalifikacje polityczne ponad zawodowe w doborze osób na stanowiska wymagające fachowej znajomości rzeczy. Podczas gdy w teorii funkcją inteligencji miało być wykonywanie umiejętności zawodowych, w praktyce było nią wykonywanie zadań politycznych zleconych przez elitę panującą. W łonie inteligencji wybujało obce ciało ludzi sprawujących funkcje inteligenckie, a więc formalnie do inteligencji należących, a którzy inteligentami w rzeczywistości nie byli.

Staje się to obecnie źródłem tarć i konfliktów społecznych. Presja o przywróceniu odpowiedniości między sprawowaną funkcją a kwalifikacjami stwarza konflikt między grupą inteligencką z politycznego awansu, związaną interesem z istniejącym stanem rzeczy, a grupą inteligencką z kwalifikacjami domagającą się zmiany. Narosła bowiem kadra specjalistów, których droga do wykonywania zawodu jest zablokowana przez inteligentów z politycznego awansu opierających się z natury rzeczy przed utratą nabytego społecznego prestiżu i przywilejów. Bez przełamania ich oporu i otwarcia drogi dla fachowców nie ma jednak mowy o przywróceniu właściwego

wyobrażenia inteligentnych funkcji zawodowych i wytworzenia inteligencji nowoczesnego typu.

II

Zaliczenie do inteligencji wszystkich pracowników umysłowych jest postępowaniem socjologicznie błędnym i wywołującym zamęt, czego przykładu dostarcza głośna przed rokiem sprawa „antyinteligentnego kompleksu” i nieufności do inteligencji rzekomo szerzącej się w polskiej klasie robotniczej. Na marginesie tej sprawy Henryk Katz napisał artykuł o „manuelizmie” (2), w którym wywodził, iż „manuelizm” obcy jest tradycji marksistowskiej oraz odłania kulisy natolińskiej intrygi posługującej się hasłami „manuelizmu” wydobytych z zapomnienia.

Pytanie, czy klasa robotnicza cierpi na „kompleks antyinteligentny” względnie wykazuje „zdrową nieufność” w stosunku do inteligenta, nie jest zagadnieniem ideologicznym, jakie można rozwiązać wyprowadzając dedukcje z esencji proletariatu i analizując wypowiedzi klasyków marksizmu. Pytanie to, właściwie sformułowane, jest problemem empirycznym. Tak było ono postawione i rozwiązywane na przykład przez Ferdynanda Zweiga w jego badaniach nad angielską klasą robotniczą.

Zweig badając postawy robotników angielskich natknął się również na zagadnienie stosunku do innych klas i warstw społecznych. W zebranych przez niego materiale nie ma śladu „kompleksu antyinteligentnego” wśród robotników, jest natomiast sporo niechęci do pewnych grup klas średnich, wśród których znaleźli się również „pracownicy w białych kołnierzykach”. Wyniki badań społecznych nad klasą robotniczą w Anglii nie przesadzają niczego o polskiej klasie robotniczej. Zwracają one jednak uwagę, iż badanie postaw robotników do inteligencji wypaść mogą rozmaicie stosownie do tego, czy „pracowników w białych kołnierzykach” zaliczymy do inteligencji, czy też do nowych warstw średnich.

W Polsce, jak była już o tym mowa, do inteligencji zalicza się prócz „pracowników w białych kołnierzykach” również osoby bez kwalifikacji zawodowych sprawujące funkcje inteligentne jako polityczny mandat, jako mężowie zaufania elity rządzącej. Na postawę robotnika do inteligencji wywiera przeto wpływ jego stosunek do klasy średniej, ukrytej pod nazwą inteligenta-biuralisty lub inteligenta-biurokraty, oraz do przedstawicieli elity rządzącej, pseudo-inteligentów z politycznego awansu. Nasuwa się przypuszczenie, iż w tych warunkach „manuelizm”, jeśli ma on rzeczywiste miejsce, jest raczej kryptonimem postawy politycznej w stosunku do istniejącego systemu, aniżeli zjawiskiem z dziedziny postaw społecznych klasy robotniczej do inteligencji, innych klas i grup społecznych.

III

Laicki czytelnik książeczki Janusza Kuczyńskiego (3) odkłada ją z mie-

(2) Henryk Katz, *Odłamać Marksizm*, Biblioteczka „Po Prostu” Nr 10, Książka i Wiedza, Warszawa 1957, str. 76.

(3) Janusz Kuczyński, *Urok Wiary*, Biblioteczka „Po Prostu” Nr 13, Książka i Wiedza, Warszawa 1957, str. 116.

szanymi uczuciami. Z jednej strony znajduje w niej dobrze sobie znane wywody, argumenty sięgające czasów Epikura, zmodernizowane i rozbudowane przez Encyklopedystów i wolnomyślicieli ubiegłego wieku po czasy nam współczesne, by wymienić przykładowo Gilberta Murraya, Bertranda Russella i Juliana Huxleya. Z drugiej natomiast strony do wykładu klasycznych wolnomyślicielskich argumentów wplata się inny tok rozumowania, obudzający podobne reakcje jakich wolnomyślicieli doświadcza w stosunku do irracjonalnych wywodów swoich przeciwników. Dotyczy to nie tylko niektórych drażniących uproszczeń — „wiera kusi człowieka łatwością” i „wygodnym zaspokojeniem” poczucia wartości istnienia (p. 31), lecz sięga do ogólnych założeń wywodów o uroku i szkodliwości wiary.

Wspólną platformą wszystkich wolnomyślicieli jest platforma humanizmu. Nie chodzi tu o humanizm w sensie historycznym, ani o to jego znaczenie, jakie bierze początek z dyskusji filozoficznych XIX wieku o pluralizmie lub wielopostaciowości świata, z przeciwstawienia człowieka — przyrodzie, cech swoiście ludzkich — siłom naturalnym, porządku rzeczy i wartości stwarzanych przez człowieka — porządkowi naturalnemu. Humanizm jako platforma spotkania wolnomyślicieli to światopogląd przeciwstawiający się światopoglądowi religii nadprzyrodzonych wspólnie wyznających przeświadczenie o nierozwiązalności spraw życia indywidualnego i zbiorowego bez odwoływania się do porządku nadprzyrodzonego. W przeciwieństwie do religii humanizm głosi, iż sprawy te można rozwiązać, gdy uwolnimy się od autorytetu nadprzyrodzonego i posługujemy się własnym rozumem, poczuciem słuszności i dobra w życiu własnym i zbiorowym.

Humanizm nie jest identyczny z ateizmem i nie daje się z nim racjonalnie pogodzić. Ateizm opiera się ostatecznie na akcie wiary, jest pewną odmianą fideizmu, by użyć modnego w kraju terminu, wyrasta z przesłanek irracjonalnych podobnych do stojących u podłoża wiary w istnienie osobowego Boga. Humanizm można pogodzić racjonalnie ze stanowiskiem agnostycyzmu, a więc raczej poglądem Epikura aniżeli Lukrecjusza. Humanizm i agnostycyzm mają wspólną genealogię, na którą składa się rozwój nauk ścisłych, badań psychologicznych, socjologicznych, etnologicznych, religioznawstwa porównawczego. Znajduje w nich wyraz postawa naukowa do rzeczywistości, empiryczna, racjonalna i metodologicznie sceptyczna, w przeciwstawieniu do spekulatywności, irracjonalizmu i dogmatyzmu postawy metafizycznej, która leży u podstaw dialektycznego materializmu i ateizmu. Humanista i agnostyk jest tolerancyjny w stosunku do doświadczeń religijnych, których autentyczności nie kwestionuje, chociaż różni się od człowieka wierzącego w poglądzie na ich genezę i w interpretacji ich treści. Zwykłym przesądem jest dla niego równanie człowieka wierzącego z obskurantem, ateistą — z oświeconym umysłem, gdyż są obskuranci wśród ateistów i ludzie oświeceni wśród wierzących. Nauka zawdzięczała i nadal zawdzięcza swój postęp również ludziom wierzącym, przeszkody na tej drodze stawiały zarówno zorganizowane religie jak i zorganizowany ateizm. Łączy je bowiem niejednokrotnie fanatyzm, wiara w dogmaty, uległość w stosunku do autorytetów.

„Straszniejszy od stosu jest terror doktryny. Szczególnie wówczas, gdy omotany nim człowiek i intelektualista nieludzkie nakazy bierze za poczucie własnego sumienia.

Oto jest wartość inspiracji, która ma tworzyć dzieło wolności i wielkości człowieka" (*Urok Wiary*, p. 56).

Któż mógłby zgadnąć, nie wiedząc gdzie i przez kogo powyższe słowa były napisane, do czego się one odnoszą. Kuczyński miał na myśli Kościół katolicki, lecz bez tego wyjaśnienia przemożnie nasuwałby się domysł, iż godzi w inną sektę zorganizowanego fanatyzmu.

W wolnomysłicielstwie Kuczyńskiego pozostało zbyt wiele ze spadku przeszłości, by mogło ono pozyskać umysły dla humanizmu. Na metafizycznej apodyktyczności nie wychodzi dobrze ani wolnomysłicielstwo ani humanizm.

Zbigniew JORDAN

"Sumienie się budzi"

Przy każdym naszym zetknięciu z jakimkolwiek Niemcem stają pomiędzy nim a nami pytania: Czy pamięta? Czy wiedział? Gdzie był *wtedy*? Ten brak odwagi na postawienie zapytania, więc brak odpowiedzi — uniemożliwiają przeważnie porozumienie, budzą w nas lęk i ciężkie urazy, tak trudne do przezwyciężenia w naszym pokoleniu. W pismach krajowych czytamy jeszcze opisy tortur w obozach, wspomnienia bestialstwa młodych hitlerowców-nadludzi. Należy przebaczyć, zapomnieć w imię nowej Europy — ale niechby oni nam wyszli naprzeciw. Czy wyjdą?

Obozy śmierci i ich urzędnicy są dziś zachowane i utrzymywane przez Niemców, świadomie utrzymywane na wieczną pamiątkę zbrodni. Szereg notowanych ostatnio odruchów i manifestacji zbiorowych zdają się świadczyć o przebudzeniu sumienia w najmłodszym pokoleniu niemieckim, które nawet już nie przeżyło wojny. Ci młodzi chcą wiedzieć, rozpytują rodziców, szukają świadków i świadectw.

„Das Gewissen steht auf" (1) spełnia po części to zadanie. Mądrze pomyślana i pięknie wykonana ta książka, obejmująca 64 życiorysy z niemieckiego ruchu oporu w latach 1933-1945, zebranych przez Annedore Leber. 56 mężczyzn i 8 kobiet wszelkiego stanu, którzy wszyscy ponieśli śmierć za swoje przekonania religijne, polityczne, społeczne, albo wprost w obronę ludzkiej godności. Garść tylko spośród tysięcy o których wiemy dotychczas tak mało, omal nic, którzy jednak byli i zginęli niepokonani.

W jednej z książek Davida Rousseta „Les jours de notre mort" (2) dowiadujemy się, że w 1943 roku około tysiąca wyższych oficerów niemieckich zostało w ciągu 48 godzin zagazowanych w Oświęcimiu. Mundury, które wpłynęły do magazynów, były jedynym śladem tej egzekucji. W tym samym czasie dostarczono oświęcimskim komorom gazowym transportu kobiet niemieckich i transportu górników o nieustalonej narodowości, ale prawdopodobnie również Niemców. Co wiemy o tych ludziach? Nic. Czy te i podobne wypadki w innych obozach zostawiły jakiś ślad po sobie?

(1) 1956. Mosaik Verlag. Berlin-Frankfurt/Main. Str. 237, 7 nłb.

(2) Ed. du Pavois, Paris 1947.

Konspiracja zbrodni była ściśle przestrzegana, a ci co ją spełniali, jako poszczególne bieme ognia długiego łańcucha, dziś już nie żyją, albo zmienili nazwiska i obywatelstwo; nie nigdy nie zdradzą.

Pani Leber wybrała 64 życiorysy i zaopatrzyła je w 64 portrety. „Nigdy słowa — pisze w przedmowie autorka tego wydawnictwa — nie zdołałyby oddać równie przekonująco jak te zdjęcia wypadków zaszłych w okresie totalistycznej dyktatury. W każdym z nich występuje indywidualny człowiek i jego przeznaczenie, człowiek wyróżniony z szeregu innych ofiar, znanych nam lub nieznanymi i każdy składa tu swoje osobiste zeznanie”.

Tyle się pisało, tyle mówiło i poetyzowało o tamtych „latach pogardy”, o ofiarach i ich oprawcach, o zbrodni i karze, że dziś, poruszając te tematy braknie już słów. Niech ludzie ci mówią sami za siebie, niech mówią ich twarze, listy do najbliższych, fragmenty pamiętników, wyznania wyjęte z rozważań przedśmiertnych. Nim przeczytamy ich świadectwa, poznamy twarze; ci ludzie są nam obecni, trwamy w ich obecności. Twarze od młodzieńczych, omal dziecinnych: studentów, poetów, żołnierzy, aktorów, do ludzi dojrzałych, do twarzy znaczonej cierpieniem, ściętych pogardą. (Część fotografii pochodzi z archiwum Gestapo, zdjęcia robione w czasie procesów). Pogardą odcinali się oskarżeni od tej komedii praworządności „sądu ludowego”, od wrzasku prokuratora, steku hańbiących wyzwisk. Mamy w ich liczbie polityków, duchownych, profesorów, działaczy społecznych, wojskowych, urzędników. Zdjęcie policyjne Helmutha Jämesa Moltke zdobi okładkę książki. Jego pochyloną postać, milczące usta, nieobecny wzrok możemy zestawiać ze słowami, wyjętymi z ostatniego listu skazańca do synów:

„Cała sala byłaby mogła wrzeszczeć, podobnie jak p. Freisler (prokurator), ściany mogłyby się zachwiać — a byłoby mi to obojętne. Działo się naprawdę jak u Izajasza: Gdy pójdziesz przez wody, będą z tobą, a jeśli przez rzeki, nie zaleją cię, pójdziesz-li przez ogień, nie spalisz się, a płomień nie imie się ciebie — to znaczy twojej duszy.”

„Panie hrabio! — grzmiał prokurator Freisler na rozprawie sądowej — jedno mamy wspólne z chrześcijaństwem, my narodowi socjaliści i tylko to jedno: żądamy całego człowieka!”

Promienne spojrzenie młodego, wyróżnionego na scenie jak i na ekranie aktora Joachima Gottschalka, żonatego z Żydówką. „Albo się rozwiedziesz, albo koniec twojej kariery”. Gottschalk wolał odebrać sobie życie wraz z żoną i siedmioletnim synkiem.

Karl von Ossietzky, znakomity publicysta, pokojowa nagroda Nobla z 1935 roku, jedna z pierwszych ofiar hitlerizmu, zamęczony w koncentracyjnym obozie 3 maja 1938 roku pod numerem 562.

Bardzo piękna twarz Edyty Stein, Żydówki-katoliczki, wybitnego filozofa i karmelitanki, twarz naznaczona pracą myśli i kontemplacją; zamordowana w Oświęcimiu 1942 roku.

Dziecięca głowa Sophie Scholl, młodej studentki, jednej z założycielek tajnej organizacji studenckiej, zwanej „Biała Róża” na uniwersytecie monachijskim; wydana, skazana na śmierć, rozstrzelana wraz z bratem Hansem i całą grupą towarzyszy w lutym 1943 roku.

Piękny jak w brzoje kuty profil Stauffenberga, tego co wykonał zamach z 20 lipca 1944 roku, który by mógł uchronić Środkową Europę od zniszczenia a Warszawę od powstania — rozstrzelany w Monachium.

Kilku księży i pastorów, tych co się sprzeciwiali bezbożnym zarządcom władzy, jak na przykład uśmiercaniu umysłowo chorych i nieuleczalnych, którzy ratowali Żydów, publicznie modlili się za naród prześladowany po spaleniu synagog, walczyli o dusze młodzieży — rozstrzelani albo ścięci.

Ulrich Wilhelm von Schwanenberg: „Za dużo widziałem krwi w Polsce...” zdążył jedynie wtrącić, w czasie procesu w przerwie szczerzących wkoło niego wyzysk oskarżycieli.

Porucznik Wilhelm Kitzelmann, z chłopskiej rodziny turyngskiej, osadzony w twierdzy w Orle. „Jeżeli ci zbrodniarze mają zwyciężyć” — miał się wyrazić w gronie kolegów — „to wolę już nie żyć!” Za „podkopywanie siły obronnej wojska” skazany na śmierć. Zachowały się urywki pamiętnika więziennego, które dają pojęcie samotnej męki młodego żołnierza: poczucia niepojętej srogości losu, krzywdy doznanej, tęsknoty za krajem i rodziną, uciskającej serce trwogi przed śmiercią. Oto wyjęty z pamiętnika urywek dialogu skazanego z Chrystusem:

„Zbyt ciężki, Panie, ten krzyż dla mnie... życie niedopełnione, niespełnione nadzieje, niedokonane zamierzenia... niechaj nie płaczą po mnie ci których kocham; oddal śmierć ode mnie...”

— Jeżeli chcesz być moim uczniem odrzuć twoje zamierzenia, zapomnij o więzach ziemskiej miłości, weź krzyż swój na ramiona i naśladowaj mnie...

Podanie o łaskę zostało odrzucone, wyrok wykonano po dwumiesięcznej zwłoce w tejsze średniowiecznej twierdzy na wysokim brzegu Oki, w 1942 roku. Świadkiem i powiernikiem skazanego był kapelan wojskowy.

Wydawnictwo obejmuje siedem rozdziałów, każdy grupuje ludzi z odrębnych kategorii ruchu oporu. Rozdział I. Świadectwo Młodzieży. II. Przekonania stają się czynem. III. Praca i Poświęcenie dla Drugich. IV. Państwo i Prawo. V. Rozum i Tradycja. VI. W duchu chrześcijańskim. VII. Wolność i Praworządność.

Każdy z tych rozdziałów jest poprzedzony wstępem objaśniającym działalność i cele poszczególnych ugrupowań i kierunków. W posłowniu wymienione są źródła drukowane (w tekście źródła rękopiśmienne), wykorzystane przy opracowaniu książki, są to wspomnienia i zeznania przyjaciół i współoskarżonych, listy, szkice biograficzne, dokumenty urzędowe, zbiory kazań, wybory poezji itp. Trzydzieści dwie pozycje źródeł drukowanych.

Opinia niemiecka zasłaniała się nieświadomością większości narodu: nie wiedzieli, nie słyszeli, wszystko było zatajone. Wiele tysięcy wiedziało wszystko i przykładło rękę do zbrodni. Nie wiedział tylko ten co nie chciał wiedzieć, by móc umyć ręce od odpowiedzialności. Ale w różnych okresach historii każdego narodu, również i naszego, działy się i dzieją rzeczy złe, dokonywują się zbrodnie o których większość obywateli wiedzieć nie chce. („To nie moja sprawa, ja za to nie odpowiadam!”). Różnica ze zbrodnią hitlerowską polega tylko na proporcji, na rozmiarach zła, a to nie stanowi zasadniczej różnicy.

Sumienie Niemców, o ile się dziś budzi, budzi się późno. Zwycięzcy nie przyczynili się do tego przebudzenia, przeciwnie — wpłynęli na zatwardzenie sumień urzędniczym prymitywizmem swojej propagandy i „reeducacji”.

Rozległe cmentarze Europy nie pozwolą zapomnieć o milionowych ofiarach wojen i terroru XX wieku. Aby jednak odrodzić wiarę w człowieka trzeba przypomnieć ludziom, że w tych najczarniejszych latach hitlerowskich rządów byli wśród Niemców sprawiedliwi i że zginęli w imię ludzkiego braterstwa, abyśmy mogli przebaczyć.

Maria CZAPSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE I ZACHODNIE

ZBYSZEWSKI (Karol). *Klaski z custardem*. Str. 207 (Wyd. The Montgomeryshire Printing Co., Ltd., Newton, 1957).

OKOŃSKI (Włodz. ks.). *Wielka Tajemnica*. Wyd. III rozszerzone. Str. 255 (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, czerwiec, 1957, Londyn, cena 8 sh.).

LIS-KOZŁOWSKI. *Poznań i Poznań*. Str. 8, Odbitka z nr 7 periodyku „Historia”, Buenos Aires, 1957.

MACKIEWICZ (J.). *Las Fosas de Katyn*. Str. 243 (Ed. Paulinas, Zalla, 1957).

MICKIEWICZ (Adam). „*The Concert of Concerts*”. Przekład Aarona Kramera. Str. 8 nlb. Odbitka z T. I No 4 „The Polish Review”, 1956.

SOSABOWSKI (Stanisław). *Najkrótszą drogą*. Str. 286 (Wyd. Komitet Wydawniczy Polskich Spadochroniarzy, Londyn, 1957, cena 30 sh.).

HOMER. *Odyseja*. Przekład z greckiego Józefa Wittlina, odznaczony w r. 1935 nagrodą Polskiego PEN Klubu. Wydanie III, zmienione. Str. 438. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 1957).

WRÓŃSKI (Henri). *Rémunération et niveau de vie dans les kolkhoz Le Trououden*. Préface de P. Fromont. Tome XIII, Collection „Observation économique”. Pp. 231 (Ed. SEDES, Paris, 1957).

La situation en Hongrie et la règle de Droit. Pp. 156 (Ed. Commission Internationale de Juristes, La Haye, 1957).

L'Opposition entre la situation en Hongrie et la règle de droit commun. Supplément au rapport de la Commission Internationale de Juristes, publié en avril 1957. Pp. 35 (Ed. Commission Internationale de Juristes, La Haye, Juin 1957).

Weinstock der Wiedergeburt, Moderne Ukrainische Lyrik, zebrała Elisabeth Kottmeier, Sr. 115. Wyd. Kessler Verlag, Mannheim, 1957).

DANIEL - ROPS, SCHUELLER (E.) i in. *Faut-il supprimer les impôts?* Tribune Libre. Pp. 228 (Ed. Plon, Paris, 1957, fr. 600).

POMIANE (Edouard de). *La Physique de la Cuisine et son art*. 700 plats très simples. Pp. 381. (Ed. Albin Michèl, Paris).

La révolution hongroise vue par les partis communistes de l'Europe de l'Est. Pp. 317. Recueil de textes présenté par le Centre d'Etudes Avancées du Collège de l'Europe Libre. (Ed. Collège de l'Europe Libre, Paris, 1957).

TYMIENIECKA (A.-T.). *Essence et existence.* Essai sur la philosophie de Nicolai Hartmann et Roman Ingarden. Pp. 249 (Wyd. Aubier, Paris, 1957, fr. 990).

New Directions 16 in prose and poetry. Str. 260 plus 18 nlb. (Wyd. New Directions, New York, 1957,

dol. 2,50) zawiera m. in. Zygmunta HAUPTA „The girl With Her Heels Set On Half Moons”.

HERLING (Gustavo). *La sconfitta e la ribellione del cortigiano. La convalescenza.* Str. 31. („Testimonianze No 32”). (Wyd. Associazione Italiana per la Libertà della Cultura, Roma, 1957).

BAHR (Ernst). *Ostpommern 1945-1955.* (Tom III „Ostdeutschland unter fremder Verwaltung). Str. 160. (Wyd. Alfred Metzner Verlag, Frankfurt/Mein-Berlin, 1957).

WYDAWNICTWA KRAJOWE

KUREK (Jalu). *Belfagor czyli: 11 szufladek.* Str. 177 (Wyd. „Iskry”, Warszawa, 1957, zł. 7).

SYROKOMLA (Władysław) (Ludwik Kondratowicz). *Wybór poezji.* Opr. i wstępem opatrzył Wacław Kubacki. Str. 611 (Wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza Warszawa, 1957, zł. 50).

SYGA (Teofil). *Woda z Niemna.* Str. 239 (Wyd. P.I.W., Warszawa, 1957, zł. 15).

KUROWSKI (Stefan J.). *Szkice optymistyczne.* Str. 383 (Wyd. PAX, Warszawa, 1957, zł. 25).

KUREK (Jalu). *Strumień gorczy.* Wiersze. Str. 134 (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1957, zł. 10).

CZAPCZYŃSKI (Tadeusz). „Pan Balcer w Brazylii” jako poemat emigracyjny. Str. 56. Łódzkie T-wo Naukowe, Zeszyt Nr 30 (Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu, 1957, zł. 9).

Sto lat nauki w Wielkopolsce 1857-1957, Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Album. Str. 119 i XVIII. Poznań, 1957).

10 lat Wydziału Sztuk Pięknych UMK. Album (Wyd. Uniwersytet M. Kopernika, Toruń, 1956).

BALUTOWA (B.). *Dramat Bernarda Shaw.* Str. 200. Łódzkie T-wo

Naukowe, Zeszyt Nr 25 (Wyd. Zakład im. Ossolińskich we Wrocławiu, 1957, zł. 22).

LEM (Stanisław). *Dialogi.* Str. 323 (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957, zł. 12).

PROROK (Leszek). *Ziarno kłokół.* Powieść. Str. 420 (Wyd. Pallotinum, Poznań, 1957, zł. 30).

Rocznik Biblioteki Polskiej Akademii Nauk w Krakowie. Rok I. 1955. Str. 316. (Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Polska Akademia Nauk, Wrocław, 1957, zł. 60).

GIGIER (Tadeusz). *Garść ziemi.* Wiersze. Str. 58. (Wyd. Iskry, Warszawa, 1957, zł. 4).

ELEKTOROWICZ (Leszek). *Świat niestworzony.* Wiersze. Str. 72 (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1957, zł. 4,50).

BALUCKI (Michał). *Pisma Wybrane.* Tomów 12.: T. I: *Przebudzenie*; T. II: *Błyszczące nędze*; T. III: *O kawał ziemi*; T. IV: *Byle wyżej*; T. V: *Pańskie działy*; T. VI: *Karykatury — Pan burmistrz z Pipidówki*; T. VII: *Tygodnik Krakowski*; T. VIII: *Typy i obrazy krakowskie*; T. IX: *Nowele i Humoreski*. Tomy: X, XI, XII: *Komedie* (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1956, cena za całość w oprawie zł. 140).

Listy do Redakcji

Montreal, 14 sierpnia 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W wykonaniu ostatniej woli mego kolegi i przyjaciela pozwalam sobie prosić Pana o podanie do wiadomości publicznej następującego oświadczenia:

W niedzielę 21 lipca, w przeddzień śmierci śp. Ministra Wacława Babińskiego, odwiedziłem go w szpitalu i miałem z nim dłuższą rozmowę. Wydawało się, że po przebytej operacji powraca do zdrowia. Tknięty może jednak przecuciem, wspomni mi o odpowiedziach, udzielonych przez W. Gomulkę robotnikom zakładów Cegielskiego w Poznaniu 5 czerwca r.b., wśród których na temat zwrotu złota i arrasów wywiezionych z Polski w 1939 roku znalazło się twierdzenie, że „cztery dywany zabrał dla siebie osobiście były poseł rządu emigracyjnego w Kanadzie — Babiński”. Zobowiązałem mnie on zatem do wyręczenia go nie zwlekając w ustaleniu prawdy, co niniejszym czynię, po sprawdzeniu faktów u źródła.

Chodzi tu o cztery dywany użytkowe z rezydencji Prezydenta R.P., które, aczkolwiek nie należąc formalnie do tzw. Skarbów Wawelskich, przywiezione zostały wraz z nimi do Kanady w 1940 roku i figurują we wspólnym inwentarzu, a mianowicie:

Nr 31 Dywan perski z XIX w. o wymiarze 1 m. 93 cm. na 5 m. 60 cm.
Nr 34 Dywan perski z XIX w. o wymiarze 3 m. 05 cm. na 4 m. 77 cm.
Nr 279 Dywan perski z XX w. o wymiarze 4 m. 78 cm. na 3 m. 42 cm.
Nr 338 Dywan perski z pocz. XIX w. o wym. 3 m. 33 cm. na 1 m. 33 cm.

Ze względu na ich charakter dywany te wypożyczono, za zachowaniem pokwitowaniem, jeszcze w 1940 roku, a więc na cztery lata przed przyjazdem Ministra Babińskiego do Kanady, dla dekoracji oficjalnej siedziby ówczesnego Konsula Generalnego, a później Poselstwa R.P. w Ottawie. Przy likwidacji tegoż w 1945 roku i przekazaniu jego inwentarza, dywany zostały przez Ministra Babińskiego złożone na przechowanie pierwotnie do skarbcza „Bank of Montreal”, a następnie przewiezione przez „Capital Storage Company” z Ottawy do gmachu muzeum prowincjonalnego w Quebec, gdzie do dziś dnia znajdują się wraz ze Skarbami Wawelskimi, o czym świadczą odpowiednie pozycje inwentarza, którego odpis jest w posiadaniu Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej.

Taka jest zatem w tej sprawie przekazana nam, niestety, zła groba, prawda, która dowodzi nie tylko pamięci bez skazy Ministra Babińskiego,

ale wskazuje raz jeszcze, że nic nie zostało stracone z zabytków ocalonych w latach 1939-1940, a pozostających dotychczas na obczyźnie pod pieczę czynników za nie odpowiedzialnych.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Tadeusz ROMER

Fryburg, 30 lipca 1957.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Wnosząc z korespondencji, wielu ludzi uważa mnie za autora książki pt. „*Dieu contre Dieu*”. Ośmielałem się więc prosić Pana Redaktora o łaskawe podanie do publicznej wiadomości, przez ogłoszenie na łamach Jego pisma, następującego oświadczenia: autorem tej książki nie jestem.

Z góry najuprzejmiej dziękuję i łączę wyrazy wysokiego szacunku

I.M. BOCHENSKI O.P.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z bardzo wielkim opóźnieniem otrzymałem marcowy zeszyt waszej poczytnej i interesującej „*Kultury*”, w którym — z dużym zainteresowaniem — przestudiowałem obszerną recenzję książki Claude Naurois pt. *Dieu contre Dieu*? pióra p. Czesława Miłosza.

Ponieważ i książka i recenzja również nie mają wartości przemijającej, efemerycznej, ale dotyczą zagadnienia, które nadal wymaga rozgrzyzienia, bo — istnieje nadal problem Pax'u, dlatego moje uwagi na marginesie wywodów p. Naurois i p. Miłosza nie są spóźnione.

Książka p. Naurois jest niewątpliwie ciekawym dokumentem, ułatwiającym cudzoziemcowi zrozumienie pewnego odcinka życia w Polsce.

Ale — nie wolno przesadzać w ocenie tego dokumentu.

Zdecydowane akcenty przesady zawarte są przede wszystkim w przedmowie do wymienionej książki, napisanej przez księdza biskupa Lemaire.

Jest nieco przesady i w spojrzeniu p. Miłosza na wartość tej publikacji.

My tu, w Polsce, ze zdumieniem czytamy oświadczenie p. Miłosza, że książka p. Naurois: „zasługiwałaby na rozpowszechnienie także i w innych językach” (l. c. str. 98).

„Pax”, cała grupa Bolesława Piaseckiego, cała robota tej grupy — nie zasługują na to, by: „także i w innych językach” informować o nich społeczeństwo katolickie.

Całe tak zwane stowarzyszenie PAX z wszystkimi przybudówkami (Instytutem Wydawniczym PAX, przedsiębiorstwami dochodowymi „INCO” i „VERITAS”, „Słowem Powszechnym” i innymi czasopismami) — to

to nie jest jakiś „*ruch katolicki*”, jakiś nurt, złobiący poważny ślad w polskim społeczeństwie katolickim, jakby to — wbrew oczywistej rzeczywistości — można suponować na podstawie lektury książki *Dieu contre Dieu*?...

A czymże jest ono — w rzeczywistości?

Jest ono specyficzną naroślą na politycznym organizmie Polski Ludowej.

Narośl ta powstała w specyficznych warunkach politycznych. Zrodziła się w specyficznym klimacie politycznym minioniej epoki, może niezbyt szczęśliwie nazywanej stalinowską. Rozwijała się bujnie w tym właśnie klimacie. I dziś ma zaplecze w wiadomych reliktach politycznych, którym zawdzięcza przywileje, jakimi nie może się poszczycić żadne przedsiębiorstwo na przestrzeni od Łaby do Władystoku — jak to słusznie zauważył Leopold Tyrmand w swoim miażdżącym artykule, opublikowanym na łamach warszawskiego tygodnika „*Świat*”, cytowanym i przez p. Miłosza.

Dlatego nie ma słuszności p. Miłosz, zarzucając autorowi książki *Dieu contre Dieu*? jak następuje:

„nie ma u Naurois zagadnienia odpowiedzialności polskiego katolicyzmu, jako pewnej formacji umysłowej, za narodziny „*Paxu*”... (l. c. str. 99).

I niesłusznie pisze p. Miłosz (na następnej stronie):

„PAX, nie ma co owijać w bawełnę, jest tworem Polaków-Katolików”... (l. c. str. 100).

Każdy interesujący się sprawami polskimi czytelnik musi być wdzięczny p. Miłoszowi, że bardzo gruntownie zajął się rozbiorem krytycznym książki p. Naurois. Natomiast nie wolno robić prób diagnozy genezy i rozwoju Pax'u „na domysł” i obwiniać tak czy inaczej „*polskiego katolicyzmu*” za ten osobliwy twór.

Polski katolicyzm nie miał i nie ma nic wspólnego z genezą i dziejami Pax'u. Ani Pax nie miał i nie ma nic wspólnego z polskim katolicyzmem. Dlatego, że wyrósł i rozwijał się na innej płaszczyźnie.

Jednym z kapitalnych dowodów na to jest stosunek Pax'u do Episkopatu polskiego. Oczywiście nie można tego stosunku oceniać: fotografiami biskupów polskich i notatkami z życia diecezji polskich na łamach „*Słowa Powszechnego*”, „*Kierunków*”, „*Wrocławskiego Tygodnika Katolików*”, „*Zorzy Świątecznej*”...

Chodzi o to co nazywaliśmy w byłej Komisji Księży w Z.B.o.W.iD. postawą *praeter episcopatum*, obywanie się... bez księży biskupów — w koncepcji ideologicznej i w pracy organizacyjnej.

Chodzi o to, o czym też nieraz dyskutowaliśmy w byłej Komisji Księży w Z.B.o.W.iD. i co nazywaliśmy „znalezieniem wspólnego języka z Episkopatem polskim”, może niezbyt szczęśliwie określając tę potrzebę, która wynika z najbardziej istotnego warunku trwania w społeczności katolickiej, ustanawiając stosunek do Hierarchii kościelnej w autentycznym aspekcie, zacierpięciem z podstawowych prawd o Kościele katolickim i jego strukturze organizacyjnej.

I tu musimy koniecznie powrócić do zupełnie poza Polską nieznanej historii likwidacji Komisji Księży, istniejącej w ramach Z.B.o.W.iD.

Komisja ta — do końca swego istnienia — nie dała się nakłonić do postawy *praeter episcopatum*, do końca wytrwała na pozycji obronnej przeciw infiltracji wpływów „ideologii”, reprezentowanej przez grupę Bolesława Piaseckiego. I — dlatego Bolesław Piasecki postarał się o likwidację tego opornego bastionu w lipcu 1955 roku (1).

Likwidacja ta była bardzo jaskrawym przykładem, jakimi metodami po-

(1) Byłem wówczas w sanatorium, w Krynicy.

sługiowano się w tak zwanym „minionym okresie”. Likwidacja ta, bardzo żywo komentowana wówczas przez duchowieństwo w Polsce, nastąpiła na posiedzeniu... Prezydium Głównej Komisji Księży. Nie tylko nie zwołano Zjazdu Krajowego, ale nawet nie zebrano Plenum Głównej Komisji Księży. Po prostu... przemyciono likwidację niewygodnej dla planów Bolesława Piaseckiego grupy księży.

Przejęciowo zmieścił Bolesław Piasecki niektórych księży w tak zwanej Komisji duchownych i świeckich działaczy katolickich przy Komitetach Frontu Narodowego. Komisja ta „rozplynęła się w nirwanie wraz z Frontem Narodowym, na którego miejsce wszedł w życie (od ostatnich wyborów do Sejmu P.R.L.) Front Jedności Narodu. Przy Froncie Jedności Narodu nie powołano już analogicznej „Komisji duchownych i świeckich działaczy katolickich”.

Jedną z przykrych zagadek, zawartych w książce „Dieu contre Dieu?”, jest informacja dotycząca mojej osoby (na str. 189 i 245).

Nazywam tę informację przykrą zagadką, ponieważ jest niezgodna z prawdą. A także dlatego, że uporczywie utrzymuje się tu, w Polsce, wersja jakoby autorem tej książki był polski ksiądz, zakonnik, przebywający zagranicą, co potęguje gorzkość przykrości...

Informacja dotycząca mojej osoby jest podwójnie kłamliwa.

I. — Najpierw dlatego, że autor miesza mnie „w sosie Bolesława Piaseckiego” a tu — w Polsce — wszystkim wiadomo, że zawsze byłem notowany wśród księży jako wróg nr 1 „grupy Bolesława Piaseckiego”, a na terenie byłej Komisji Księży byłem w ostrym konflikcie z tym skrzydłem, które (z księdzem Owczarkiem na czele) grawitowało ku Pax'owi. Stąd to ataki przeciwko mnie, jako wrogowi tak zwanego ruchu społecznie postępowego katolików polskich itp.

Nawet wówczas, gdy — w roku 1955 — przygotowywano „zwycięską” likwidację Komisji Księży bardzo zdecydowanie przeciwstawiłem się przejściu na podwórko Pax'u. Przesłałem starannie opracowany referat pt. „Osądźcie sami!” księżom kolegom z województwa katowickiego, kieleckiego i rzeszowskiego, by ich uzbroić w argumentację. A, gdy — przez nacisk z ulicy Mokotowskiej 43 — nie dopuszczono tego referatu na posiedzeniu Prezydium Głównej Komisji Księży, w dyskusji przekazałem zebranym na tym posiedzeniu księżom kolegom moją ocenę sytuacji w następujących słowach: „wiadoma grupa pragnie — za wszelką cenę — przeformować opinię, że katolickie jest tylko to, co jest jej podległe”.

Kto jednak zna należycie stosunki w Polsce, ten wie, że wiadoma grupa jest małą wysepką w olbrzymim morzu mas wierzących, że zasięg jej jest naprawdę niewielki w terenie, że katolicy — w swej masie — nie przyjęli koncepcji katolicyzmu w ujęciu tej grupy. I jeszcze jedno. Mamy w Polsce katolików społecznie postępowych, którzy jednak nie uznają autorytetu wykładni wiadomej grupy.

Należy przypuszczać, że chyba Biuro Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego nie dało aprobaty na fakt, że przed terenowymi ogniwami „Komisji duchownych i świeckich działaczy katolickich” stawia się — w ostatnich tygodniach — jako zadanie: studiowanie „Zagadnień istotnych” pióra przywódcy tej grupy. Jest to bowiem niedopuszczalne zważając na tematyki, jaką powinny żyć Komisje działaczy katolickich. Aktyw tych Komisji powinien poświęcić się — bez reszty — pracy inspirowanej przez Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego, a nie rozdrabniać się na rozgryzanie koncepcji pewnej grupy.

To nie tylko nasi członkowie nie podzielają argumentacji przywódcy

grupy... Przekonujemy się, że bardzo wielu księży (poza nami) przeciwstawiło się wywodom, zawartym w „Zagadnieniach istotnych”...

Za to moje wystąpienie zawieszono mnie w prawach członka Komisji duchownych i świeckich działaczy katolickich.

O tym wszystkim nie poinformowano p. Naurois.

II. — Ale informacja wspomniana jest kłamliwa i dlatego, że p. Naurois — w sposób wysoce dla mnie krzywdzący — zaliczył mnie do księży suspendowanych.

Otóż: nigdy nie byłem i nie jestem suspendowany.

P. Naurois mógł się bez trudności o tym dowiedzieć, zwracając się do Kurii Biskupiej w Tamowie. Jestem bowiem księdzem decezji tarnowskiej, inkardynowanym do diecezji tarnowskiej.

Względnie mógł p. Naurois, by sobie ułatwić stwierdzenie stanu prawnego, odnieść się do Sekretariatu Księdza Prymasa w Warszawie, który niewątpliwie dostarczyłby mu bezwzględnie materiału z Kurii tarnowskiej.

Przypuszczam, że — jeśli p. Naurois jest katolikiem, naprawi wyrażoną mi krzywdę, odwoła oszczerstwo bardzo przykre i bardzo bolesne dla księdza katolickiego.

Powinien to zrobić, zwłaszcza wówczas, gdy potwierdzi się wersja, że Naurois — to pseudonim księdza katolickiego.

Tą drogą apeluję też do ks. biskupa Lemaire z Paryża, autora słowa wstępnego do książki pt. „Dieu contre Dieu?” znającego osobiście „pana Naurois”, by wezwał go do odwołania oszczerstwa.

Do tego odwołania jest obowiązany w sumieniu.

Ks. Henryk WERYNSKI
Kraków

P.S. — Po napisaniu powyższego wyjaśnienia otrzymałem „Słowo Po-wszeczne” z tekstem najnowszej deklaracji tzw. stowarzyszenia PAX z 5. 6. 1957 r.

Już nie ma w niej mowy o ruchu społecznie postępowych katolików polskich. To już tylko: ruch społecznie postępowy „wierzących” socjalistów.

Już nie ma w niej mowy o światopoglądzie katolickim, ani nawet o światopoglądzie chrześcijańskim, o którym pisali panowie z PAX'u w okresie swoich żywych kontaktów ze wschodnioniemiecką Chrześcijańską Unią Demokratyczną. Został tylko: „światopogląd religijny” i „światopogląd niematerialistyczny”.

W świetle tej ostatniej „rezolucji” tzw. stowarzyszenia PAX — dezaktualizuje się treść książki p. Naurois nie tylko dlatego, że nie ma w PAX'ie Kętrzyńskich, Łubieńskich, Horodyńskich, Micewskich i innych „bohaterów” dramatu „Dieu contre Dieu?”, ale i dlatego, że z PAX'u wyprowadził się tzw. postępowy katolicyzm.

Co zostało, mówi cytowana „rezolucja”...

Ks. W.

Eastchester, N.Y., 10 sierpnia 1957.

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając uważnie „Kulturę” od pierwszego jej numeru, zdaje sobie oczywiście sprawę, że głównym celem Pańskim jest uwydatnianie znaczenia kultury polskiej i jej wszechstronna rozbudowa, jako najważniejszego czynnika dla teraźniejszości i przyszłości narodu.

Zdaje sobie też sprawę z tego, że redaktor naczelny musi zostawiać

swym współpracownikom możliwie największą swobodę w wypowiedaniu własnych poglądów, a także, iż nie zawsze jest w stanie dopatrzeć, czy wszystkie są zgodne z ideowymi założeniami pisma.

Rozumiem, że pojęcie kultury nie jest jednoznaczne. Jednakże chyba wyraźnie niekulturalne jest pogardliwe wyrażanie się o wybitnych twórcach polskich, zgon których współcześni boleśnie odczuwają. Wraz z wielu innymi czytelnikami „Kultury” uważam, że wybryki takie powinny być bądź eliminowane, bądź opatrywane odpowiednimi zastrzeżeniami Redakcji.

Jako drastyczny przykład przytaczam określenie na stronie 213 nr 7/117-8/118 śp. Lechonia, jako „tragikomicznej cioty”!

Do nasuwających wielkie wątpliwości kategorii należy też sposób uczczenia zgonu śp. L. Staffa przez dobór dwóch wierszy, mających wykazać jego „literackie porażki”, które zawsze „umiał zamieniać w ludzkie zwycięstwa”. Wielu tutejszych czytelników uważa to za insynuację ze strony niewątpliwie utalentowanego poety, że śp. Staff wykorzystywał swe mierne wiersze dla zapewnienia sobie korzyści materialnych.

Nie wątpię, że Sz. Pan zdania tego nie podziela i że w jednym z następnych numerów „Kultury” okaże się obiektywna godna ocena wkładu Staffa do skarbcza kultury polskiej.

Z prawdziwym poważaniem

Leopold T. WELLISZ

Drogi Redaktorze!

Bruksela, sierpień 1957.

Ucieszyłem się, i to nie byle jak, dowiedziawszy się iż rada miejska Chyżej Wólki wydelegowała do Paryża zasłużonego sekretarza Związku Łatwiejszych Racionalistów, p. Artura Sandauera, z orędziem do ludów Zachodu. Jak to dobrze, że nasze pismo ogłosiło jego ze wszechmiar uroczą gawędę o Adolfie Rudnickim. Dzięki temu emigracyjny czytelnik mógł się zapoznać z nowoczesną metodą zastosowania maszyny cybernetycznej do krytyki literackiej.

Boziu, Boziu, ile w takim racjonalistcie kryć się może obiektywnego spojrzenia, a tej boy'owskiej miłości prawdy. Aż coś za gardło bierze, że tak człowiek człowiekowi... bratem, kiedy wokoło las.

Drogi Redaktorze, kim jest p. Sandauer? Bo jedni mówią, że gdyby nie on to by w Polsce prawdziwej, to znaczy racjonalistycznej, sztuki już dawno nie było. A spotkałem znowu kolegę i ten mówi: Sandauer? Tak, mówię, ten racjonalista. A kolega: Artur, co? Tak, mówię, Artur, ten co mu z liberałem nie wyszło. A kolega na to: Żeby on taki z nosem był jak on racjonalista. Taż to irracjonalny i natchniony mistyk — i palcem mi w książce pokazuje. A tam zwrotka Broniewskiego:

Revolucja — parowóz dziejów...

Chwała jej maszynistom.

Cóż, że wrogie wiatry powieją?

Chwała płonącym iskrom.

I taki do niej komentarz: „Zwrotka spaja w jedno marksowski parowóz z leninowską iskrą. Co więcej, obraz taki czyni konieczną osobę maszynisty: postać Stalina, maszynisty rewolucji, wynika zatem naturalnie

z toku porównania. Historyczna kolejność trzech wodzów proletariatu wyraża się w trójdzielnym obrazie: parowozu, iskry, maszynisty, którego każdy człon ma uzasadnienie wyobraźniowe zarazem i logiczne...

Mistyk, czy nie mistyk? — pyta kolega. Mistyk, mówię. A on znowu kartkami szeleści i inne miejsce pokazuje. Czytaj, mówi, tu o Gałczyńskim: „... Tak np. w słynnych niegdyś *Skumbriach* twardo wybijany rytm „skumbrie w tomacie, pstrąg” przenosi niejako czytelnika samym swym rozpędem ponad niedorzecznością treści i nadaje temu — bezsensownemu skądinąd — wierszowi wyraźny sens polityczny: słychać w nim tupot faszystowskich batalionów...

A po tym pokazał mi kolega tyle jeszcze rozmaitych i fajnych kawałków w tej książce, że musisz ją, Drogi Redaktorze, przeczytać.

Serdecznie pozdrawiam

Marian PANKOWSKI

Kyrenia, Cyprus, 28. 6. 1957.

Drogi Redaktorze,

Jednym z najżywszych obrazów mego dzieciństwa jest piękna postać Żyda z długą, siwą brodą, który był prawą ręką Ojca w majątku na Polesiu wołyńskim — trochę dziwaczny, mocno patriarchalny, zawsze rzetelny i usłużny — kochany, stary „Benio”.

I w gimnazjum kowelskim i na uniwerku warszawskim, w szczupłym gronie prawdziwych przyjaciół, zawsze miałem co najmniej paru Żydów. Do — bez przesady — najpiękniejszych wspomnień z łagru uralskiego zaliczam długie leśne rodaków rozmowy w bardzo nielicznym kółku ludzi bliskich mi jak bracia (słowa tego używam całkiem po prostu, wiedząc, że każdy „łagiernik” zrozumie je właściwie). Dwóch z tych niewielu było Żydami: jeden, dziennikarz z Warszawy, zmarł w drodze do Wojska Polskiego; drugi, zajadły sjonista z Łodzi, dał mi rzadką satysfakcję sprawdzenia „w praniu” rzetelności jego *polskiego* patriotyzmu gdy mimo okazji — przyjętej przez tak wielu jego współwyznawców — nie pozostał w Palestynie lecz jako oficer liniowy zdobył wysokie odznaczenia bojowe we Włoszech.

Tyle dla udowodnienia, że nigdy nie byłem i nie jestem anty-semitą. Ale teraz — „hold on to your chair”: Ten wylew szczerości jest wynikiem irytacji spowodowanej listem Marii Czapskiej w czerwcowej „Kulturze”. Drogi Panie Jerzy, czy my doprawdy *musimy* być zawsze tylko albo anty-co, albo anty-anty-coś? Zupełnie się zgadzam z tymi — nielicznymi zdaje się — czytelnikami „Kultury”, którzy uważają waszą anty-semitką ankietę za całkiem zbłądną i nie na czasie. *Nie wierzę* żeby kiedykolwiek istniała w Polsce zoologiczna i powszechna nienawiść do Żydów. Dosłownie cholera mnie bierze gdy na Zachodzie w nas to wmawiają jak w diabła chorobę, zapominając, że pogromy to instytucja *rosyjska* a nie *polska*; że prześladowania Żydów w ciągu wieków *właśnie na Zachodzie* spychały całe ich fale do tolerancyjnej Polski, od Kazimierza Wielkiego do rozbiorów; że właśnie to ostatnie, wraz z naszą własną, szlachecką głupotą brzydzienia się handlem spowodowało, że w Polsce niepodległej, jeśli nie nienawistnej, to niewątpliwie zawiśnię do Żydów zaistniała, ale też że „obrona narodowa” nie była tylko endeckim frazesem lecz także prostą koniecznością mieszczań-Polaków którzy nareszcie zrozumieli, że handel jest siłą narodów a — jakże często — nie mieli gdzie palca wetknąć.

Wreszcie, po co te uogólnienia? Dlaczego nie możemy sobie pozwolić na luksus lubienia, lub nie lubienia (tak, NIE-lubienia, jeśli tak się nam podoba) ludzi — bez etykietek — za to CZYM a nie KIM są? Na miły Bóg, znam i głęboko szanuję Pana od wielu lat; czy doprawdy myśli Pan, że gdyby na przykład był Pan Żydem to w najmniejszym stopniu zmieniłoby mój stosunek do Pana?!

M. Czapska pisze: „... kto jeśli nie oni (Żydzi) wystąpili pierwsi z oskarżeniem zbrodni stalinowskich?” Co ten ogólnik w ogóle znaczy? Nazwiska? Mogę z rękawa wysypać wielu zarówno Żydów jak i nie-Żydów, którzy potępiali te zbrodnie, a kto był pierwszy — jeśli to ma w ogóle jakiś sens — tego sam pan diabeł nie dociecze.

I dalej: „Jaki jest ich udział w nauce i sztuce na całym świecie?” — W nauce olbrzymi; w sztuce — zdaniem wielu — minimalny, a często mętniacki.

„W jak znacznej mierze zaważyli na rewolucji październikowej w Polsce?” — Moim zdaniem ani w większej ani w mniejszej niż ich przyjaciele-Polacy, a na pewno znalazłoby się ich немало i wśród wrogów tej rewolucji. Ale tu odpowiadam tylko ogólnikiem na ogólnik.

Przekleństwem naszych czasów jest właśnie ta łatwizna uogólniań, lenistwo umysłowe, które zadawała się emocjonalną reakcją na etykiety, bez intelektualnego wysiłku sprawdzania czy odpowiadają treści. A także ta krańcowość w angażowaniu się „za” czy „przeciw” jakiejś idei, co tak łatwo czyni z tych idei nie ludzkie abstrakcje. Na jakimś wiecu warszawskim pewien nieszczęsny endek, nie mogąc zwerbować słuchaczy dla swojej „idei” wykrzyknął zniecierpliwiony: „Musicie się zdecydować: musicie być albo biali albo czerwoni; różowe są tylko świni!” Muszę przyznać że w towarzystwie takich świni zawsze czuję się bardziej człowiekiem.

Nie mogę się powstrzymać od swojego rodzaju perwersyjnej przyjemności zakończenia tego listu do Redaktora tak „sophisticated” pisma jak „Kultura” częstochowskim rymem dla maluczkich: „Czyń każdy w swoim kółku co każe Duch Boży: całość sama się złoży”.

Serdeczne pozdrowienia i piękne ukłony łączy

W. SKORUPSKI

Brooklyn, N.Y., 22. 7. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W swoim czasie rzuciłem myśl w związku zresztą z niefortunną ankietą „Kultury” „Przyczyny antysemityzmu w Polsce”, że Żydzi, właśnie Żydzi powinni wziąć w obronę Polaków jeżeli chodzi o sprawę „antysemityzmu polskiego”. Teraz, jako może bezstronny Żyd, czuję się w obowiązku, ze względu na moją przyjaźń z Polakami (przeważnie ze sfer naukowych) wziąć w obronę polskość i polską rację stanu przed samymi Polakami; w tym wypadku specyficznie w związku z ostatnią akcją i listami do Redakcji zamieszczonymi w numerze lipcowym „Kultury” przez p. Józefa Mackiewicza.

Nie będąc Polakiem ani obywatelem polskim myślę, że będę mógł wyrazić pogląd bezstronny człowieka patrzącego z boku i oceniającego wydarzenia bez naleciałości emocjonalnych.

Nie znam tak zwanej działalności kooperacyjnej p. Józefa Mackie-

wicza podczas okupacji niemieckiej, ale w końcu września 1939 roku widziałem tegoż p. Józefa Mackiewicza w awangardzie Litwinów zajmujących Wilno z *łaski bolszewików* i wysłuchałem jego płomiennej mowy na tą okazję. Wydaje mi się, że ten tylko jedyny nagi fakt powinien zdyskwalifikować J. Mackiewicza jako człowieka mającego prawo zabierać głos w sprawach polskich. Dlaczego trzymać się upornie polskości, można zostać przecież Litwinem, lub może tylko „Tutejszym”. Polacy są bardzo tolerancyjni, na przykład: Społeczeństwo żydowskie i pewnie jakiekolwiek inne, po podobnych wyczynach, nie przyjęłoby z powrotem nikogo. P. J. Mackiewicz czuje się osamotniony. Myślę, że doskonale może stać razem na szafkach z p. Jeleńskim, który po oszkalowaniu Polaków w swym słynnym liście do „Kultury”, zarzucając im akty kryminalne popełniane przez Żydów (sprawa rabowania grobów żydowskich we Wrocławiu), nigdy nie zdobył się na odwołanie tych obelg, które *nota bene*, specjalnie przyczyniły się do pogorszenia stosunków między polskimi i żydowskimi intelektualistami i naukowcami w Ameryce.

Wzajemnymi obelgami niedaleko zajdziemy. Zbliżenie obu narodów i obu kultur może być tylko robione przez podkreślenie wzajemnych zasług Polaków wobec Żydów i vice versa, i dlatego ze szczerym uznaniem witam nowy tom Biblioteki „Kultury” *Izrael w poezji polskiej*.

Z wysokim poważaniem

Mozes PARIENTES

Beyrouth, sierpień 1957.

Z dużym zdziwieniem przeczytałem w numerze 5/115 „Kultury” list ppłk. Michniewicza w sprawie mego przyjaciela i kolegi śp. Witolda Hulanickiego, zamordowanego w sposób barbarzyński w roku 1947 przez terrorystów żydowskich w Jerozolimie.

Lekceważący ton w jakim pisze ppłk. M. o śmierci Hulanickiego, człowieka wyjątkowo szlachetnego, razi boleśnie, zwłaszcza, że wiemy wszyscy, a ppłk. M. może i lepiej niż my, kto mógł dopuścić się tego mordu. Mord ten sam w sobie był absurdem, podobnym do zamordowania w kilkanaście miesięcy później księcia Bernadotte (sprawcy też pozostali nieodkryci), gdyż rzeczywistym wrogiem żydowskich aspiracji w Palestynie byli nie Anglicy — będący przecież w stanie każdej chwili przy użyciu odpowiednich środków zdusić powstanie i ośzczędzający terrorystów z przyczyn o których nie tu się rozwódzić — a tylko i wyłącznie Arabowie. Bez ewakuacji wojsk angielskich z Palestyny, która — nie bądzmy dziećmi — odbyła się oczywiście dobrowolnie, a w realizacji koncepcji politycznych, wychodzących poza problem Palestyny i Izraela, nie byłoby w roku 1948 powstało Państwo Izraela. Solidaryzowanie się z mordercami przez poniżanie ich ofiary, nie jest więc ani moralne ani „polityczne”.

Nie oburzałbym się, gdyby list ten ukazał się za życia śp. Hulanickiego, na przykład w roku 1946, gdy Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie formalnie przestały istnieć, a tajemnica służbowa przestała tak ściśle obowiązywać. Wówczas zaatakowany byłby mógł bronić się. Obecnie wy-suwanie zarzutów, zresztą małoostkowych, nie wydaje mi się piękne.

Łączę wyrazy...

Dr Z. ZAWADOWSKI
minister pełnomocny

Los Angeles, 25. 6. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nr 5/115 „Kultury” został zamieszczony list pplk. dypl. W. Michniewicza, dotyczący osoby śp. W. Hulanickiego, b. konsula gen. R.P. w Jerozolimie.

W liście tym p. Michniewicz stwierdza, że śp. Hulanicki, z polecenia władz angielskich, „szpiegował” organizującą się w latach 1940-1941 na terenach Środkowego Wschodu S.B.S.K., za którą to działalność miał otrzymywać od Anglików wynagrodzenie.

P. Michniewicz postanowił „sprawę odłożyć do załatwienia po wojnie”, równocześnie zaś dodaje, iż w 1942 roku „w Palestynie zaczynało gwałtownie wrzeć zagadnienie żydowskie”. Piszę też p. Michniewicz: „Zachodzi podejrzenie czy Hulanicki nie przerzucił się wtedy na Żydów. W roku 1946 Hulanicki został zamordowany przez bojówkę żydowską: wiadocznie Żydzi wiedzieli za co go mordują i byli od nas mniej wyrozumiali”.

Tyle p. Michniewicz.

Byłem żołnierzem S.B.S.K. od chwili jej utworzenia w Syrii, do chwili jej rozwiązania w 1942 roku. Znana mi jest też działalność śp. Hulanickiego.

Wiadomo mi też jest (a zapewne i p. Michniewiczowi), że śp. Hulanicki został zamordowany przez komunistyczną bojówkę żydowską. Był to akt zemsty za jego nieprzejednaną działalność anty-komunistyczną.

Wypada chyba współczuć p. Michniewiczowi, że nie uprzedził on komunistycznej bojówki żydowskiej i nie kazał swym agentom zamordować wcześniej śp. Hulanickiego. Bo tak, jakby żal przebiega z ostatniego ustępu jego listu.

Oskarżenie śp. Hulanickiego o ciężkie przewinienia obecnie, w jedenaście lat po jego śmierci i wówczas, gdy ani on sam, ani nikt inny nie może stanąć w jego obronie, jest — oczywiście — sprawą dobrego smaku. Jest to też — w obecnych warunkach — akcja bezkarna.

Wypada żałować, że złe obyczaje smutnej pamięci II Oddziału odżywiają ponownie.

Wypada też żałować, że Redakcja „Kultury” uznała za możliwe zamieścić na swych łamach list p. Michniewicza.

Z poważaniem

Zbigniew JAKUBSKI

Londyn, 26. 6. 57.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 6/116 „Kultury” z czerwca br. ukazała się wypowiedź p. Kisielewskiego, który między innymi scharakteryzował poglądy p. J. Mackiewicza jako „sprzeczne z racją stanu Polski”, oraz dał wyraz skodyllowości jego działania.

P. Józef Mackiewicz jest jednym z nielicznych, który był na miejscu w Katyniu i badał osobiście jedną z największych zbrodni wojny ubiegłej, a mianowicie masowe wymordowanie polskich żołnierzy i oficerów przez władze sowieckie.

P. J. Mackiewicz napisał świetną pracę piętnującą morderców. Ponad

dwa lata starań znalezienia wydawcy na zachodzie przeleciały, bo wydawcy mieli obawy przed zemstą miejscowych komunistów. Jednak praca się ukazała w wielu językach świata i kilkaset recenzji o niej zostało zamieszczonych w najpoważniejszych pismach — dosłownie we wszystkich pięciu częściach globu.

Wreszcie p. J. Mackiewicz występował przed Specjalną Komisją Kongresu Amerykańskiego jako główny ekspert i świadek w sprawie mordu w Katyniu.

Rozumiem, że pozostając pod komunistyczną władzą, p. Kisielewski jest skrepowany w osądzie, i może wypowiadać tylko pewne określone poglądy; nie znaczy to jednak aby miał prawo dyskredytować i potępiać kogokolwiek na emigracji za jego odwagę: odwagę cywilną, polityczną, a tym bardziej za jego bezkompromisowy stosunek do zbrodniczego komunizmu. Nawet, żeby ten ktoś głosił poglądy ściśle indywidualne.

Na to właśnie wybraliśmy emigrację, aby głosić to czego w Kraju reżymu komunistyczny nie zezwala, bo tylko w wolnym świecie jest gwarantowana pełna wolność słowa.

Naszym zadaniem jest szerzenie prawdy o Sowietach i komunizmie, a nie moralne rozbrajanie się wzajemne. Być może pan Kisielewski hołduje zasadom „nieprzeciwienia złu”, głoszonym przez Lwa Tolstogo, a które to zasady doprowadziły Rosję do triumfu bolszewizmu. Nie wydaje mi się, by tego rodzaju zasady mogły być zgodne z kierunkiem prawdziwie katolickim, którego reprezentantem w warszawskim „sejmie” pan Kisielewski się mieni.

Osobiście czuję się powołany do wystąpienia w tej sprawie ponieważ wiem na ile sprzeciwów i trudności natrafił p. J. Mackiewicz zanim opublikował tę pracę.

Toteż wypowiadam się z głębokim przekonaniem, że pan J. Mackiewicz dobrze się zasłużył wobec Polski piętnując w swej świetnej pracy i w licznych artykułach potworne zbrodnie komunistyczne dokonane i dokonywane na naszych rodakach.

Ufam, że Pan Redaktor zechce zamieścić powyższe moje oświadczenie i łączyć wyrazy szacunku i poważania.

J. GODLEWSKI

Penley, 1 sierpnia 1957.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z przerażeniem przeczytałem list p. Andrzeja Vincenza z dn. 11 czerwca 1957, ogłoszony w „Kulturze” z miesiąca lipca-sierpnia 1957.

Kilka lat temu na Publicznym Zebraniu Dyskusyjnym, zorganizowanym przez Londyńskie Koło Stronnictwa Pracy, którego byłem prezesem, wygłosił Dr Jacobson bardzo rzeczowy referat na temat Ziemi Odzyskanych.

Gdy po wygłoszeniu referatu przez Dr. Jacobsona zwróciłem się do obecnych na sali słuchaczy z prośbą o zapisywanie się do głosu celem postawienia referentowi ewentualnych pytań, zerwał się z krzesła zirytowany Prof. Studnicki i nie czekając na udzielenie mu przeze mnie głosu, głosem podnieconym począł krzyczeć: „To nie są żadne Ziemi Odzyskane, ale czasowo Okupowane, na których osiedleńcy powinni się rozgospodarować i wzbogacić, ażeby kiedy przesiedlić się na teren Małopolski Wschodniej!”

Przeoczył „Staruszek”, że przy planowanym przez niego przesiedleniu,

ewentualnie opuszczone przez naszych osadników „Ziemie Odzyskane” z całą pewnością zostaną przejęte przez Niemców, że natomiast ziemie Małopolski Wschodniej znajdują się w posiadaniu Rosji Sowieckiej i z całą pewnością nie zostaną przez nią tym osiedleńcom przekazane.

Jeden z mówców złożywszy hołd dla dawnych zasług profesora Studnickiego i podziw dla jego obecnej cywilnej odwagi, przestrzegł go jednak przed wygłaszaniem swych przekonań przed szerszym audytorium, które z całą pewnością nie zachowa się tak spokojnie, jak obecne grono kilkudziesięciu kulturalnych słuchaczy.

Pan Andrzej Vincenz ukrywając się bezpiecznie — przed reakcją szerszego audytorium napiętnowanym przez siebie epitetem „hurra-patriotami” — w La Combe de Lancey we Francji zarzuca nam żeśmy nie dorośli do zagospodarowania Ziemi Odzyskanych, a następnie stawia tezę, że póki się nie uderzymy w piersi i nie potępimy wysiedleń tubylców z Ziemi Odzyskanych (zapomniał, że prawo kanoniczne przewiduje w takich razach „zadośćuczynienie”, które nie może być inne, jak usunięcie się naszych osadników nawet bez wskazywania im Małopolski Wschodniej, jako terenu nowego osiedlenia, jak to czyni profesor Studnicki), będziemy współnikami Stalina, naturalnie ze wszystkimi konsekwencjami stąd płynącymi. Zarzuty te stawia w dodatku nie ustnie w gronie kilkudziesięciu osób, jak po uczynił profesor Studnicki, ale pisemnie na łamach „Kultury”, rozchodzącej się w kilku tysiącach egzemplarzy po całym świecie.

Zachodzić tu musi jakieś głębokie nieporozumienie: nie kupujemy konia na jarmarku o którego cenę kupna się targujemy, a ustaliwszy cenę, płacimy i z ręki do ręki konia zabieramy. Jesteśmy „stroną” a nie „trybunałem” w procesie, który się kiedyś przed jakimś trybunałem rozpocznie. W takiej sytuacji musimy mieć „program maksymalny”, którym jest na Zachodzie linia Odry i Nisy a na Wschodzie linia Traktatu Ryskiego. Rola nasza ogranicza się wyłącznie do roli „advokatów” sprawy polskiej. Cóżbyśmy powiedzieli o adwokacie, który sam, niesprobowany, wyciąga słabe strony swojego klienta. Jeżeli sumienie mu to nakazuje, niech złoży rolę adwokata i niech „milczy”; w przeciwnym razie nie „niepodległościowcem”, nie hurra-patriotą, ale w ogólności nie jest Polakiem. Im wyższy jego autorytet, im lepsze jego pióro, tym zbrodnia większa.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Rafał CYWIŃSKI

Mountain View, Calif., 25. 6. 1957.

Do Pana Redaktora „Kultury”.

W związku z listem pana Gombrowicza w ostatnim numerze „Kultury”, chcę krótko odpowiedzieć, że moje ambicje nie sięgały tak wysoko, aby „pouczać pisarzy jak mają pisać”, jak mi to wmawia mój utalentowany oponent. Było natomiast moim zamiarem pouczenie pana Gombrowicza, że na ankietę należy odpowiadać d o r z e c z y. W odpowiedzi pana Gombrowicza na ankietę „Kultury” uderzył mnie po prostu komizm sytuacji: zagadnięty, odzegnujący się od udziału w ankiecie, nie może się jednak oprzeć pokusie przygadania „Ładyniowi”, albo satysfakcji usłyszenia własnego sądu, i jednak ulega, trefniąc się odpowiedzią... Więc po co „góra”, kiedy można pójść naturalniej „doliną”?

Co do owego „kowalikowego Gombrowicza” z którym gombrowi-

czowski Gombrowicz za żadne skarby świata nie chce mieć nic wspólnego, to posłusznie melduję, że jak dotychczas, przy lekturze dzieł pana Gombrowicza, nie napotkałem na żadne specjalne trudności. Zawsze je przeczytałem do końca.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Jan KOWALIK

Szanowny Panie,

Londyn, 1. 8. 57.

W numerze „Kultury” z 19 maja p. W. Popławski, który od kilkunastu lat, z uporem godnym lepszej sprawy, doszukuje się zawsze „dziury w całym” w moich artykułach, złapał mnie tym razem... że, omawiając książkę „The Soviet Army”, wydaną pod redakcją Liddella Harta, opuściłem nazwisko jednego Polaka, p. Ogórkiewicza, jako jednego z współautorów tej książki.

W istocie przynajmniej się do winy, i, aby dać p. Ogórkiewiczowi pełną satysfakcję, stwierdzam z przyjemnością, że p. Liddell Hart odzywał się o nim z wielkim uznaniem: z drugiej strony, ponieważ użyłem wyrażenia „gwiazdobójca” najwybitniejszych generałów, sądzę, że byłoby to z mojej strony dowodem braku umiaru lub proporcji abym mógł w jednym szeregu z gen. Weygandem lub feldmarszałkiem Mansteinem, ustawić i p. Ogórkiewicza...

Stwierdzam zarazem, że nie użyłem niekulturalnego wyrażenia „nieuk” pod adresem gen. Sikorskiego, natomiast, przytoczyłem kilka interesujących faktów z ostatnich dni zarówno Kampanii Wrześniowej jak również i ewakuacji z Francji, które dać mogą podstawy czytelnikom „Kultury” do wyciągnięcia odpowiednich wniosków. Aby uniknąć zarzutów jakiegokolwiek tendencji, chciałbym zaznaczyć, że fakty przeze mnie przytoczone zaczerpnąłem z artykułów gen. Głabisza oraz płka Łunkiewicza z „Bellony” październik-grudzień 1956.

Aby dać pełniejszy obraz orientowania się gen. Sikorskiego w problemach zarówno wojskowych jak i politycznych, warto byłoby jeszcze przytoczyć prawie całkowicie nieznany polskiej opinii publicznej fakt złożenia przez niego, w parę dni po przybyciu do Wielkiej Brytanii z Francji, w czerwcu 1940, memoriału, proponującego formowanie w Rosji 300.000 armii polskiej dla walki z Niemcami... memoriał ten został gen. Sikorskiemu podsunęty przez p. S. Litauera, który został później jednym z jego najbliższych doradców politycznych.

W memoriale tym, zarówno jego autor, jak i gen. Sikorski nie wzięli pod uwagę faktu że w danym momencie Rosja nie tylko nie znajdowała się w stanie wojny z Niemcami, ale, wręcz przeciwnie, była z nimi związana przymierzem Molotow-Ribbentrop.

Lord Halifax, który był wówczas ministrem spraw zagranicznych, uznał memoriał ten za tak fantastyczny, że nie nadał mu żadnego dalszego biegu, i po paru dniach memoriał został odebrany z Foreign Office przez ówczesnego polskiego ministra spraw zagranicznych p. A. Zaleskiego.

Fakt złożenia tego memoriału bez uprzedniego porozumienia się zarówno z Prezydentem jak i całym Rządem R.P., który w owym czasie znajdował się w drodze z Francji do Wielkiej Brytanii, posłużył jako powód do udzielenia gen. Sikorskiemu dymisji przez Prezydenta Raczkiewicza.

Z wyrazami prawdziwego poważania,

E. HINTERHOFF

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

7. 7. 1957.

Ponieważ pismo Pana uważam za najbardziej poczytne i docierające wszędzie uprzejmie proszę o umieszczenie na swoich łamach paru słów poniżej skreślonych.

Inicjatywę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie odnośnie konkursu dla uczczenia śp. Wł. Pańczaka, na utwór dla dzieci powitałam z najwyższym entuzjazmem i uznaniem. Chciałabym się jednak zwrócić do inicjatorów wszelkich konkursów z prośbą i pytaniem zarazem — dlaczego nikt nie ogłosi konkursu na sztukę teatralną dla dzieci. Ważności problemu wpajania w nasze dzieci polskości nie poruszam, bo byłoby to wywalaniem otwartych drzwi. Chodzi mi tylko o środki którymi warto operować. Teatr — niezawodnie do nich należy i tego też nie będę udawadniać. Muszę tylko stwierdzić że cierpimy na braki w tej dziedzinie jak największe. Wiersze — trochę inscenizacji lepszych, lub gorszych — to wszystko czym się rozporządza. O dobrą sztukę teatralną która by dała dziecku prawdziwie artystyczne przeżycie i to tak aktorom jak i widzom a zwłaszcza o przeżycie w języku polskim — znacznie trudniej. Sądję że wszystkie nauczycielki szkółek polskich i ludzie mający w jakikolwiek sposób do czynienia z większą gromadką dzieci polskich potwierdzą moją opinię. Dlatego też sprawę tę ośmieliłam się wnieść na forum publiczne, a Panu Redaktorowi uprzejmie dziękuję za umieszczenie tego listu.

Łączę wyrazy szacunku

Jadwiga PAWŁOWSKA

Warszawa, 30. 7. 1957.

„Dookoła Świata”
Warszawa, Al. 1 Armii W.P. 11.

Szanowny Panie Redaktorze!

W 7 numerze „Kultury” przeczytaliśmy list p. M. Józwiaka adresowany do Zbigniewa Jurkiewicza, naczelnego redaktora „Dookoła Świata”. Taki sam list, nieco wcześniej, otrzymał redaktor Jurkiewicz. Odpowiadając bezpośrednio p. Józwiakowi liczyliśmy, że sprawa ta została załatwiona między nami. Jednakże p. Józwiak drukując swój list na łamach „Kultury” dowiódł, że zależy mu głównie na autoreklamie. Ponieważ Czytelnicy „Kultury”, na podstawie listu p. Józwiaka, mogą sobie wyrobić o nas zbyt jednostronną opinię, przeto będziemy Panu, Panie Redaktorze, bardzo wdzięczni jeżeli zechce Pan opublikować kopię naszego listu do p. Józwiaka.

„Szanowny Panie,

W załączeniu przesyłamy Panu 16-ty nr „Dookoła świata” z dn. 2 kwietnia br., w którym pozwoliliśmy sobie zacytować fragment pańskiego wywiadu zamieszczonego w „Dzienniku Polskim”. Spodziewamy się, że lektura materiałów pt. „Tak — 8 milionów” (4 i 5 strona) wpłynie na

zmianę Pańskiego stanowiska i nieuzasadnionych pretensji pod naszym adresem, które — mamy nadzieję — powstały wskutek nieporozumienia wywołanego tym, że nie znalazł Pan całości publikacji i intencji Redakcji. Dla jasności i uniknięcia nieporozumień pragniemy Pana poinformować, że przepisy prawa autorskiego obowiązujące w Polsce nie przewidują honorarium za cytaty. Ponadto, jak podaliśmy we wstępie, źródłem z którego czerpaliliśmy materiały do publikacji „Tak — 8 milionów” były listy Polaków przebywających na emigracji, oraz notatki z „Dziennika Polskiego” i „Wiadomości”.

Tym samym spełniliśmy warunki przedruku i nie uważamy, aby tego rodzaju „proceder (był) ... sprzeczny z powszechnie przyjętymi zasadami obowiązującymi w świecie dziennikarskim”.

Zdzisław SZAKIEWICZ”.



SPROWADZANIE RODZIN — EMIGRACJA
BILETY LOTNICZE, MORSKIE I KOLEJOWE
Z POLSKI I DO POLSKI

BILETY LOTNICZE I MORSKIE
DO U.S.A. — KANADY I AUSTRALII
WAKACJE I WYJAZDY NA KONTYNET

Polskie Biuro Podróży **FREGATA**

122 WARDOUR STREET — LONDON — W. 1, ENGLAND

PREUVES

publie, sous la direction de F. Bondy

dans son numéro de
SEPTEMBRE

Milovan DJILAS : La régie totalitaire des esprits; Louis de VILLEFOSSE : Et maintenant? suivi de Dossier d'une rupture; Jean DANIEL : Consciences algériennes.

Et des textes de : Jean GENET, Georges HUGNET, Jean GRENIER, Melvin LASKY, Tibor MERAY, Alain BOSQUET, François BONDY.

PREUVES, 23, rue de la Pépinière, Paris (8e)

Le numéro de 96 pages ill. : 200 fr. - C.C.P. : 178-00 Paris

BIBLIOTEKA "KULTURY"

- Tom I Witold GOMBROWICZ
TRANS-ATLANTYK i ŚLUB
Cena 600 frs (12 sh., \$ 2.00)
- Tom II George ORWELL
ROK 1984
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)
- Tom III Czesław MIŁOSZ
ZNIEWOLONY UMYŚŁ
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)
- Tom IV James BURNHAM
BIERNY OPÓR CZY WYZWOLENIE ?
Cena 600 frs. (12 sh., \$ 2.00)
- Tom V Czesław MIŁOSZ
ŚWIATŁO DZIENNE (Poezje)
Cena 350 frs. (7 sh., \$ 1,00)
- Tom VI Czesław STRASZEWICZ
TURYSI Z BOCIANICH GNIAZD
Cena 650 frs. (13 sh., \$ 2,00)
- Tom VII Stefan KORBOŃSKI
W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ
(wyczerpane) Cena 1.250 frs. (25 sh., \$ 3,50)
- Tom VIII Józef ŁOBODOWSKI
ZŁOTA HRAMOTA (Poezje)
Cena 700 frs. (14 sh., \$ 2,00)
- Tom IX Czesław MIŁOSZ
ZDOBYCIE WŁADZY
Cena 650 frs (13 sh., \$ 2.00)
- Tom X Czesław MIŁOSZ
DOLINA ISSY
Cena 700 frs (14 sh., \$ 2.00)

BIBLIOTEKA "KULTURY"

- Tom XI Marian PANKOWSKI
SMAGŁA SWOBODA
Cena 350 frs (7 sh., \$ 1.00)
- Tom XII Teodor PARNICKI
KONIEC „ZGODY NARODÓW”
Cena 1.500 (30 sh., \$ 4.50)
- Tom XIII Stefan KORBOŃSKI
W IMIENIU KREMLA
(Cena 1.000 frs. (20 sh., \$ 3,00)
- Tom XIV Raymond ARON
KONIEC WIEKU IDEOLOGII
(Cena 750 frs. (15 sh., \$ 2,25)
- Tom XV Graham GREENE
MOC I CHWAŁA
(Cena 650 frs. (13 sh., 2 dol.)
- Tom XVI Leo LIPSKI
DZIEŃ I NOC
Cena : 350 fr. (7 sh., 1,00 dol.)
- Tom XVII Andrzej CHCIUK
SMUTNY UŚMIECH
Cena 350 fr. (7 sh., 1.00 dol.)
- Tom XVIII Jeanne HERSCH
POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ
Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)
- Tom XIX Czesław MIŁOSZ
TRAKTAT POETYCKI
Cena 350 fr. (7 sh., 1.00 dol.)
- Tom XX Józef MACKIEWICZ
KONTRA
Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)
- Tom XXI Witold GOMBROWICZ
DZIENNIK (1953-1956)
Cena 850 fr. (17 sh., 2.50 dol.)

NAGRODY I KONKURSY

W Konkursie na opowiadanie, ogłoszonym przez londyńskie „Wiadomości”, jury w składzie: Tymon Terlecki, J. Sakowski i T. Sułkowski, nagrodziło pracę Andrzeja Bobkowskiego pt. *Spadek*. Andrzej Bobkowski otrzymał nagrodę w wysokości 100 gwinei, ofiarowaną przez firmę TAZAB.

Jury Nagrody Pisarskiej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w składzie: Władysław Donigiewicz (S.P.K.), gen. prof. Marian Kukiel (Polskie T-wo Historyczne w W. Brytanii), dr Mieczysław Giergielewicz (Polskie T-wo Naukowe na Obczyźnie), red. Ludwik Rubel (Zw. Dziennikarzy R.P.) i dr Tymon Terlecki (Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie) — przyznało nagrodę pisarską SPK na rok 1957 — po £75: 1) Prof. dr. I.M. BOCHENSKIEMU, O.P. za całokształt dorobku naukowego, a w szczególności za prace: *Die Europäische Philosophie den Gegenwart* („Współczesna Filozofia Europejska”) i *Précis du Logique Mathématique* („Zarys Logiki Matematycznej”) i 2) Wacławowi ZAGÓRSKIEMU za książkę *Wicher Wolności — Dziennik Powstańca*.

Melchior Wańkowicz przekazał „Merkuriuszowi Polskiemu” sumę 524 dolary, stanowiące ekwiwalent biletu lotniczego na Kongres Kultury Polskiej w Paryżu na cel ustanowienia NAGRODY RECENZENTÓW I KRYTYKÓW. Przeznaczając dol. 24 na portoria „Merkuriusz Polski” ustanawia trzy równorzędne nagrody po £60 każda za działalność krytyków młodszego pokolenia w Polsce i zagranicą w latach 1955-1957. „Merkuriusz Polski” zwrócił się o przyznanie nagród dla krytyków pracujących w Polsce do Pawła Hertza i Jerzego Zawieyskiego, a dla krytyków pracujących zagranicą do Czesława Miłosza i Wita Tarnawskiego. Przedstawicielem „Merkuriusza Polskiego” do spraw związanych z NAGRODĄ KRYTYKÓW będzie Bolesław Taborski.

Ogłoszenie przyznanych nagród nastąpi w pierwszym kwartale 1958 roku.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 3^e Trimestre 1957



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji:

91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Telefon: Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15 th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, «Libreria Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Hanna Leksyska, r. Guira 139, vila Pompeia, Sao Paulo ..	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganika, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-4	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HISZPANIA: Wl. Pajor, Paseo de los Olivos 93, Madrid		120 peset	240 peset
HOLANDIA: T. Szpilczynski, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Ave, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Aikins St., Winnipeg/Man.; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel.: HY-0829; «Związkowiec», 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanislawski, A. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431....	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 183 Chancellor Ave, Newark 8, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom XXII

PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH



Tom XXIII

ANDRZEJ BOBKOWSKI

SZKICE PIORKIEM



Tom XXIV

ALEKSANDER HERTZ

**AMERYKAŃSKIE STRONNICTWA
POLITYCZNE**

(Mechanizm demokracji)



Tom XXV

DANIEL BELL

PRACA I JEJ GORYCZE

(Kult wydajności w Ameryce)



Tom XXVI

JAN WINCZAKIEWICZ

IZRAEL W POEZJI POLSKIEJ

(Antologia)



Tom XXVII

MILOVAN DJILLAS

**NOWA KLASA BIUROKRATÓW
POLITYCZNYCH**

(Analiza systemu komunistycznego)